

Artur Conan Doyle

---

# TRAGEDJA KOROSKA

Cena 95 gr.

Jest to jedna z najbarwniejszych,  
najsensacyjniejszych ksią-  
żek Conan Doyle'a.

Akcja jej odbywa się u źródeł  
Nilu, niedosiętych niemal przez  
europejczyka.

88

DOLINA TRWOGI

Wielki

ARTUR CONAN DOYLE

DOLINA TRWOGI

W A R S Z A W A — 1928

---

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”  
S W I Ę T L I C A  
Huty „BOBREK”

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001011572846



I 217.988

1960 D 838/40

Sp. Akc. Wyd.-Druk. „PRACA” Pr. Bogucki, Kredytowa 2-4.



# Tragedja w Birlston

## ROZDZIAŁ I.

### Ostrzeżenie.

— Musiałbym się zastanowić... — rzekłem.

— Zrobiłbym to już dawno — zauważył Sherlock Holmes niecierpliwie.

Jestem, jak sądzę, człowiekiem o szczególnie łagodnym usposobieniu, przyznaję jednak, że sardoniczna ta uwaga uraziła mnie nieco.

— Doprawdy, Holmes — rzekłem poważnie — jesteś czasami przykry.

Był zbyt zajęty swojemi myślami, by odpowiedzieć natychmiast na moje upomnienie. Wsparł się na rękę, nie tykając stojącego przed nim śniadania i wpatrywał się w ćwiartkę papieru, którą przed chwilą wydobyl z koperty. Potem wziął kopertę, podniósł ją do światła i oglądał z całą dokładnością.

— To pismo Porlocka — rzekł zamyślony. — Nie wątpię, że to pismo Porlocka, jakkolwiek widziałem je tylko dwa razy. Greckie „e” z charakterystycznym ozdobnikiem u góry rzuca się w oczy. Je-

si to jednak pismo Porlocka, musi to być coś niezwykle ważnego.

Mówił raczej do siebie, niż do mnie, ale niezadowolenie moje ustąpiło miejsca zaciekawieniu, które wzbudziły te słowa.

— Któż to jest Porlock? — zapytałem.

— Porlock, Watsonie, jest pseudonimem, znakiem tożsamości, za którym kryje się sprytna, nieuchwytna osobistość. W poprzednim liście wyznała mi otwarcie, że nazwisko to jest przybrane i proponowała nawet, abym spróbował wysledzić ją w wielomiljonowym rojowisku tego wielkiego miasta. Porlock jest osobistością ważną, nie dla siebie samego, ale ze względu na wielkiego człowieka, z którym pozostaje w kontakcie. Wyobraź sobie rybę — pilota i rekina, szakala i lwa; — coś mało znacznego w ścisłej zażyłości z czemś strasznie. Nie tylko strasznie, Watsonie, ale niesamowicie — niesamowicie w najwyższym stopniu. I dlatego interesuję się nim. Słyszałeś odemnie o profesorze Moriartym?

— Słynnym uczonym przestępcy, równie znanym w kołach zbrodniarzy...

— Wstydzę się za ciebie, Watsonie — mruknął Holmes tonem politowania.

— Chciałem powiedzieć: „jak nieznanym publiczności”.

— Wzruszające — doprawdy, wzruszające! — zawołał Holmes. — Okazujesz niespodziewanie pewien zmysł satyryczny, Watsonie, który każe mi mieć się na baczności. Ale nazywając Moriartego zbrodniarzem, czynisz mu, doprawdy, krzywdę i w tym właśnie leży jego chwała i wielkość. Najwybitniejszy myśliciel, wszystkich czasów, organizator każdej zbrodni, mózg, rządzący światem podziemnym —

mózg, w rodzaju tych, jakie decydują o powstaniu lub zagładzie narodów. Takim jest ów człowiek. A jednak nie pada na niego nawet cień podejrzenia — nie podlega on krytyce — jest tak godnym podziwu w postępkach swoich i panowaniu nad sobą, że za wypowiedziane słowa pociągnąłby cię mógł do odpowiedzialności, a sąd nie wahałby się przyznać mu całorocznego twojego dochodu tytułem odszkodowania za obrazę honoru. Czyż nie jest słynnym twórcą „Dynamiki Asteroidu” — książki, która wznosi się na wyżyny najczystszej matematyki i o której mówią, że w całej fachowej prasie nie było człowieka uzdolnionego do skrytykowania jej? Czyż człowieka takiego można oczernić? Złośliwy lekarz i pokrzywdzony profesor — oto, jakimi byłyby ewentualnie wasze role. To genjusz, Watsonie. Jeśli jednak pozwolą mi na to ludzie pośledniejsi, nasz dzień przyjdzie napewno.

— Obym go dożył — zawołałem z nabożeństwem. — Ale mówiłeś o Porlocku.

— Ah, tak... Ów Porlock zatem jest ogniwem w łańcuchu, w pewnej odległości od jego przyczepienia. I mówiąc między nami, Porlock nie jest zdrowym ogniwem. Jest on, o ile mogłem się przekonać, jedyną skazą w tym łańcuchu.

— Ale o sile łańcucha decydują najslabsze ogniwa.

— Masz słusność, mój drogi Watsonie. Stąd niesłychane znaczenie Porlocka. Powodowany resztkami poczucia prawa i zachęcony odpowiednią podniętą w postaci banknotu dziesięciofuntowego, przesłanego mu od czasu do czasu drogą okrężną, użył mi raz, czy dwa razy płatnych informacji, które miały wartość — wartość najwyższą, gdyż umożli-

wiały raczej zapobieżenie i przeszkodzenie zbrodni, niż jej pomszczenie. Nie wątpię, że gdybyśmy mieli klucz do odczytania szyfru, wiadomość ta okazałaby się taką, jak mówiłem.

Holmes rozłożył znów ćwiartkę papieru na niekniętym talerzu. Wstałem i pochyliwszy się nad nim, przyglądałem się dziwnemu napisowi, który brzmiał, jak następuje:

534 C2 13 127 36 31 4 17 21 41  
Douglas 109 293 5 37 Birlstone  
26 Birlstone 9 127 171.

— Cóż chcesz z tem zrobić, Holmes?

— Jest to widocznie próba udzielenia tajnej informacji.

— Ale na cóż się przyda szyfrowana wiadomość bez klucza do niej?

— W danym wypadku na nic.

— Dlaczego mówisz „w danym wypadku”?

— Ponieważ jest wiele szyfrów, które ci odczytam równie łatwo, jak apokryfy w gazetach, w kolumnie z ogłoszeniami. Tak proste zagadnienia są zabawką dla inteligentnego umysłu i nie nużą go. Ale to rzecz inna. Cyfry odnoszą się — nie wątpię w to — do słów na stroniej pewnej książki. Dopóki nie wiem, co to za stronica i co to za książka, jestem bezsilny.

— Ale czemu „Douglas” i „Birlston”?

— Widocznie dlatego, że słów tych nie ma na odnośnej stroniej.

— Czemuż zatem nie podał książki?

— Wrodzony spryt, mój drogi Watsonie i bystrość umysłu, która jest rozkoszą twoich przyjaciół, powstrzymałaby cię z pewnością od przesłania wiadomości i szyfru w tej samej kopercie. Gdyby dosta-

ła się w ręce niepowołane, byłbyś zgubiony. W danym wypadku tylko w razie przejścia i szyfru i wiadomości, mogłoby stać się coś złego. Nasza druga poczta powinna przyjść lada chwila i dziwiłbym się, gdyby nie dostarczyła nam albo listu z wyjaśnieniem, albo co bardziej prawdopodobne, samej książki, do której odnoszą się owe cyfry.

Obliczenia Holmesa okazały się słusznymi, gdyż po paru minutach zjawił się Billy, chłopiec do posług, z oczekiwanym przez nas listem.

— To samo pismo — zauważył Holmes, otwartszy kopertę — i ten sam podpis — dodał głosem uradowanym, rozkładając list. — Chodź, zabierzemy się do niego, Watsonie.

Czolo zachmurzyło mu się jednak, kiedy przebieglł oczyma jego treść.

— Drogi mój, co za rozczarowanie! Lękam się, Watsonie, że wszystkie nadzieje nasze wzięły w łeb. Przypuszczam, że Porlocka nie spotka jednak nic złego.

„Drogi panie Holmes”, pisze. „Nie chcę zajmować się więcej tą sprawą. Jest zbyt niebezpieczną. On mnie podejrzewa. Widzę, że mnie podejrzewa. Odwiedził mnie niespodziewanie w chwili, kiedy zadresowałem kopertę z zamiarem przesłania panu klucza do szyfru. Zdążyłem ją ukryć. Gdyby to spostrzegł, byłoby ze mną krucho. Ale wyczytałem w oczach jego podejrzenie. Proszę spalić szyfrowaną wiadomość, która obecnie nie może mieć dla pana żadnej wartości. — Fred Porlock”.

Holmes siedział przez chwilę, mnąc list w palcach i wpatrując się ze zmarszczoną brwią w ogień.

— A może — rzekł w końcu — nie ma to żadnego znaczenia. Mogło mu się tak tylko zdawać. Wie-

dząc, że jest zdrajcą, mógł łatwo wyczytać oskarżenie w oczach drúgiego.

— Tym drugim jest, jak sádzę, profesor Moriarty?

— Nie ulega kwestji. Kiedy ktoś z bandy mówi o „nim”, ma na myśli tylko jednego człowieka. Dla nich wszystkich istnieje tylko jeden „on”.

— Ale cóż on może uczynić?

— Hm! Dużoby o tem można powiedzieć. Kiedy przeciw sobie masz jeden z najtęższych umysłów w Europie, poza którym stoją wszystkie ciemne siły, możliwości jest nieskończona ilość. Bądź co bądź, przyjaciel Porlock jest widocznie przestraszony. Porównaj, z łaski swojej, pismo na liście z pismem na kopercie, zaadresowanej, jak nam podaje, przed ową złowróbną wizytą. Jedno jest wyraźne i pewne, drugie zaledwie czytelne.

— Czemu wogóle pisał? Czemu poprostu nie zaniechał pisania?

— Ponieważ się lękał, że w tym wypadku będzie go śledził i mogę sprowadzić na niego nieszczęście.

— Bezwątpienia, — rzekłem, — Naturalnie — wzięłem do rąk pierwszą szyfrowaną wiadomość i pochylilem się nad nią. — Poprostu można oszaleć na myśl, że ta ćwiartka papieru zawiera jakąś tajemnicę i że zgłębienie jej nie leży w ludzkiej mocy.

Sherlock Holmes odsunął nietknięte śniadanie i zapalił śmierdzącą fajkę, która była towarzyszką jego najgłębszych rozmyślań.

— Zastanówmy się! — rzekł, przechylając się w tył i patrząc w sufit. Może pewne szczegóły nie zwróciły uwagi twego, godnego Machiavella, umysłu.

Trzeba ująć sprawę rozumowo. Człowiek ten wspomina o książce. To jest naszym punktem wyjścia.

— Punktem nieokreślonym.

— Zastanówmy się, a może da się go bliżej oznaczyć. Kiedy skupiam myśli, wydaje mi się łatwiej uchwytnym. Jakiemi wskazówkami rozporządzamy co do owej książki?

— Żadnymi.

— No, no, nie jest tak źle. Wiadomość szyfrowana zaczyna się liczbą 534, nieprawdaż? Możemy przyjąć hipotezę, że 534 jest stronica, oznaczoną tą cyfrą. W ten sposób książka nasza stała się już książką wielką, a to, bądź co bądź, stanowi pewien postęp. Jakie mamy dalsze wskazówki co do rodzaju tej wielkiej książki? Następnym znakiem jest C. 2. Co o nim sądzisz, Watsonie?

— Rozdział drugi, bezwątpienia.

— Nie sądzę, Watsonie. Zgodzisz się ze mną, jestem tego pewny, że podawanie rozdziału, skoro podaną jest stronica, nie jest zupełnie potrzebne. Co więcej, jeśli strona 534 przypada dopiero na rozdział drugi, długość pierwszego rozdziału musiałaby być w istocie niezwykła.

— Kolumna! — zawołałem.

— Wspaniale, Watsonie. Jesteś dziś nadzwyczajny. Byłbym rozczarowany, gdyby to nie była kolumna. Teraz, jak widzisz, potrzebna nam już tylko wielka książka, drukowana w dwóch kolumnach, dosyć znacznej długości, gdyż jedno słowo w liście oznaczone jest liczbą 93. Czy osiągnęliśmy granice, zakreślone przez rozum?

— Lękam się, że tak.

— Doprawdy, jesteś zbyt skromnym. Jeszcze jedna iskierka, mój drogi Watsonie. Jeszcze jeden

wysięk mózgu. Gdyby ta książka była rzadko spotykana, byłby mi ją przysłał. Zamierzał jednak tylko, zanim przekreślono jego plan, przesać mi w tej kopercie klucz. Tak mówi w swoim liście. Świadczyłoby to, że zdaniem jego, w wyszukaniu tej książki nie będę miał żadnych trudności. Miał ją i był przekonany, że ja ją mam również. Krótko mówiąc, Watsonie, jest to książka bardzo pospolita.

— Brzmi to prawdopodobnie.

— Ograniczyliśmy w ten sposób zakres naszych poszukiwań do książki wielkiej, drukowanej w dwóch kolumnach i będącej w powszechnym użyciu.

— Biblijal — zawołałem triumfująco.

— Dobrze, Watsonie, dobrze. Chociaż nie, trzeba przyznać, nie tak znowu dobrze. Mógłbym się zgodzić na twoją hipotezę, gdyby się rozchodziło o mnie, ale trudno przypuścić, aby podobna książka znalazła się pod ręką któregoś z współników Moriartego. Poza to, jest tyle wydań Pisma Świętego, że nie mógłby na tem polegać, aby dwie kopje miały taki sam układ stronic. Jest to widocznie książka wydana w jakiejś określonej formie. Przyjmuje on za pewnik, że jego strona 534 zgadza się będzie z moją stroną 534.

— Ale temu warunkowi odpowiada tylko niewiele książek.

— Właśnie. W tem leży nasz ratunek. Poszukiwanie nasze ogranicza się zatem do książek, wydanych w ściśle określonym układzie, które mogą się znaleźć w rękach każdego.

— Bradshaw!

— Skorowidz „Bradshaw” jest książką sporą, treściwą, ale ograniczoną do pewnych tylko terminów. Dobór słów uniemożliwia wysłanie ogólnej wiadomości. Trzeba „Bradshaw” wykluczyć. Słow-



nika lękam się, nie można przyjąć z tych samych powodów. A zatem cóż pozostaje?

— Almanach.

— Znakomicie, Watsonie. Albo się mylę, albo trafiłeś w sedno, Almanach! Weźmy pod uwagę Whittaker Almanach. Jest w powszechnem użyciu. Ma wymaganą liczbę stronic. Drukowany jest w dwóch kolumnach. Aczkolwiek zwięzły w swych początkach staje się ku końcowi gadatliwy. — Zdjął z półki książkę. — Notuj słowa, Watsonie. Numerem trzynastym jest „Mahratta”. Niezbyt zachęcający początek. Numerem stu dwudziestym siódmym jest „Rząd”, co ma przynajmniej jakiś sens, chociaż nie stoi w związku z nami i profesorem Moriartym. Spróbujmy jeszcze raz. Cóż robi ten Rząd Mahratta? Niestety! Następnem słowem jest „szczotka do szorowania świń”. Jesteśmy pokonani, mój dobry Watsonie. Skończone.

Mówił tonem żartobliwym, ale podnoszenie się jego krzaczastych brwi świadczyło o rozczarowaniu i gniewie. Sidziałem bezradny i przygnębiony, patrząc w ogień. Długie milczenie przerwał nagły okrzyk Holmesa, który rzucił się do szafy i wyjął z niej drugą książkę w żółtej okładce.

— To kara, Watsonie, za nasz niepotrzebny pośpiech — zawołał. — Wypredzamy czas i to się mieści na nas. Ponieważ jest siódmego stycznia, używamy już nowego almanachu. Ale jest więcej, niż prawdopodobne, że Porlock czerpał ze starego. Zapewne wyjaśniłby to nam w liście, gdyby miał zamiar wogóle wyjaśniać. Zobaczmy teraz, co mieści się na stronie 534. Numer trzynasty ma „Grozi”, co jest znacznie więcej zachęcające. Numer 127 ma „wielkie”. — Grozi wielkie”.... — Oczy Holmesa pałały, a jego cienkie, nerwowe palce drżały, kiedy liczył słowa — „niebez-



pieczeństwo". Ha! ha! Kapitalne! Pisz, Watsonie. Grozi wielkie niebezpieczeństwo — a — może — przyjść — bardzo — prędko. Potem mamy imię „Douglas” — bogaty — miejscowość — teraz — w — Birstone — Dwór — Birstone — należy — ostrzec — go. Cóż, Watsonie? Oto owoce rozumowania. Gdyby w sklepie z jarzynami można było dostać wieniec laurowy, posłałbym po niego Billego.

Patrzałem na tajemniczą wiadomość, odczytaną przez niego, a napisaną przezemnie na ćwiartce papieru.

— Jakiż dziwny, nerwowy sposób wyrażania się — rzekłem.

— Przeciwnie, wywiązał się z zadania doskonale — rzekł Holmes. — Jeśli w jednej kolumnie szukasz potrzebnych ci słów, nie zawsze uda ci się wszystko znaleźć. Musisz liczyć w pewnym stopniu na inteligencję tego, do którego piszesz. Treść jest zupełnie jasna. Na niejakim Douglassie, bogatym ziemianinie, zamieszkałym pod podanym adresem, chcą dokonać zbrodni. Nie wie o niczem — „trzeba go ostrzec”. Oto wynik naszej analizy.

Holmes doznawał nieuchwytniej radości prawdziwego artysty, aczkolwiek dzieło dokonane nie miało tej wartości, jakiejby pragnął. Napawał się jeszcze swoim triumfem, kiedy Billy otworzył drzwi i do pokoju wpadł inspektor Mac Donald ze Scotland Yardu.

Były to pierwsze dni stycznia z końcem lat osiemdziesiątych, kiedy Mac Donald nie osiągnął jeszcze sławy, która go teraz otacza. Był młodym ale cieszącym się zaufaniem władz detektywem, który odznaczył się w kilku powierzonych mu sprawach. Jego smukła, koścista postać świadczyła o niezwykłej sile fizycznej, podczas gdy wielka czaszka i głęboko

osadzone bystre oczy zdradzały wybitną inteligencję. Był milczącym, sztywnym mężczyzną o nieugiętym charakterze i ostrym aberdońskim akcencie. Dwa razy już w jego karierze Holmes pomógł mu do uzyskania sukcesu, zadawalając się radością, jaką dla umysłu jego było samo rozwiązanie zagadki. Z tego powodu Szkot żywił dla swego kolegi amatora uczucie głębokiego szacunku, który mu okazywał, zwracając się do Holmesa z całą otwartością w każdym trudniejszym wypadku. Miernota nie uznaje nikogo nad sobą, ale talent w jednej chwili ocenia geniusz, a Mac Donald miał dość talentu, jako zawodowiec, aby zrozumieć, że szukanie pomocy u osobnika, który był już w Europie zjawiskiem wyjątkowym tak pod względem zdolności, jak doświadczenia, nie sprawia żadnej ujmę. Holmes nie był skłonny do zawierania serdecznych związków, ale lubił wielkiego Szkota i przyjął go z uśmiechem.

— Ranny ptaszek z pana, Mr. Mac — rzekł. — Życzę szczęścia. Obawiam się jednak, że chodzi o jakieś przestępstwo.

— Gdyby pan rzekł „mam nadzieję”, zamiast „obawiam się” bylibyśmy, jak sądzę, bliżsi prawdy, Mr. Holmes — odpowiedział inspektor z znaczącym uśmiechem. — Nie, dziękuję, nie będę palił. Muszę się spieszyć w drogę, gdyż pierwsze godziny są dla każdej sprawy najcenniejsze, jak pan to sam wie najlepiej. Ale... ale...

Inspektor zatrzymał się nagle, patrząc niewypowiedzianie zdumionemi oczyma na leżący na stole papier. Była to kartka, na której nabazgrałem zagadkową wiadomość.

— Douglas! — wyjąkał. — Birlstone! Co to

Co ma znaczyć, Mr. Holmes? Człowieku, to chyba czary. Skąd wzięłeś te nazwiska?

— To szyfry, które odczytywaliśmy razem z Watsonem. Ale dlaczego — co ci się nie podoba w tych nazwiskach?

Inspektor spoglądał osłupiały ze zdziwienia to na jednego, to na drugiego z nas.

— To tylko — rzekł — że Mr. Douglas z Birlstone Manor House został dziś rano okrutnie zamordowany.

## ROZDZIAŁ II.

### Mr. Sherlock Holmes rozprawia.

Był to jeden z tych dramatycznych momentów, dla których żył mój przyjaciel. Byłoby przesadą twierdzić, że uderzyła go, a choćby wzruszyła zdumiewająca ta wiadomość. Jego niezwykła natura nie miała skłonności do okrucieństwa, a ciągły stan podrażnienia czynił go niepodatnym na bodźce zewnętrzne. A jednak, chociaż uczucia jego były stępione, władze umysłowe były niezwykle sprawne. Nie widziałem śladów przerażenia, którego sam doznałem po tem krótkim oświadczeniu, twarz jego miała raczej wyraz spokoju i zainteresowania chemika, który obserwuje strącające się w wysyconym roztworze kryształy.

— Ciekawe! — rzekł. — Ciekawe.

— Pan, jak się zdaje, nie jest zdziwiony?

— Zainteresowany Mr. Mac, ale nie zdziwiony.

Dlaczegoż miałbym się dziwić? Otrzymuję anonimową wiadomość z miasta, do której muszę przywiązywać wielką wagę i która mnie ostrzega, że pewnej osobie grozi niebezpieczeństwo. W przeciągu godziny dowiaduję się, że niebezpieczeństwo to przybrało formy określone i że wspomniana osoba nie żyje.

Jestem zainteresowany, lecz jak pan to widzi, nie jestem zdziwiony.

W kilku krótkich zdaniach wytłomaczył inspektorowi sprawę listu i szyfru. Mac Donald siedział z brodą opartą na rękach i wielkimi, piaskowego koloru, brwiami, ściągniętymi w żółty węzeł.

— Jąde dziś rano do Birlstone — rzekł. — Przyszedłem zapytać, czy chce pan jechać ze mną — pan i pański przyjaciel. Ale z tego, co pan mówi, wnoszę, że zrobilibyśmy lepiej, zabrawszy się do roboty w Londynie.

— Nie sądzę — rzekł Holmes.

— Niech to djabli wezmą, Mr. Holmes! — zawołał inspektor. — Gazety rozpisywać się będą za dzień lub dwa o tajemnicy Birlstone, ale jakżeż tu mówić o tajemnicy, jeśli w Londynie istnieje człowiek, który przepowiedział zbrodnię, zanim jej dokonano. Trzeba tylko ująć tego człowieka, a reszta pójdzie gładko.

— Bez wątpienia, Mr. Mac. Ale w jaki sposób zamierzasz ująć tak zwanego Porlocka?

— Mac Donald odwrócił list, który mu wręczył Holmes.

— Nadany w Camberwell — to nam dużo nie pomoże. Nazwisko, jak pan twierdzi, jest przybrane. Zapewnie, to nie wiele. Wspominałeś pan jednak, że przesyłałeś mu pieniądze?

— Dwukrotnie.

— I w jaki sposób?

— W banknotach, zaadresowanych na pocztę w Camberwell.

— I nie starałeś się pan dowiedzieć, kto je odebrał?

— Nie,  
inspektor spojrział zdziwiony i trochę zgor-  
szony.

— Dlaczego nie?

— Ponieważ zawsze dotrzymuję słowa. Przyrzekłem mu, kiedy pisał po raz pierwszy, że go śledzić nie będę.

— Sądzi pan, że poza nim ktoś stoi?

— Wiem, że tak jest.

— Ów profesor, o którym mi pan wspominałeś?

— Właśnie.

Inspektor Mac Donald uśmiechnął się, a powieki jego drżały, kiedy rzucił na mnie okiem.

— Nie chcę ukrywać przed panem, Mr. Holmes, że w Głównym Biurze Śledczym sądzimy, że masz małego kręcka na punkcie tego profesora. Ja sam starałem się tę sprawę wyświecić. Jest to, jak się zdaje, bardzo szanowany, wykształcony i utalentowany człowiek.

— Cieszy mnie, że poznaliście się na jego talencie.

— Człowieku, muszę mu to przyznać. Kiedy usłyszałem pańskie zdanie o nim, postanowiłem go poznać. Miałem z nim rozmowę o zaćmieniach słońca — nie wiem, w jaki sposób zesłaliśmy na ten temat — a jednak z pomocą lampy projekcyjnej i globusu wyjaśnił mi tę kwestję w ciągu minuty. Pożyczył mi książkę, ale, muszę przyznać, że była dla mnie za mądra, chociaż otrzymałem w Aberdeen porządne wykształcenie. Byłby to wielki minister, z jego szczupłą twarzą, siwymi włosami i poważnym sposobem mówienia. Kiedy przy pożegnaniu położył mi rękę na ramieniu, doznałem wrażenia, że jest to, jakby

blagostawieństwo ojcowskie przed wejściem w znany, okrutny świat.

Holmes parsknął śmiechem i zatarł ręce.

— Wielki! — zawołał. — Wielki! Powiedz mi, przyjacielu, Mac Donaldzie. Przyjemna ta i wzruszająca rozmowa toczyła się, jak przypuszczam, w gabinecie profesora?

— Tak jest.

— Ładny pokój, nieprawdaż?

— Bardzo ładny — bardzo gustownie urządzone, Mr. Holmes.

— Pan siedziałeś przed jego biurkiem?

— Tak jest.

— Słońce świeciło panu w oczy, podczas gdy jego twarz była w cieniu?

— Nie, było to wieczorem, ale sądzę, że światło lampy padało na moją twarz.

— Tak przypuszczam. Czy zauważył pan obraz nad głową profesora?

— Zwracam na wszystko uwagę, Mr. Holmes. Nauczyłem się tego od pana. Tak jest, widziałem obraz — młoda kobieta z głową wspartą na rękach, spoglądająca z ukosa.

— To obraz Jana Baptysty Greuze'a.

Inspektor starał się okazać zaciekawienie.

— Jan Baptysta Greuze — ciągnął dalej Holmes, splatając końce palców i rozpierając się wygodnie w krześle — był francuskim artystą, który doszedł do rozkwitu między 1750 i 1800 rokiem. Mówię, rzecz prosta, o jego artystycznej karierze. Krytyka nowoczesna potwierdziła pochlebną opinię, jaką sobie o nim wyrobili współcześni.

Oczy inspektora błędziły w próżni.

— Czy nie lepiej... — rzekł.



— Właśnie to czynimy — przerwał Holmes. — Wszystko, co mówię, odnosi się wprost do t. zw. przez pana Tajemnicy Birstone. Po prawdzie, można to nazwać samym ośrodkiem jej.

Mac Donald uśmiechnął się słabo i spojrzał na mnie wzrokiem, proszącym o pomoc.

— Pan myśli dla mnie za szybko, Mr. Holmes. Wypuszczasz pan jedno lub dwa ogniwa, a ja nie mogę podążyć dalej. Jakiż związek zachodzi między tym zmarłym malarzem a sprawą Birstone?

— Każda wiadomość może się przydać detektywowi — zauważył Holmes. — Nawet trywialny fakt, że obraz Greuze'a, zatytułowany „Młode Dziewczę z jagnięciem” osiągnął przy sprzedaży w 1865 r. cenę nie mniejszą, jak cztery tysiące funtów, może wzbudzić refleksje w pańskim umyśle.

Było jasnym, że wzbudził. Inspektor zdawał się być mocno zainteresowanym.

— Pragnę panu przypomnieć, — ciągnął dalej Holmes, — że dochody profesora można obliczyć na podstawie każdej książki informacyjnej. Wynoszą rocznie siedemset funtów.

— W jakiż sposób zatem mógł kupić...

— Właśnie. W jaki sposób?

— Tak, to ciekawe — rzekł inspektor zamysłony. — Mów pan dalej, Mr. Holmes. Lubię taką rozmowę. To bardzo ciekawe.

Holmes uśmiechnął się. Podziw wpływał na niego zawsze zachęcająco — jak na prawdziwego artystę.

— Cóż z Birstonem? — zapytał.

— Mamy jeszcze czas — rzekł inspektor, spoglądając na zegarek. Na dole czeka dorożka, a droga na dworzec Wiktorji nie zajmie nam więcej, jak dwa-

dzieścia minut. Ale wracając do obrazu — mówił mi pan raz, Mr. Holmes, o ile pomnę, że nigdy nie spotkałeś się z profesorem Moriartym.

— Tak, nigdy.

— Skądże pan wie zatem, jak wygląda jego mieszkanie?

— Ah, to inna sprawa. Byłem trzy razy w jego mieszkaniu, dwa razy czekając na profesora pod rozmaitemi pozorami i wychodząc, zanim wrócił. Raz — doprawdy, trudno mi mówić o tem przy detektywie z urzędu. Ostatnim razem pozwoliłem sobie przegłądać jego papiery, z nieprzewidzianym zupełnie rezultatem.

— Znalazł pan coś kompromitującego?

— Absolutnie nic. I to mnie zdumiało. Bądź co bądź jednak, zapatruje się pan teraz jasno na kwestję obrazu. Świadczy ona, że to człowiek bogaty. W jaki sposób zrobił majątek? Nie jest żonaty. Jego młodszy brat jest naczelnikiem stacji w Anglii Zachodniej. Gaża jego wynosi siedemset funtów rocznie. A jest właścicielem Greuze'a.

— Zatem?

— Wniosek jest prosty.

— Pan przypuszcza, że ma wielkie dochody i że pieniądze zdobywać musi drogą nieuczciwą.

— Właśnie. Rzecz prosta, mam jeszcze inne powody, aby tak sądzić — z tuzin długich nici, które prowadzą do środka sieci, gdzie czycha jadowity, nieruchomy potwór. Wspomniałem o Greuzie jedynie dlatego, gdyż sprawa ta leży w zakresie pańskiej obserwacji.

— Dobrze, Mr. Holmes, przyznaję, że to, co pan mówi, jest bardzo ciekawe. Więcej, niż ciekawe.

— poprostu, wspaniałe. Ale zastanówmy się dokładnie. Czy to fałszerz monet, oszust, względnie złodziej? Skąd bierze pieniądze?

— Czytał pan kiedy o Jonathanie Wildzie?

— Tak, nazwisko to nie jest mi obce. To bohater jakiejś powieści, nieprawdaż? Nie lubię detektywów w powieściach — dokonują rozmaitych czynów, a nigdy niewiadomo, w jaki sposób. To sprawa natchnienia, nie roboty.

— Jonathan Wild nie był detektywem i nie był bohaterem powieści. Był genialnym przestępcą i żył w ubiegłym stuleciu — w 1750 r. lub coś koło tego.

— A zatem nie interesuje mnie. Jestem człowiekiem praktycznym.

— Najpraktyczniejszą rzeczą, Mr. Mac, którą byś zrobił w swoim życiu, byłoby zamknąć się na trzy miesiące i czytać dwanaście godzin dziennie roczniki kryminalne. Wszystko się powtarza, nawet profesor Moriarty. Jonathan Wild był ukrytą siłą zbrodniarzy londyńskich, którym sprzedał wiedzę swoją i wykształcenie za piętnaście procent udziału w zyskach. Stare koło obraca się i ukazują się te same szprychy. Wszystko już było i znowu kiedyś będzie. Opowiem panu jeden lub dwa szczegóły, które mogą pana zainteresować.

— Jestem już zainteresowany.

— Dowiedziałem się przypadkowo, kto jest pierwszym ogniem w jego łańcuchu—łańcuchu, na którego jednym końcu znajduje się ten Napoleon zbrodni, na drugim setka rozproszonych jego żołnierzy, złodziei kieszonkowych, szulerów, oszustów i innych, a którego środek stanowią najróżnorodniejsi przestępcy. Jego szefem sztabu jest pułkownik Sebastian Moran, równie niedostępny, strzeżony i nie-

wchodzący w kolizję z prawem, jak on sam. Jak sądzisz, ile mu płaci?

— Chciałbym usłyszeć?

— Sześć tysięcy funtów rocznie. To zapłata za wiadomości, jak pan widzi — główna zasada w stosunkach amerykańskich. Dowiedziałem się o tem przypadkowo. Bierze więcej, niż pierwszy minister. To daje panu pojęcie o zyskach Moriartego i ogromie jego pracy. Jeszcze jeden szczegół. Miałem sposobność śledzić w ostatnim czasie za kilku czekami Moriartego — zupełnie niewinnymi czekami, którymi opłaca swój dom. Pochodziły z sześciu różnych banków. Czy to pana nie uderza?

— Zapewne, że to dziwne. Ale jaki stąd wniosek?

— Że nie chce, aby mówiono o jego bogactwie. Nikt nie powinien wiedzieć, co posiada. Nie wątpię, że ma konto w dwudziestu bankach — główny majątek zaś na kontynencie w Deutsche Bank albo Credit Lyonnais. O ile mógłby pan kiedyś poświęcić rok lub dwa, polecam panu studjum profesora Moriarty.

Inspektor w miarę rozmowy stawał się coraz poważniejszy. Był głęboko zainteresowany. Ale jego praktyczny, szkocki umysł nakazał mu wrócić do właściwej sprawy.

— Bądź co bądź, może poczekać — rzekł on. Odwróciłeś moją uwagę interesującemi anegdotkami, Mr. Holmes. Co mnie właściwie obchodzi, to tylko pańska wzmianka, że zachodzi związek między profesorem i tą zbrodnią. Wynika to z ostrzeżenia, które panu przysłał ów Porlock. Czy możemy wyciągnąć stąd jakie wnioski praktyczne?

— Możemy urobić sobie pewne zapatrywanie na motywy zbrodni. Jest to, o ile wnoszę z pierw-

szych słów pańskich, zagadkowe, a przynajmniej niewyjaśnione morderstwo. Otóż przyjmując, że znam nam jest źródło zbrodni, motywy jej mogą być dwójakiego rodzaju. Przedewszystkiem muszę zaznaczyć, że rządy Moriartego nad podległymi mu ludźmi są iście żelazne. Rygor, jaki zaprowadził, jest straszliwy. Kodeks jego uznaje tylko jedną karę. Jest nią śmierć. Moznaby przypuścić, że zamordowany Douglas, którego los znanym był jednemu z podwładnych tego arcybandyty, zdradził w jakiś sposób swojego szefa. Spotkała go kara, o której dowiedzą się wszyscy inni, choćby tylko dla wzbudzenia w nich obawy przed śmiercią.

— Dobrze, to jedno przypuszczenie, Mr. Holmes.

— Drugie, że zbrodnia popełnioną została na zlecenie Moriartego, jako wchodząca w krąg jego interesów. Czy była kradzież?

— Nie słyszałem.

— W tym wypadku, przemawiałoby to, rzecz prosta, przeciw pierwszej hipotezie, a za drugą. Moriarty mógł jej dokonać za obietnicę uczestnictwa w zysku, a mógł także kazać sobie zapłacić za jej spełnienie. Jedno i drugie jest możliwe. Jakkolwiek się jednak sprawa ma, lub czy nie zachodzi jeszcze trzecia kombinacja, trzeba nam wyjaśnień szukać w Birlstone. Znam zbyt dobrze tego człowieka, aby się ludzi, że pozostawił tu jakiś ślad za sobą, któryby nas mógł do niego zaprowadzić.

— A zatem do Birlstone! — zawołał Mac Donald, zrywając się z krzesła. — Słowo daję! Jest później, niż myślałem. Daję panom pięć minut na przygotowanie się do drogi, nie więcej.

— Aż za wiele — rzekł Holmes i skoczył do

szafy po surdūt. — W drodze poproszę pana, Mr. Mac, abyś mi opowiedział wszystko, co wiesz.

To „wszystko” było, w istocie, bardzo mało, ale wystarczyło, aby nas przekonać, że sprawa była godną najgłębszej uwagi eksperta. Twarz mu się rozpromieniła; zacierał chude ręce, słuchając skąpych lecz znamiennych szczegółów. Zapomnieliśmy o szeregu jałowych tygodni, gdyż tu, nareszcie, był odpowiedni teren do zużytkowania niezwykłych talentów, które, jak wszystkie wyszczególniające się cechy, były tylko ciężarem dla posiadającego je w czasie, kiedy ich nie mógł użyć. Ostrze inteligencji tępiało i pokrywało się rdzą w chwili wytchnienia. Oczy Sherlocka Holmesa błyszcząły, rumieniec zabarwił jego blade policzki, a energiczna twarz promieniała wewnętrznem światłem, kiedy dobiegło go wezwanie do pracy. Pochylony do przodu w dorożce, przysłuchiwał się z uwagą krótkiemu szkicowi problemu, który nas oczekiwał w Sussex. Inspektor opierał się, jak nas sam objaśnił, na krótkim sprawozdaniu, przywiezionem mu pierwszym pociągiem w godzinach rannych. White Mason, urzędnik miejscowy był jego osobistym przyjacielem i dlatego Mac Donald został zawiadomiony wcześniej, niż to jest zwyczajem w Scotlad Yardzie, kiedy chodzi o danie pomocy policji prowincjonalnej. Zwyczajnie wzywa się eksperta ze stolicy, kiedy ślad jest już zupełnie zatarty.

„Drogi inspektorze Mac Donald” (brzmiał list, który nam czytał). „Oficjalne wezwanie z prośbą o pańskie usługi załączone jest w osobnej kopercie. To piszę prywatnie. Zatelegrafuj, jakim pociągiem rannym jedziesz do Birlstone, a będę cię oczekiwał lub przysła kogoś na stację, o ile będę zbyt zajęty.

Sprawa jest ciekawą. Nie trać czasu! O ile możesz, przywieź, z łaski swojej, Mr. Holmesa, gdyż znajdziesz tu coś dla siebie. Możliwość sądzić, że wszystko zrobiono dla teatralnego efektu, gdyby nie trup. Słowo daję, wypadek bardzo ciekawy”.

— Pański przyjaciel nie jest głupi — zauważył Holmes.

— Nie, sir. White Mason jest człowiekiem bardzo sprytnym, o ile mogę sądzić.

— Dobrze; ma pan coś jeszcze?

— To tylko, że szczegółami służyć nam będzie przy spotkaniu.

— Skąd pan zna zatem nazwisko Douglasa i skąd pan wie, że został okrutnie zamordowany?

— To było w koperce urzędowej. Nie było tam wyrażenia „okrutnie”. Określenia takiego korespondencja urzędowa nie uznaje. Podane było nazwisko Jana Douglasa. Była wzmianka, że zginął od wystrzału w głowę. Była też wzmianka o godzinie, w której się to stało, bezpośrednio po północy, onegdaj. Dodaną była uwaga, że jest to bezsprzecznie morderstwo, ale że nikogo nie aresztowano i że sam wypadek nosi piętno niezwykłości i tajemniczości. To wszystko na razie, Mr. Holmes.

— I to nam w danej chwili powinno wystarczyć, Mr. Mac. Silić się na tworzenie przedwczesnych teorii, opartych na niedostatecznych wiadomościach, jest przekleństwem naszego zawodu. Widzę na razie tylko dwie rzeczy: potężny umysł w Londynie i trupa w Sussex. Trzeba nam znaleźć łączący ich łańcuch.

## ROZDZIAŁ III.

### Tragedja w Birlstone.

A teraz muszę na chwilę pozostawić na uboczu moją nic nie znaczącą osobę i opisać wypadki, które zaszły, zanim zjawiliśmy się na widowni, w oświetle- niu, jakie im nadają zebrane przez nas później wiado- mości. Jedyne w ten sposób umożliwię czytelnikowi ocenę wchodzących w grę osobistości i niezwykłego otoczenia, w którym los kazał im pędzić życie.

Wioska Birlstone jest zbiorowiskiem małych, bardzo starych i wpółdrewnianych chałup na północ- nej granicy hrabstwa Sussex. Przez całe stulecie nie uległa żadnym zmianom, ale w ciągu ostatnich kilku lat jej malowniczy wygląd i położenie ściągnęło pew- ną liczbę zamożnych mieszkańców, których wille wyglądają z pomiędzy otaczających je drzew. Drze- wa te, według miejscowych opowiadań, stanowią ze- wnętrzną krawędź wielkiego boru Weald, który prze- rzędzając się coraz bardziej, dochodzi do północnych wydm kredowych. Pewna liczba małych sklepików zaspakaja potrzeby powiększonej ludności tak, że jest nadzieja przekształcenia się wkrótce starej wio- ski Birlstone w nowoczesne miasteczko. Jest ona środowiskiem, w którym skupia się życie sporego szmatu kraju, gdyż Tunbridge Wells, najbliższa zna- czniejsza miejscowość, leży w odległości dziesięciu lub dwunastu mil na wschód, poza granicami Kentu,



Około pół mili od miasteczka, w starym parku, słynnym z olbrzymich buków stoi dawny zamek Birlstone. Część tego starożytnego budynku sięga czasów pierwszej krucjaty, kiedy Hugo de Capus zbudował gród w środku majątku, darowanego mu przez Czerwonego Króla. Gród ten został zniszczony przez ogień w 1543 r., a część jego czarnych od dymu narożników została zużyta, kiedy za czasów Jakóba, na miejscu feudalnego zamku stanął dwór z cegieł. Dwór ten z licznymi wieżyczkami i małemi, rombowni szybkami wygląda dziś, jak z początkiem wieku siedemnastego. Z dwóch fos otaczających jego bardziej rycerskiego poprzednika, zewnętrznej pozwolono wyschnąć i założono ogród warzywny. Wewnętrzna istniała jeszcze i otaczała dom pierścieniem szerokim na czterdzieści stóp, ale zaledwie na kilka stóp głębokim. Zasiliał ją mały strumień, który płynął dalej tak, że woda, chociaż mętna, nigdy nie przypominała bagna lub stawu. Okna piwnic znajdowały się stopę nad powierzchnią wody. Jedyne wejście do dworu prowadziło przez most zwodzony z zardzewiałymi łańcuchami i połamanym dawno kołowrotem. Ostatni właściciele Zamku Birlstone z niewyłąką energią doprowadzili go jednak do porządku tak, że most mógł być nie tylko podniesiony, ale był rzeczywiście podnoszony każdego wieczoru, a spuszczaany każdego ranka. Przez wznowienie tego dawnego zwyczaju z czasów feudalnych Zamek zamieniano w nocy na wyspę — fakt, pozostający w ścisłym związku z tajemnicą, która miała niebawem zwrócić uwagę całej Anglii.

Dom był od szeregu lat niezamieszkały i groził rozpadnięciem się w malowniczą ruinę, kiedy Douglasowie objęli go w posiadanie. Rodzina ta składała

się tylko z dwóch członków, Jana Douglasa i jego żony. Douglas był człowiekiem wybitnym tak pod względem charakteru, jak i wyglądu zewnętrznego. Mógł liczyć lat około pięćdziesiąt, z poorly zmarszczkami twarzy, potężnymi szczękami, siwiejącymi włosami, niezwykle przenikliwymi szaremi oczyma i męską świadczącą o zdrowiu postawą, która nie straciła nic z młodzieńczej siły i zwinności. Był wesołego usposobienia i serdeczny dla wszystkich, ale w zachowaniu się nieco rubaszny, co nasuwało przypuszczenie, że życie spędzić musiał w niższych warstwach społecznych, niż towarzystwo w Sussex. Jednakże, chociaż bardziej wykształceni jego sąsiedzi odnosili się do niego z pewną rezerwą i zaciekawieniem, zyskał wkrótce popularność u mieszczan, subskrybując ochoczo na wszystkie cele miejscowe i biorąc udział w ich koncertach i innych zebraniach, gdzie, jako odznaczający się silnym głosem tenorowym, gotów był zawsze wystąpić z swoim pięknym śpiewem. Zdaje się, że pieniędzy miał dość, a zdobył je, jak mówiono, w kalifornijskich kopalniach złota. Zresztą opowiadania jego i żony świadczyły jasno, że część życia spędził w Ameryce. Dobra opinia, jaką sobie wyrobił hojnością i demokratycznymi manierami urosła, skoro zyskał reputację człowieka nieprzejmującego się niebezpieczeństwami. Kiedy na plebanji wybuchł pożar odznaczył się odwagą, z jaką wszedł do budynku, aby ocalić rzeczy, które miejscowa straż uznała za nieodwołalnie stracone. I tak przyszło do tego, że Jan Douglas z Zamku zyskał sobie w Birlstone w przeciągu pięciu lat ogólny szacunek.

Żona jego cieszyła się również wielką popularnością między znajomymi, chociaż, jak to bywa w

Anglii, gości, odwiedzających obcego, który osiedlił się w hrabstwie, a nie miał wyrobionych stosunków, było bardzo mało. Nie sprawiało to jej większej różnicy, gdyż z usposobienia była kobietą spokojną i zajęta, o ile można było wnosić, jedynie mężem i sprawami domowymi. Było ogólnie wiadome, że pochodziła z Anglii i że poznała się z Mr. Douglasem w Londynie, kiedy był już wdowcem. Była to piękna kobieta, smukła, czarna, wysoka, młodsza o jakie dwadzieścia lat od swojego męża, co jednak nie wpływało pod żadnym względem na ich szczęście rodzinne. Ci, którzy ją znali bliżej, zauważyli jednak, że zaufania między nimi nie było, jak się zdaje, zupełnie, gdyż żona albo nie lubiała mówić o przeszłości męża, albo, co prawdopodobniejsze, była o niej niedostatecznie poinformowana. Kilka osób spostrzegło również, że pani Douglas była czasami bardzo zdenerwowaną i że nieukrywała niepokoju, ilekroć nieobecny małżonek spóźniał się do domu. W spokojnej okolicy, gdzie plotki są na czasie, zachowanie się pani Zamku nie mogło przejść bez wrażenia i uwydatniło się w pamięci ludzi, kiedy późniejsze wypadki nadały mu znaczenie specjalne.

Była tam jeszcze jedna osoba, której pobyt w tym domu był, co prawda, sporadyczny, ale której obecność tam w czasie, kiedy zaszły opisane poniżej dziwne wypadki, uczyniła nazwisko jej szczególnie popularnym. Osobą tą był Cecil James Barker z Hales Logge w Hampstead. Rosła, silna postać Cecila Barkera znaną była na głównej ulicy wioski Birstone, gdyż był on częstym i mile widzianym gościem w Zamku. Znany był tam bardziej, jako jedyny w Anglii przyjaciel z dawnych, nieznanymi ogółowi lat Mr. Douglasa. Nie ulegało wątpliwości, że sam Bar-

**ŚWIETLICA**

Huty „BOBREK“

ker był Anglikiem, ale słowa jego świadczyły, że po-  
znał się z Douglasem w Ameryce i pozostawał tam  
z nim w zażyłych stosunkach. Zdaje się, że był to  
człowiek bogaty i że otrzymał pewne uniwersyteckie  
wykształcenie. Był nieco młodszy niż Douglas, liczył  
najwyżej czterdzieści pięć lat, rosły, trzymający się  
prosto, o szerokiej piersi, z twarzą gładko wygoloną  
jak u boksera, gruby, siłny, z czarnymi brwiami i pa-  
rą czarnych, groźnych oczu, które mogły, nawet bez  
użycia jego potężnych rąk, utorować mu drogę prze-  
tłum nieprzyjaciół. Nie jeździł konno, ani nie strze-  
lał, ale przez cały dzień chodził po starym miastecz-  
ku z fajką w ustach lub towarzyszył w powozie go-  
spodarzowi, względnie, w razie jego obecności, go-  
podyni. „Spokojny, wygodny jegomość”, mawiał  
nim Ames, piwniczy, „ale, daję słowo, nie chciałby  
mu wejść w drogę”. Wobec Douglasa był serdeczny  
i przyjacielski zarówno, jak wobec jego żony, ch-  
ciaż ta właśnie przyjaźń zdawała się nieraz draż-  
nić ją tak, że zwróciło to nawet uwagę służby. Tak  
była trzecia osoba, która należała do rodziny,  
chwili, kiedy przyszło do katastrofy. Co do innych  
mieszkańców starego budynku, wystarczy z pomi-  
dzy dosyć licznej służby wspomnieć układnego, sz-  
nownego i pracowitego Amesa i panią Allen, tę-  
ż i wesołą niewiastę, która pomagała gospodyni w z-  
jęciach domowych. Pozostałych sześcioro służ-  
by w domu nie odegrało żadnej roli w wypadkach no-  
wego stycznia.

O jedenastej czterdzieści pięć zaalarmowa-  
li miejscowy posterunek policyjny pod dowód-  
stwem sierżanta Wilsona ze straży bezpieczeństwa  
Sussex, Mr. Cecil Barker, bardzo wzburzony, dobi-

się do drzwi, targając z wściekłością za sznur od dzwonka. Straszliwa tragedia rozegrała się w Zamku i Mr. Jan Douglas został zamordowany. Wiadomość tę wypowiedział jednym tchem. Powrócił czemprędzej do domu, a za nim w kilka minut przybył sierżant policji, który zjawił się na miejscu zbrodni nieco po dwunastej, poczyniwszy uprzednio pewne kroki, celem powiadomienia władz hrabstwa, że zaszło coś poważnego.

○ Doszedłszy do Zamku, sierżant znalazł most opuszczony, oświetlone okna, a cały dom w stanie zamieszania i przerażenia. Błada służba zebrała się w przedsiönku, z wylekzionym piwniczym, który zalamywał ręce we drzwiach. Tylko Cecil Barker był jak się zdaje, panem siebie i swoich uczuć. Otworzył najbliższe drzwi i dał znak sierżantowi, aby poszedł za nim. W tej chwili przybył dr. Wood, rzutki i dzielny lekarz — praktyk miasteczka. Trzej mężczyźni weszli równocześnie do fatalnego pokoju, podczas gdy trzęsący się ze strachu piwniczy następował im na pięty, zamykając za sobą drzwi, aby nie pokazywać straszego obrazu służącym.

Zmarły leżał na plecach z wyciągniętymi rękoma i nogami na środku pokoju. Ubrany był tylko w różowy szlafrok, który wdział wprost na bieliznę. Na bosych nogach miał pantofle. Doktor ukląkł przy nim i oglądał go przy świetle lampy, którą zdjął ze stołu. Jeden rzut oka na ofiarę wystarczył lekarzowi na stwierdzenie, że pomoc jego jest zbyteczna. Człowiek został okrutnie zamordowany. Na pierśsiach jego leżała ciekawa broń, strzelba o lufach spilotowanych w odległości jakiej stopy od kurków. Było jasnym, że wystrzelono z niej zbliśka i że otrzymał cały nabój w twarz, przyczem głowa została zupeł-

nie roztrząskana. Za oba cyngle, które były związane drutem, pociągnięto równocześnie, aby skutek wystrzału był tem straszniejszy.

Policjant miejscowy był nadzwyczaj zdenerwowany i zakłopotany odpowiedzialnością, jaka spadła na niego niespodziewanie.

— Nic nie ruszymy, dopóki nie przyjadą moi przełożeni — rzekł przyciszonym głosem, patrząc ze zgrozą na straszliwą głowę.

— Dotąd nic nie ruszono — rzekł Cecil Barker. — Za to ja odpowiadam. Wszystko jest tak, jak znalazłem.

— Kiedy to było? — Sierżant wyciągnął notes.

— Zaraz po wpół do dwunastej. Jeszcze nie rozebrany siedziałem przy ogniu w mojej sypialni, kiedy usłyszałem huk. Nie był głośny — raczej, jakby przytłumiony. Zbiegłem na dół. Przypuszczałem, że nie minęło więcej, jak trzydzieści sekund, kiedy znalazłem się w pokoju.

— Czy drzwi były otwarte?

— Tak jest, otwarte. Biedny Douglas leżał, jak panowie widzicie. Świeca paliła się na stole. Lampę zapaliłem ja sam w kilka minut później.

— Czy widziałeś pan kogo?

— Nie. Słyszałem, że idzie za mną pani Douglas, wybiegłem zatem, aby oszczędzić jej tego straszliwego widoku. Pani Allen, zarządczyni, odprowadziła ją. Przybył Ames i obaj weszliśmy raz jeszcze do pokoju.

— Wszak słyszałem, że most zwodzony podnosi się na noc?

— Tak jest, był podniesiony, dopóki nie zacząłem go opuszczać.

— A zatem, gdzie się podział morderca? To wyklucone. Mr. Douglas zastrzelił się sam.

— To była nasza pierwsza myśl. Ale popatrz pan! — Barker odsunął firanki i pokazał, że wąskie, wysadzone rombami szybki okno było na oścież otwarte. — I oglądnij to! — Poświecił lampą, pokazując ślad krwawy, jakby odbicie podeszwy buta na drewnianej futrynie. — Ktoś wyszedł tędy.

— Pan sądzi, że ktoś przeszedł w bród przez fosę?

— Właśnie.

— Jeśli pan zatem był w pokoju w pół minuty po dokonaniu zbrodni, człowiek ten musiał być nagle w wodzie.

— Nie wątpię w to. Oh! Gdybym był podszedł do okien! Ale zasłaniały je firanki, jak pan widzi tak, że nie przyszło mi to na myśl. Potem usłyszałem kroki pani Douglas i chciałem powstrzymać ją od wejścia do pokoju. Byłoby to zbyt straszne!

— Straszne! — rzekł doktor, spoglądając na roztrzaskaną głowę i okropne ślady. — Nie widziałem takich ran od czasu katastrofy kolejowej w Birlstone.

— Ale — zauważył policjant, którego zdrowy, chłopski rozum zajęty był jeszcze sprawą otwartego okna — o ile przyjmujemy, że przestępca uciekł, przechodząc w bród fosę, to w jaki sposób, pytam, dostał się do domu, skoro most był podniesiony?

— Oto kwestja — rzekł Barker.

— O której godzinie podniesiono go?

— Około szóstej — rzekł Ames, piwniczy.

— Słyszałem — rzekł sierżant — że podnoszono go zwyczajnie o zachodzie słońca. Byłoby to w tej porze roku raczej o wpół do piątej, niż szóstej.

— Pani Douglas miała gości na herbacie — rzekł Ames. — Nie mogłem podnieść go, zanim odeszli. Potem zająłem się tem sam.

— A więc staje na tem, — rzekł sierżant — że o ile przybył ktoś z zewnątrz, musiał przejść przez most przed szóstą i pozostać ukrytym do czasu, kiedy Mr. Douglas wszedł do pokoju po jedenastej.

— Tak jest. Mr. Douglas obchodził co noc cały dom dokoła, a potem wracał, aby się przekonać, czy światła pogaszone. To go tu sprowadziło. Człowiek ten czekał na niego i zastrzelił go. Potem uciekł przez okno, pozostawiając swoją strzelbę. Tak mi się zdaje i jedynie to tłumaczy fakty.

Sierżant podniósł bilet, który leżał na podłodze obok trupa. Inicjały D. V., a pod niemi liczba 341 były na nim nabazgrane atramentem.

— Co to? — zapytał, podnosząc go w górę.

Barker spojrział na bilet z ciekawością.

— Nigdy go przedtem nie widziałem — rzekł. Morderca musiał go zostawić.

— D. V. 341. Nie rozumiem.

Sierżant obracał go w wielkich swoich palcach.

— Co to jest D. V.? Może czyjeś inicjały? Co pan tam znalazł, doktorze Wood?

Był to spory młot, który leżał na dywanie przed ogniem, zwyczajny młot robotniczy. Cecil Barker wskazał na pudełko z gwoździemi, które stało na gzemisie kominka.

— Mr. Douglas zmienił wczoraj obrazy — rzekł. — Widziałem, jak stał na tem krześle i przybijał wielki obraz ponad nim. To tłumaczy obecność młota.

— Pozostawmy go na dywanie, gdzie leżał — rzekł sierżant, drapiąc się w głowę zakłopotany. —



Trzeba będzie tęgich umysłów, aby wyświetlić to wszystko. Będzie się musiał w to wdać ktoś z Londynu. — Podniósł w górę lampę i obszedł zwolna pokój dokoła. — Hallo! — zawołał wzburzony, odsuwając firanki. — O której godzinie ściągnięto firanki?

— Po zapaleniu lampy — rzekł piwniczy. — Było to zaraz po czwartej.

— Ktoś się tu ukrył, to pewne. — Zniżył światło; w kącie pokoju ukazały się ślady zabłoconych butów. — Muszę przyznać, że to przemawia za pańską teorią, Mr. Barker. Wygląda to tak, jakby ów człowiek dostał się do domu po czwartej, kiedy zasunięto firanki i przed szóstą, zanim podniesiono most. Wślizgnął się do tego pokoju, ponieważ nie widział innego. Nigdzie nie mógł się ukryć, schował się zatem za firanką. To jest, zdaje się, jasne. Prawdopodobnie miał głównie zamiar obrabować dom, ale kiedy go złapał Mr. Douglas, zamordował go i uciekł.

— To moje zdanie — rzekł Barker. — Ale, czy nie tracimy czasu na próżno? Możebyśmy przetrzasnęli okolicę, zanim człowiek ten nie ucieknie?

Sierżant zastanawiał się przez chwilę.

— Przed szóstą rano nie odchodzi żaden pociąg, nie mógł zatem pojechać koleją. Jeśli pójdzie drogą z przemoczonemi nogami, z pewnością ktoś zwróci na niego uwagę. W każdym razie nie mogę stąd odejść, jak długo ktoś mnie nie zastąpi. Sądzę również, że i panowie nie powinni odchodzić, dopóki się nie przekonamy, jak sprawa stoi.

Doktor wziął lampę i oglądał ciało zbliska.

— Cóż to za znak? — zapytał. — Czw to ma jakiś związek ze zbrodnią?

Prawa ręka trupa wychylała się z ubrania, obnażona aż po łokieć. Mniej więcej w połowie przedramienia widać było dziwny brunatny rysunek, trójkąt w kole, zaznaczający się ostro na żółtawej skórze.

— To nie tatuowane — rzekł doktor, przyglądając się przez szkła.—Nigdy nie widziałem nic podobnego. Człowiek ten był kiedyś piętnowany podobnie, jak piętnuje się bydło. Co to ma znaczyć?

— Nie mam pojęcia — rzekł Cecil Barker, — Ale piętno to widziałem u Douglasa niejednokrotnie w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

— I ja również — rzekł piwniczny. — Wiele razy, kiedy pan odwinał rękawy, widziałem to samo znamię. Często dziwiłem się, co ma oznaczać.

— A zatem nie ma żadnego związku ze zbrodnią — rzekł sierżant. — Ale, bądź co bądź, jest ciekawe. Wszystko jest ciekawe w tym wypadku. I cóż teraz?

Piwniczny wydał okrzyk zdziwienia i wskazał na wyciągniętą rękę zmarłego.

— Zniknęła obrączka ślubna! — jęknął.

— Tak jest. Pan nosił zawsze złotą obrączkę ślubną na małym palcu lewej ręki. Pierścień z nieobrobioną bryłką złota był ponad nią, a ten pleciony pierścionek na palcu środkowym. Tu jest bryłka złota, tu pleciony pierścionek, ale obrączka ślubna zniknęła.

— To prawda — rzekł Barker.

— Czy chcecie powiedzieć przez to — rzekł sierżant — że obrączka była pod drugim pierścionkiem?

— Zawsze,

A zatem morderca lub ktoś inny zdjął naj-  
pierw ów pierścień z bryłką złota, potem ślubną  
obrączkę, a potem włożył z powrotem pierścień  
z bryłką złota.

— Tak jest.

— Zdaje mi się, że im prędzej damy znać do  
Londynu, tem będzie lepiej — rzekł. — White Ma-  
son, to dzielny człowiek. White Mason zawsze so-  
bie dawał rady sam. Ale w tym wypadku mam wra-  
żenie, że zwrócimy się o pomoc do Londynu. W ka-  
żdym razie nie wstydzę się przyznać, że zadanie to  
przechodzi moje siły.

## ROZDZIAŁ IV.

### C i e m n o ś c i .

O trzeciej nad ranem pierwszy detektyw w Sussex, posłuszny wezwaniu sierżanta Wilsona z Birlstone, przybył z głównej kwatery w lekkim powoziku, zaprzężonym w zmęczonego konia. Pociągiem, odchodzącym o piątej czterdzieści rano przesłał wiadomość do Scotland Yardu, a o dwunastej oczekiwał nas na stacji w Birlstone. Mr. White Mason był spokojnym, miłym mężczyzną, w szerokim sukiennem ubraniu, z twarzą wygoloną i pooraną zmarszczkami, silnie zbudowany, z wielkimi, wykrzywionemi ku zewnątrz nogami, przystrojonemi w kamasze, przypominający raczej wyglądem swoim jakiegoś gospodarza, spensjonowanego leśniczego lub kogokolwiek innego, tylko nie osobnika, będącego urzędnikiem prowincjonalnej policji.

— Bardzo ciekawy wypadek, Mr. Mac Donald — przemówił. — Gazeciarze zlecą się tu, jak muchy. Ale mam nadzieję, że skończymy naszą robotę, zanim wścibią do niej swój nos i zatrą wszelkie ślady. Nie przypominam sobie nic podobnego; Kilka szczegółów przypadnie panu do gustu, Mr. Holmes, tego jestem pewny. I pana zainteresuje również, doktorze Watsonie, gdyż i lekarze będą tu mieli coś do powiedzenia. Pokoje dla panów są w Westville Arms. Nie znalazłem innego pomieszczenia, ale słyszę, że tam

będzie czysto i wygodnie. Ten człowiek zaniesie wasze rzeczy. Tędy, panowie, jeśli łaska.

Była to ruchliwa i pełna życia osobistość, ten detektyw z Sussex. W ciągu dziesięciu minut znaleźliśmy wszyscy przeznaczone dla nas pomieszkania. W dziesięć minut później siedzieliśmy w gospodzie i słuchaliśmy krótkiego sprawozdania o wypadkach, które przedstawiłem w ogólnych zarysach w poprzedzającym rozdziale. Mac Donald robił notatki, podczas gdy Holmes siedział zamyślony z wyrazem zdziwienia i głębokiego zachwytu, z jakim botanik przygląda się rzadkiemu i cudownemu kwiatowi.

— Niezwykłe! — rzekł, kiedy cała sprawa stała wyłuszczone. — W istocie niezwykłe! Nie przypominam sobie wypadku, którego szczegóły byłyby równie ciekawe.

— Wiedziałem, że pan tak powie, Mr. Holmes — rzekł White Mason, uradowany. — Idziemy z prądem czasu w Sussex. Opowiedziałem panu jak sprawy stały do chwili, kiedy objąłem śledztwo od sierżanta Wilsona między trzecią i czwartą dziś rano. Na honor, moja klacz miała ciężką przeprawę. Ale ostatecznie nie było się co spieszyć, gdyż nie miałem właściwie nic do roboty. Sierżant Wilson zebrał wszystkie szczegóły. Sprawdziłem je i roztrząsałem, dodając kilka swoich spostrzeżeń.

— To jest? — zapytał Holmes gorączkowo.

— Przedewszystkiem oglądałem młot. Dr. Wood służył mi pomocą. Nie znaleźliśmy na nim najmniejszych śladów gwałtu. Miałem nadzieję, że jeśli Mr. Douglas bronił się młotem, zadał mordercy jakąś ranę, zanim upuścił go na dywan. Ale nie było na nim żadnego znaku.

— To, rzecz prosta, niczego nie dowodzi —

zauważył inspektor Mac Donald. — Znam szereg morderstw dokonanych przy pomocy młota, gdzie jednak na młocie nie było żadnych śladów.

— Właśnie. Nie dowodzi to, aby młota nie użyto. Ale, jeśli były na nim jakieś plamy, mogłoby nam to coś pomóc. Nie było jednak żadnych. Potem oglądałem strzelbę. Była to strzelba na rogacze, a jak zwrócił uwagę sierżant Wilson, cyngle były związane drutem tak, że przy pociśnięciu jednego następował wystrzał z obu luf. Ten, kto związał cyngle razem, był pewny, że nie chybi tego człowieka. Strzelba z wpółodciętymi lufami była długa zaledwie na dwie stopy; można ją było wygodnie schować pod surdudem. Nazwiska fabrykanta nie znalazłem, ale w rowku między lufami wyryte były litery PEN; reszta nazwiska została odcięta piłką.

— Wielkie P z ozdobnikiem u góry i mniejsze nieco „E” i „N”? — zapytał Holmes.

— Właśnie.

— Pensylwania Small Arm Company — znana firma amerykańska — rzekł Holmes.

White Mason spojrzał na mojego przyjaciela, jak lekarz praktyk z małego miasteczka na specjalistę z Harley Street, który jednym słowem usuwa trudności dla niego nie do przewyciężenia.

— To się nam przyda, Mr. Holmes. Pan ma słuszność. Cudowne! Cudowne! Czy pan pamięta nazwiska wszystkich fabrykantów broni na kuli ziemskiej?

Holmes machnął ręką, nie odpowiadając na pytanie.

— Nie ulega wątpliwości, że to strzelba amerykańska — mówił dalej White Mason. — Czytałem, o ile mi się zdaje, że strzelb z odpiłowanymi lufami

używają w pewnych okolicach Ameryki. Mysł ta przyszła mi do głowy, chociaż nie umiałem sobie wytłumaczyć napisu. Jest to dowodem, że człowiek, który wszedł do domu i zabił właściciela był Amerykaninem.

Mac Donald wstrząsnął głową.

— Człowieku, nie należy się śpieszyć—rzekł.— Nie mamy dotąd żadnego dowodu, któryby przemawiał za obecnością w domu kogoś obcego.

— Otwarte okno, krew na futrynie, tajemniczy bilet, ślady stóp w kącie, strzelba.

— Wszystko mogło być przygotowane. Mr. Douglas był Amerykaninem, albo przebywał długo w Ameryce. Tak samo Mr. Barker. Nie trzeba sprowadzać Amerykan z zewnątrz, kiedy się ich ma w domu.

— Ames piwniczny...

— Co o nim sądzisz? Można mu ufać?

— Służył dziesięć lat u sir Karola Chandos. Pewny, jak skała. Był u Douglasa od chwili, kiedy ten kupił Zamek przed pięciu laty. Nigdy nie widział w domu takiej strzelby.

— A zatem strzelba była ukryta. Dlatego spilotowano lufy. Mogła leżeć w każdym kuferku. Czy mógłby przysiąc, że strzelby takiej nigdy w domu nie było?

— W każdym razie jej nie widział.

Mac Donald wstrząsnął swoją upartą szkocką głową.

— To mnie nie przekonywa—rzekł.— Zastanów się — akcent jego w miarę argumentacji, przypominał coraz więcej Aberdeen — zastanów się, jakie to pociąga następstwa, jeśli przyjmiesz, że strzelbę przyniesiono do domu i że wszystkiego, co się stało, do

konał ktoś z zewnątrz. Oh, człowieku, to nie do pomyslenia. To wbrew rozsądkowi. Co pan sądzi o tem, Mr. Holmes?

— Proszę powiedzieć swoje zdanie, Mr. Mac—  
rzekł Holmes tonem rozjemcy.

— Człowiek ów, o ile rzeczywiście istnieje, nie jest złodziejem. Obrączka i bilet wskazują, że zachodzi tu uplanowane morderstwo z powodów prywatnych. Bardzo dobrze. Mamy człowieka, który zakrada się do domu z postanowieniem popełnienia morderstwa. Wie on, o ile wie, że ucieczka jego będzie trudną, gdyż dom jest otoczony wodą. Jakiej broni musiałby użyć? Takiej, powiecie, któraby sprawiła jak najmniej hałasu. Jedynie w tym wypadku mógłby mieć nadzieję, że wymknie się szybko przez okno po dokonaniu czynu, przejdzie wbród fosę i ucieknie, gdzie zamierza. To zrozumiałe. Ale nie można zrozumieć, dlaczego przyniósł broń, która właśnie sprawia wielki hałas, wiedząc dobrze, że zwabi na miejsce wszystkich ludzi i że według wszelkiego prawdopodobieństwa zostanie spostrzeżony, zanim zdoła przebyć fosę. Czy to możliwe, Mr. Holmes?

— Bierze się pan do sprawy ostro — odparł mój przyjaciel zadumany. — Wypadek wymaga w istocie głębszego zastanowienia się. Ośmielę się zapytać, Mr. White, czy zbadał pan odrazu drugi brzeg fosy i czy stwierdził pan, że człowiek jakis wyszedł tędy z wody?

— Nie znalazłem żadnych śladów, Mr. Holmes. Ale brzeg jest wyłożony kamieniami i dlatego trudno coś zobaczyć.

— Żadnych śladów, ani znaków?

— Żadnych.

— Hal Czy możemy, Mr. White Mason, udać



się do dworu zaraz? Może znajdzie się jakiś drobiazg, godny uwagi.

— Chciałem to zaproponować, Mr. Holmes, ale uważałem za stosowne powiadomić panów o wszystkim. Wątpię jednak, czy znajdzie pan jeszcze coś ciekawego — White Mason spojrzął z niedowierzaniem na amatora.

— Pracowałem już razem z Mr. Holmesem — rzekł inspektor Mac Donald. — Zna się na rzeczy.

— Mam w każdym razie swoją metodę — rzekł Holmes z uśmiechem. — Zabieram się do każdej sprawy z myślą użyczenia pomocy policji, aby sprawiedliwości stało się zadość. Jeśli oddzieliłem się kiedy od władz urzędowych, to dlatego, że one same oddzieliły się odemnie. Nie mam nigdy zamiaru pracować ich kosztem. Ale wymagam również, Mr. Mason, aby pozwolono mi iść własną drogą i podać rezultaty, kiedy uznam sam za stosowne, raczej naraz, niż partjami

— Obecność pańska jest dla nas zaszczytem, to też służymy mu wszelkimi wiadomościami — rzekł serdecznie White Mason. — Chodź pan, doktorze Watson, a w przyszłości prosimy o wzmiankę w pańskiej książce.

Szliśmy staroświecką ulicą wioski, między dwoma rzędami drzew olchowych. Tuż za nią ujrzelśmy dwa stare słupy kamienne, zniszczone przez deszcz i obrosnięte mchem, a na nich umieszczone niekształtne przedmioty, będące niegdyś rzucającymi się do skoku lwami Capusów z Birstone. Nie długa, wijąca się, wśród wspaniałych, jak rzadko gdzieś na wsi w Anglii, trawników i dębów, ścieżka zaprowadziła nas przed długi, niski dom z czasów Jakóba, z ordynarnej, brunatnej cegły, z starym ogrodem. Podszedłszy bliżej, spostrzegliśmy drewniany most zwodzony i pię-

kną szeroką fosę z wodą, spokojną i błyszczącą, jak rtec w zimnem słońcu zimowem. Trzy stulecia przeszły nad starym zamkiem, stulecia urodzin i powrotów do domu, zabaw sąsiedzkich i zebrań polujących na lisy myśliwych. Dziwna rzecz, że ta przykra sprawa teraz w starości, rzuciła cień na jego czcigodne mury. A jednak te cudaczne wieżyczki i dachy z pod-sieniami były stosownym terenem dla jakiejś strasznej, okrutnej intrygi. Kiedy patrzyłem na głęboko osadzone okna i długi, ciemny, zmyty przez deszcze front, czulem, że nie mógłbym znaleźć odpowiedniejszej sceny do takiej tragedji.

— Oto okno — rzekł White Mason. — Zaraz na prawo od mostu. Jest otwarte, jak znaleziono je ubiegłej nocy.

— Irochę za wąskie, aby przez nie mógł przejść człowiek.

— Nie był to w każdym razie, tłusty mężczyzna. Wiemy o tem i bez pana, Mr. Holmes. Ale ja lub pan przeslizgnęlibyśmy się przez nie z łatwością.

Holmes stanął nad brzegiem bagna i spojrzął na nie. Potem oglądnał wyłożony kamieniami brzeg i trawnik poza nim.

— Mam dobre oczy, Mr. Holmes — rzekł White Mason. — Nie ma tam nic ciekawego. Żadnych śladów człowieka. Zresztą, po co miałby zostawiać ślady?

— Właśnie. Dlaczego? Czy woda jest zawsze brudna?

— Zawsze ma taki mniej więcej kolor. Potok przynosi glinę.

— Jak głęboką jest fosa?

— Około dwie stopy przy brzegach i trzy na środku.

— Trudno zatem przypuścić, aby ów człowiek mógł się w niej utopić próbując przejść.

— Nie, nie utopiłoby się tu nawet dziecko.

Przebyliśmy most zwodzony i wpuszczeni zostaliśmy do środka przez cudaczną, suchą i wychudzoną osobistość, to jest przez piwniczego Amesa. Biedny stary był bladej i drżący z przerażenia. Sierżant miejski, wysoki, sztywny, melancholiczny mężczyzna trzymał wciąż jeszcze straż na miejscu zbrodni. Lekarz odjechał.

— Jest coś nowego, sierżancie Wilsonie? — zapytał White Mason.

— Nie, sir.

— A zatem możecie iść do domu. Jesteście zmęczeni. Poślemy po was w razie potrzeby. Piwniczka niech zaczeka za drzwiami. Tak będzie lepiej. Powiedzcie mu, aby zawiadomił Mr. Cecila Barkera, panią Douglasową i zarządczynię, że może ich będziemy chcieli przesłuchać. A teraz pozwólcie, panowie, że przedstawię rzecz z mojego punktu widzenia, a potem wy wypowiedziecie swoje zdanie.

Zrobił na mnie dobre wrażenie ten miejscowy specjalista. Oceniał fakty pewnie i miał umysł trzeźwy, spokojny, prosty, który mógł utorować mu drogę w jego zawodzie. Holmes słuchał słów jego z uwagą bez oznak tego zniecierpliwienia, jakie tak często wywołuje urzędowy mówca.

— Samobójstwo, czy morderstwo — to nasze pierwsze pytanie, nieprawdaż panowie? Gdyby to było samobójstwo, trzeba by przyjąć, że człowiek ów zdjął najpierw i ukrzył swoją obrączkę ślubną, że przyszedł tu w szlafroku, deptał zabłoconymi butami w kacie poza firanką, aby upozorować, że czekała tu na niego jakaś osoba, otworzył okno, poplamiał krwią...

— Możemy to wykluczyć napewno — rzekł Mac Donald.

— I ja tak sędzę. Samobójstwo nie wchodzi w grę. A zatem popełniono morderstwo. Rozchodzi się tylko o stwierdzenie, czy popełnił je ktoś z domu, czy z poza domu.

— Dobrze, posłuchajmy argumentów.

— I w jednym i w drugim wypadku zachodzą poważne trudności, a jednak jedna z tych ewentualności zająć musiała. Przypuścimy najpierw, że jakaś osoba lub osoby z domu popełniły zbrodnię. Napadły na tego człowieka tutaj w czasie, kiedy wszędzie było cicho, ale nikt nie spał. Potem dokonały przestępstwa najdziwniejszą i najgłośniejszą bronią w świecie, jakby chcąc zawiadomić wszystkich o czynie — bronią, której nikt przedtem w domu nie widział. To nie wydaje się bardzo prawdopodobne...

— W istocie, nie wydaje się prawdopodobne.

— Otóż, wszyscy się zgadzają, że skoro wszczął się alarm, nie upłynęło minuty, a cały dom — nie tylko Mr. Cecil Barker, chociaż twierdzi, że był pierwszy, ale Ames i inni — zbiegli się na miejsce zbrodni. Czy chcecie wmówić we mnie, że przez ten czas winowajca zostawił ślady w kącie, otworzył okno, poplamiał krwią futrynę, zdjął z palca trupa ślubną obrączkę i t. d. To niemożliwe.

— Ma pan słuszność — rzekł Holmes. — Zgadzam się z panem.

— A zatem musimy przyjąć hipotezę, że dokonał tego ktoś z zewnątrz. Mamy i w tym wypadku poważne trudności, ale w każdym razie nie są to niepodobieństwa. Człowiek wszedł do domu między czwartą trzydzieści i szóstą, to znaczy między zmierzchem a podniesieniem mostu. Byli tam goście, a za-

tem drzwi pozostawiono otwarte tak, że nie napotkał na żadne przeszkody. Mógł to być zwyczajny złodziej, albo ktoś mający osobiste porachunki z Mr. Douglasem. Ponieważ Mr. Douglas spędził część życia w Ameryce i strzelba ta pochodzi z Ameryki, teoria osobistych porachunków wydaje się bardzo prawdopodobną. Wślizgnął się do tego pokoju, ponieważ był pierwszym z brzegu i ukrył się za firanką. W tym czasie wszedł do pokoju Mr. Douglas. Przyszło do krótkiej rozmowy, o ile wogóle przyszło, gdyż, jak podaje pani Douglas, w kilka minut po pożegnaniu się jej z mężem usłyszała wysirzał.

— Świadczy o tem świeca — rzekł Holmes.

— Właśnie. Świeca, która była świeżo założona, spaliła się zaledwie na pół cala. Musiał postawić ją na stole, zanim został napadnięty, w przeciwnym razie, rzecz prosta, spadłaby na ziemię wraz z nim. Jest to dowodem, że nie napadnięto go przy wejściu do pokoju. Kiedy wszedł Mr. Barker paliła się lampa, a świeca była zgaszona.

— To wszystko jasne.

— Na tych podstawach możemy sobie teraz odtworzyć, co się stało. Mr. Douglas wchodzi do pokoju. Z poza firanki wysuwa się mężczyzna. Uzbromiony jest w strzelbę. Domaga się ślubnej obrączki — Bóg wie dlaczego, ale tak być musiało. Mr. Douglas daje mu ją. Potem albo z zimną krwią, albo w czasie walki — Douglas mógł chwycić za młot, znalezione na dywanie — zastrzelił Douglasa z tej straszliwej strzelby. Rzucił broń, a także, jak się zdaje, tę tajemniczą kartkę z napisem „D. V. 341”, której znaczenie jest dla nas niejasne i uciekł przez okno i przez bagnistą fosę w chwili, kiedy Cecil Barker przybył na miejsce zbrodni. Cóż pan na to, Mr. Holmes?

— Bardzo ciekawe, ale trochę nieprzekonywujące.

— Człowieku, chociażby to był nonsens, wszelka inna kombinacja byłaby jeszcze gorszą — zawołał Mac Donald. — Ktoś zabił człowieka, ale ktokolwiekby to był, mógłbym panu udowodnić, że zabiłby go w inny sposób. Pocóż miał uciekać przez fosę, kiedy łatwo możnaby mu wówczas przeciąć drogę? Pocóżby miał używać strzelby, kiedy cisza dawałaby mu szanse ucieczki? Nie, Mr. Holmes, na pana kolej użyczyć nam wskazówek, kiedy teoria Mr. White'a Masona nie przemawia panu do przekonania.

Holmes siedział, przyglądając się bacznie w ciągu tej długiej rozmowy, zwracając uwagę na każde wypowiedziane słowo, strzelając bystre mi oczyma na lewo i prawo i marszcząc w zadumie czoło.

— Chciałbym poznać fakty, zanim zdobędę się na teorię, Mr. Mac — rzekł, klękając przy trupie. — W istocie, te rany są straszliwe. Czy nie moglibyśmy poprosić na chwilę piwniczego? Ames, o ile wiem, widzieliście często to niezwykle piętno, wypalony żelazem trójkąt w kole, na przedramieniu Mr. Douglasa?

— Często, sir.

— Nigdy nie słyszeliście, co ma oznaczać?

— Nie, sir.

— Wypalenie znaku tego musiało być bardzo bolesne, gdyż jest on bezwątpienia wypalony. A teraz widzę, Ames, że na szczęce Mr. Douglasa przyklepiony jest mały plaster. Czy zauważyliście go za życia?

— Tak, sir; zaciął się przy goleniu wczoraj rano.

— Czy często się zaciął?

— Nie, pierwszy raz od dłuższego czasu.

— To ciekawe — rzekł Holmes. — Może to tylko zbieg okoliczności, ale może to wskazywać również na zdenerwowanie z powodu grożącego niebezpieczeństwa. Czy zauważyliście coś szczególnego w jego zachowaniu się wczoraj, Ames?

— Uderzyło mnie, że był trochę podniecony i jakby niespokojny.

— Ha! Zatem napad nie był zupełnie niespodziewany. Zdaje się, że czynimy pewne postępy, nieprawdaż? A może pan się zajmie przesłuchiowaniem, Mr. Mac?

— Nie, Mr. Holmes; jest ono w lepszych rękach.

— Dobrze, a zatem przejdziemy do tej kartki „D. V. 341”. To zwykła tektura. Macie taką w domu?

— Nie sędzę.

Holmes podszedł do biurka i wylał z każdej flaszeczki nieco atramentu na bibułkę. — To nie tu pisane — rzekł. — Ten atrament jest czarny, a tamten ma odcień purpurowy. Użyto do tego pióra grubego, a te są cienkie. Nie, napis sporządzony został, że się tak wyrażę, gdzieindziej. Czy macie o nim coś do powiedzenia, Ames?

— Nie, sir, nic.

— Co pan o nim sądzi, Mr. Mac?

— Robi to wrażenie jakiegoś tajemnego związku. Tak samo i piętno na przedramieniu.

— I ja tak sędzę — rzekł White Mason.

— Dobrze, przyjmijmy tę hipotezę i zobaczymy, czy usunie wszelkie trudności. Jakiś członek takiego związku dostaje się do domu, czeka na Mr. Douglasa, rozsadza mu czaszkę tą bronią i ucieka w bród przez bagnistą fosę, pozostawiając obok trupa kartkę, która, o ile zostanie wspomniana w gaze-

tach, pouczy członków związku, że zemsty dokonano. To się zgadza. Ale dlaczego ta strzelba, a nie inna jakaś broń?

— Właśnie.

— I zniknięcie obrączki ślubnej?

— Tak jest.

— I dlaczego nikt dotąd nie został aresztowany? Jest teraz po drugiej. Sądzę, że od świtu wszyscy policjanci w obrębie czternastu mil wypatrują przemoczonego przechodnia?

— Tak jest, Mr. Holmes.

— O ile się zatem nie ukrył gdzieś blisko albo nie zmienił ubrania, nie mogą go przeoczyć. A jednak dotąd go nie znaleźli. — Holmes podszedł do okna i oglądnął przez lupę krwawą płamę na futrynie. — To ślad buta. Stopa szeroka, jakby zupełnie płaska. To ciekawe, gdyż wnosząc ze śladów nóg w zabłoconym kącie należałoby się spodziewać zgrabniejszej podeszwy. Bądź co bądź jednak ślady te są niezbyt wyraźne. Cóż tam leży pod stołem?

— Ciężarki do gimnastyki Mr. Douglasa — rzekł Ames.

— Ciężarek widzę tylko jeden. Gdzie drugi?

— Nie wiem, Mr. Holmes. Może był tylko jeden. Nie widziałem ich od miesięcy.

— Jeden ciężarek — przemówił Holmes poważnie, ale uwagi jego przerwało gwałtowne pukanie do drzwi. Wysoki, opalony od słońca, inteligentnie wyglądający, wygolony mężczyzna zajrzał do środka. Nie trudno było zgadnąć, że to Cecil Barker, o którym już wspomiano. Jego przenikliwe oczy przechodziły szybko od twarzy do twarzy, z wyrazem zapytania.



32

— Przykro mi, że pańom przerywam — rzekł  
— ale chciałem, abyście usłyszeli nowinę.

— Aresztowanie?

— Nie, to nie. Ale znaleziono jego rower. Człowiek ów zostawił rower. Pójdźcie oglądnicie go. Leży w odległości stu jardów od głównej bramy.

Zastaliśmy trzech lub czterech chłopców i gapiów oglądających rower, który wydobyto z krzaków, gdzie był schowany. Był to zużyty Rudge — Whitworth, obłocony, jakby po dalekiej podróży. Nie brakowało torby przy siodle z kluczem śrubowym i naczynkiem z oliwą, ale nie znaleźliśmy żadnych danych, aby wnioskować o osobie właściciela.

— Byłoby to wielką pomocą dla policji — rzekł inspektor — gdyby przedmioty te były poznaczone i ponumerowane. Ale trzeba się zadowolić tem, co mamy, jeśli nie wiemy, gdzie się udał, dowiemy się przynajmniej łatwo, skąd przybył. Ale w jakim celu człowiek ów pozostawił ten rower? I w jaki sposób uciekł bez niego? Nie mamy dotąd żadnych wskazówek, Mr. Holmes.

— Czyżby tak było w istocie? — odpowiedział mój przyjaciel, zamyślony.



## ROZDZIAŁ V.

### O s o b y d r a m a t u.

— Czy chcecie panowie jeszcze coś oglądać w gabinecie? — zapytał Mr. White Mason, kiedy wróciliśmy do domu.

— Na razie, nie — rzekł inspektor, a Holmes skinął głową.

— A zatem możemy przystąpić do przesłuchania ludzi tego domu. Może w jadalni, Ames? Chodźcie na pierwszy ogień i opowiedźcie nam wszystko, co wiecie.

Zeznania piwniczego były proste, jasne i robiły wrażenie szczerych. Wstąpił do służby przed pięciu laty, kiedy Mr. Douglas przybył do Birstone. Uważał Mr. Douglasa za człowieka bogatego, który zrobił pieniądze w Ameryce. Był dobrym i wyrozumiałym panem — może wprawdzie nie takim, do jakich Ames był przyzwyczajony, ale nie można mieć wszystkiego naraz. Nigdy nie dostrzegł u Mr. Douglasa najmniejszej obawy — przeciwnie, był to najodważniejszy człowiek, jakiego znał. Wydał rozkaz podnoszenia mostu w każdą noc, ponieważ było to dawnym zwyczajem w zamku, a on szanował tradycję. Mr. Douglas jeździł rzadko do Londynu i rzadko opuszczał wieś, ale w dniu, poprzedzającym zbrodnię robił zakupy w Tunbridge Wells. On, Ames zauważył,

że Mr. Douglas był tego dnia trochę wzburzony i podniecony, gdyż niecierpliwił się i denerwował, co było rzeczą u niego niezwykłą.

Nocy tej nie położył się jeszcze spać, ale pozostał w jadalni w tyle domu, składając srebro, kiedy usłyszał gwałtowne dzwonienie. Nie słyszał wystrzału, ale nie ma w tem nic dziwnego, gdyż jadalnia i kuchnie znajdowały się w tyle domu, poza szeregiem zamkniętych drzwi i długim korytarzem. Zarządczyni wyszła ze swojego pokoju, zwabiona gwałtownym dzwonieniem. Udali się razem na front budynku. Kiedy znaleźli się u dołu schodów, ujrzał schodzącą nimi panią Douglas. Nie, nie spieszyła się, nie zdawała się szczególnie wzruszoną. W chwili, kiedy zeszła na dół, wypadł z gabinetu Mr. Barker. Zatrzymał panią Douglas i prosił, aby wróciła do siebie.

— Na miłość Boską, niech pani wróci do swojego pokoju! — zawołał. — Biedny Jack nie żyje. Nic pani mu nie pomoże. Na miłość Boską, proszę odejść!

Po krótkiej rozmowie na schodach, pani Douglas wróciła. Nie płakała. Wogóle nie wydała okrzyku. Pani Allen, zarządczyni, odprowadziła ją po schodach na górę i została przy niej w sypialni. Ames i Mr. Barker wrócili potem do gabinetu, gdzie znaleźli wszystko w tym stanie, jak widziała policja. Świeca nie była wówczas zapalona, ale lampa paliła się. Wyrzeli przez okno, ale noc była ciemna i nie można było nic zobaczyć ani usłyszeć. Wybiegli do sieni, gdzie Ames obrócił kołowrót, aby spuścić most zwodzony. Potem Mr. Barker poszedł dać znać o wypadku policji.

Tak brzmiały w ogólnych zarysach zeznania piwniczego,

Zeznania pani Allen, zarządczyni, były powtórzeniem tego, co mówił jej towarzysz. Pokój zarządczyni leży bliżej frontu budynku, niż jadalnia, gdzie pracował Ame. Właśnie miała się położyć już spać, kiedy uwagę jej zwróciło gwałtowne dzwonicie. Słych ma nieszczególny. Być może dlatego nie słyszała wystrzału, gabinet był zresztą dość odległy. Przypomniała sobie, że słyszała jakiś łoskot, który wzięła za trzaśnięcie drzwiami. Było to jednak znacznie wcześniej — przynajmniej na pół godziny przed dzwoniciem. Kiedy Mr. Ames pobiegł na front budynku, poszła za nim. Widziała, że Mr. Barker, bardzo blady i wzburzony, wypadł z gabinetu. Zatrzymał panią Douglas, która zstępowała ze schodów. Prosił ją, aby wróciła, a ona odpowiadała mu, ale słów jej nie mogła usłyszeć.

— Proszę panią zaprowadzić na górę! Proszę zostać przy niej! — rzekł do pani Allen.

Zaprowadziła ją zatem do sypialni i starała się uspokoić. Była bardzo wzburzoną, drżała cała, ale nie próbowała zejść na dół. Siedziała przy ogniu w sypialni w swoim szlafroku, z głową wspartą na rękach. Mrs. Allen została przy niej prawie przez całą noc. Co do reszty służby, wszyscy poszli spać i zaalarmowani zostali tuż przed przybyciem policji. Spali w tyle domu i nie mogli nic słyszeć.

Tyle zarządczyni — która na pytania krzyżowe odpowiadała tylko narzekaniem i okrzykami zdziwienia.

Mr. Cecil Barker zjawił się jako świadek po pani Allen. Co się tyczy szczegółów ubiegłej nocy, nie powiedział nic nowego ponad to, co już w pierw mówił policji. Osobiście był przekonany, że morderca uciekł przez okno. Według jego zapatrywania.

świadczyła o tem niezbitcie krwawa plama. Zresztą, ponieważ most był podniesiony, ucieczka inną drogą była niemożliwością. Nie mógł wytłomaczyć, co stało się z mordercą i dlaczego nie zabrał swojego roweru, jeśli to był w istocie jego rower. Nie mógł utonąć w bagnistej fosie, która nigdzie nie miała ponad trzy stopy głębokości.

Urobił on sobie o morderstwie własną teorię. Douglas był człowiekiem zamkniętym w sobie i w życiu jego było kilka rozdziałów, o których nigdy nie mówił. Wyemigrował do Ameryki z Irlandji, jeszcze jako młody chłopak. Powodziło mu się dobrze, a Barker spotkał się z nim po raz pierwszy w Kalifornji, gdzie razem szukali z powodzeniem złota w miejscowości zwanej Benito Canyon. Pracowali z zyskiem, kiedy nagle Douglas sprzedał udział i wyjechał do Anglji. Był w tym czasie wdowcem. Barker podjął później jego pieniądze i przybył do Londynu. Tu nawiązali znowu przyjacielskie stosunki. Douglas robił na niego wrażenie człowieka, któremu grozi jakieś niebezpieczeństwo, to też uważał zawsze nagły jego wyjazd z Kalifornji i kupno domu w tak odległej okolicy w Anglji za związane z tem niebezpieczeństwem. Przypuszczał, że jakieś tajemnicze stowarzyszenie, jakaś groźna organizacja była na tropie Douglasa i dybała na jego życie. Pewne słowa jego nasunęły mu tę myśl, chociaż nigdy nie mówił, co to było za stowarzyszenie i w jaki sposób się mu naraził. Przypuszcza, że napis na kawałku tektury ma jakiś związek z tem tajemnym stowarzyszeniem.

— Jak długo przebywał pan z Douglasem w Kalifornji? — zapytał inspektor Mac Donald.

— Ogółem lat pięć.

ŚWIETLIŃSKA  
Huty „BOBREK“

— Był wówczas, jak pan wspominał, wdowcem?

— Tak jest.

— Czy nie wie pan, skąd pochodziła jego pierwsza żona?

— Nie. Przypominam sobie, że mówił, iż była szwedką. Widziałem jej portret. Była to bardzo ładna kobieta. Umarła rok przedtem, zanim go poznałem.

— Czy nie łączy pan przeszłości jego z jakąś częścią Ameryki?

— Słyszałem, jak mówił o Chicago. Znał dobrze to miasto i pracował tam. Słyszałem jak mówił o okręgach węglowych i żelaznych. Swojego czasu dużo podróżował.

— Czy zajmował się polityką? Czy to tajemne stowarzyszenie nie było stowarzyszeniem politycznym?

— Nie, polityką nie zajmował się zupełnie.

— Czy nie sądzi pan, że był to jakiś związek kryminalny?

— Nie, przeciwnie, nigdy w życiu nie spotkałem człowieka bardziej prawego.

— Czy było coś ciekawego w jego życiu w Kalifornii?

— Nie ruszał się z miejsca i pracował przeważnie na swojej działce w górach. Nie lubił towarzystwa ludzi i stykał się z nimi tylko z konieczności. Dlatego właśnie przyszło mi na myśl, że ktoś go ściaga. Kiedy wyjechał nagle do Europy, upewniłem się, że tak było. Sądzę, że otrzymał jakieś ostrzeżenie. W tydzień po jego wyjeździe pytało się o niego z pół tuzina ludzi.

— Jakich ludzi?

— Wyglądali bardzo podejrzanie. Przyszli na działkę, dowiadywali się o niego. Powiedziałem im, że wyjechał do Europy, ale nie wiem, gdzie go szukać. Chcieli mu zrobić coś złego — widziałem to jasno.

— Czy to byli Amerykanie — Kalifornijczycy?

— Nie wiem, czy to byli Kalifornijczycy, ale napewno byli to Amerykanie. Ale nie górnicy. Nie wiem, czym byli, ale pożegnałem się z nimi z prawdziwą przyjemnością.

— Było to sześć lat temu?

— Prawie siedem.

— A że spędziliście w Kalifornji razem lat pięć, zdarzenie to datuje się z przed lat jedenastu co naj-  
mniej.

— Tak jest.

— Musiała to być jakaś poważna sprawa, jeśli nie zapomniano o niej przez tak długi okres czasu. I powód nie mógł być błahy.

— Sądzę, że niebezpieczeństwo to groziło mu przez całe życie. Nigdy o niem nie zapominał.

— Ale, jeśli groziło mu jakieś niebezpieczeństwo, które znał, czemu nie zwrócił się do policji?

— Może policja nie mogła ochronić go przed tem niebezpieczeństwem. Musicie panowie wiedzieć jeszcze jedno. Zawsze miał przy sobie broń. Rewolwer nosił zawsze w kieszeni. Ale, na nieszczęście, był ubiegłej nocy w szlafroku, a broń zostawił w sypialni. Przypuszczam, że uważał się za bezpiecznego, kiedy już podniesiono most zwodzony.

— Chciałbym upewnić się co do dat — rzekł Mac Donald. — Douglas opuścił Kalifornję przed sześciu laty. Pan podążyłeś za nim po roku, nieprawdaż?

— Tak jest.

— A on ożenił się przed pięciu laty. Powrócił pan zatem mniej więcej w czasie jego małżeństwa?

— Na miesiąc przedtem. Byłem jego družbą.

— Czy znałeś pan Mrs. Douglas przed ślubem?

— Nie, nie znałem. Nie byłem w Anglii przez dziesięć lat.

— Ale odtąd widywałeś ją pan często?

— Widywałem go często — odpowiedział. — Jeśli i ją widywałem, to dlatego, że niepodobna składać wizyt mężowi, nie znając jego żony. Jeśli pan sądzi, że zachodzi jakiś związek....

— Nic nie sądzę, Mr. Barker. Zadaję pytania, które uważam za potrzebne. Nie mam zamiaru pana obrażać.

— Takie pytania są obrazą — odpowiedział Barker rozgniewany.

— Żądamy tylko faktów. Zarówno w interesie pańskim, jak i wszystkich leży ich wyświetlenie. Czy Mr. Douglas oceniał przychylnie przyjaźń pańska i jego żony?

Barker zbladł, a jego wielkie, silne dłonie zacisnęły się konwulsyjnie.

— Pan nie ma prawa stawiać takich pytań! — zawołał. — Co to ma wspólnego ze śledztwem?

— Ponawiam pytanie.

— A ja odmawiam odpowiedzi.

— Może pan odmówić odpowiedzi, ale proszę sobie uprzytomnić, że pańska odmowa jest równoznaczna z odpowiedzią, gdyż nie odmawiałby pan, gdybyś nic nie miał do ukrycia.

Barker stał chwilę z groźną twarzą i wielkimi, czarnymi brwiami, ściągniętymi w głębokiej zadumie. Potem spojrział na nas z uśmiechem.

— Rozumiem, że panowie spełniacie w każ-



dym razie tylko swój obowiązek i że nie mogę wam robić trudności. Proszę tylko, abysście na ten temat nie mówili z panią Douglas, gdyż ma ona i tak dosyć zmartwień. Muszę panom oświadczyć, że biedny Douglas miał tylko jeden błąd, t. j. był zazdrosny. Był dumny, jak nikt inny, z takiego jak ja przyjaciela i kochał bardzo swą żonę. Chętnie przyjmował mnie u siebie i zawsze po mnie posyłał. A jednak często, kiedy rozmawiałem z jego żoną i kiedy dostrzegł, jak mu się zdawało, jakieś odznaki sympatji, ogarniała go fala zazdrości, nie mógł zapanować nad sobą i mówił, co mu ślina na język przyniosła. Niejednokrotnie zarzekałem się, że nie przybędę do niego z tej właśnie przyczyny, ale wówczas przysyłał mi błagalne listy z wyrazami skruchy tak, że musiałem dać się przeprosić. Ale zapewniam panów, że żaden mąż nie miał równie kochającej go i wiernej żony — mogę to o sobie powiedzieć — równie od danego przyjaciela.

Powiedział to z zapałem i szczerze, ale inspektor Mac Donald nie był, zdaje się, przekonany.

— Czy wiadomo panu — rzekł — że z palca trupa zdjęto ślubny pierścionek?

— Takby się zdawało.

— Co pan miał na myśli, mówiąc „zdawało“? Pan wie, że tak jest.

Barker był zmieszany i niezdecydowany.

— Jeśli mówiłem „zdawało“, to dlatego, że obrączkę mógł zdjąć z palca sam.

— Bądź co bądź, fakt, że pierścionek zniknął — mniejsza z tem, kto go zabrał — nasuwa przypuszczenie, że między tragedją i małżeństwem zachodzi jakiś związek.

Barker wzruszył potężnymi ramionami.

— Nie wiem, co to znaczy — odpowiedział, — Ale, jeśli pan uważa, że rzuca to jakiś cień na część tej damy — jego oczy zabłyśły na chwilę, ale z niezwykłym wysiłkiem zdołał się opanować — to... jest pan w błędzie.

— Nie mam na razie zamiaru stawiać panu dalszych pytań — rzekł Mac Donald zimno.

— Tylko jeden mały szczegół — zauważył Sherlock Holmes. — Kiedy pan wszedł do pokoju, paliła się w nim tylko jedna świeca, nieprawdaż?

— Tak jest.

— Przy świetle jej spostrzegł pan, że stało się coś strasznego?

— Właśnie.

— Zadzwoń pan zaraz po pomoc?

— Tak.

— I pomoc zaraz nadbiegła?

— W przeciągu niespełna pół minuty.

— A jednak stwierdzono, kiedy zjawiła się służba, że świeca była zgaszona, a paliła się lampa. To ciekawe.

Barker zdawał się być nieco zakłopotanym.

— Nie sądzę, aby to było ciekawe, Mr. Holmes — odpowiedział po chwili. — Świeca rzucała złe światło. Pierwszą myślą moją było postarać się o lepsze. Zapaliłem zatem stojącą na stole lampę.

— I zgasił pan świecę?

— Właśnie.

Holmes nie stawiał żadnych więcej pytań, a Barker obrzucił nas po kolei bystrym wzrokiem, w którym, jak mi się zdawało, czytałem do nas nieufność, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Inspektor Mac Donald posłał kartkę zawiadomieniem do pani Douglas, czy zechce nas przyjąć

w swym pokoju, ale odpowiedziała mu, że zejdzie do nas, do jadalni. Przyszła niebawem smukła i piękna kobieta, lat około trzydziestu, poważna i dość dobrze panująca nad sobą, zupełnie inna od tej tragicznej i zrozpaczonej osoby, jaką ją sobie wyobraziłem. Przyznaję, że twarz jej była blada i zmieniona, jak u człowieka, którego spotkał straszny cios, ale panowała nad swojemi ruchami, a jej piękna ręka, którą położyła na brzegu stołu, była tak spokojna, jak moja. Jej smutne, proszące oczy błędziły od jednego do drugiego z nas z wyrazem natrętnej ciekawości. Pytający wzrok zastąpiły nagle urywane słowa.

— Czyście panowie już coś znaleźli? — zapytała.

Może mi się zdawało, że w pytaniu tem przebił raczej lęk, niż nadzieja.

— Poczyniliśmy wszelkie potrzebne kroki, Mrs. Douglas — rzekł inspektor. — Może pani być pewną, że nie zaniedbamy niczego.

— Nie szcudźcie panowie pieniędzy — rzekła spokojnym, bezdźwięcznym głosem. — Pragnę, aby zrobiono wszystko, co można.

— Może nam pani powie coś, coby rzuciło światło na tę sprawę.

— Lękam się, że nie, ale jestem do dyspozycji panów.

— Słyszeliśmy od Mr. Cecila Barkera, że pani właściwie nie widziała — że pani nie wchodziła do pokoju, gdzie rozegrała się tragedia

— Nie; zawrócił mnie z drogi. Prosił, abym powróciła do swojego pokoju.

— Właśnie. Pani słyszała wystrzał i zeszła od razu na dół?

— Włożyłam szlafrok i zeszłam na dół.

— W jakim czasie po wystrzale spotkała się pani na schodach z Mr. Barkerem?

— Może w kilka minut. Trudno oznaczać czas w takiej chwili. Błagał mnie, abym nie wchodziła. Zapewniał, że w niczem nie mogę mu pomóc. Potem pani Allen, zarządczyni, zaprowadziła mnie na górę po schodach. Wszystko to było, jakby w strasznym śnie.

— Czy pani nie może nas poinformować, jak długo mąż pani był na dole, zanim rozległ się huk wystrzału?

— Nie, nie mogę. Wyszedł ze swojego pokoju, nie słyszałam kiedy. Co noc obchodził dom dokoła, gdyż bał się ognia. To jedno, czego się lękał.

— Przechodzę teraz do ważnej sprawy, Mrs. Douglas. Pani poznała męża swojego w Anglii, nieprawdaż?

— Tak jest. Pobraliśmy się przed pięciu laty.

— Czy nie wspominał pani o Ameryce, o jakimś grożącym mu stamtąd niebezpieczeństwie?

Pani Douglas zadumała się głęboko, zanim odpowiedziała.

— Tak — rzekła w końcu. — Czułam zawsze, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo. Nie chciał o niem ze mną mówić. Nie dla braku zaufania — łączyła nas szczerą miłość i ufaliśmy sobie wzajemnie — ale nie chciał mnie niepokoić. Sądził, że będę się gryzła, gdybym wiedziała wszystko, zatem milczał.

— A więc skąd pani wiedziała?

Mrs. Douglas uśmiechnęła się lekko.

— Czyż mąż może ustrzec jakąś tajemnicę przed kochającą go żoną? Wnosiłam o tem z różnych odznak. Wnosiłam z jego odmowy opowiedzenia mi czegoś z pobytu w Ameryce, Wnosiłam patrząc na środ-

si ostrożności, jakie przedsiębrał. Wnosiłam z pewnych jego słów. Wnosiłam z zachowania się jego, kiedy patrzył na niespodziewanych gości. Byłam święcie przekonana, że miał potężnych nieprzyjaciół i że miał się zawsze na ostrożności. Byłam tego tak pewna już od szeregu lat, że truchlałam kiedy się spóźniał do domu.

— Czy mógłbym się zapytać — rzekł Holmes — jakie to słowa zwróciły uwagę pani?

— „Dolina Trwogi” — odpowiedziała, kobieta. — Wyrażenia tego użył, kiedy go wypytywałam. — Byłam w dolinie Trwogi. Jeszcze się z niej nie wydostałam. „Czyż nigdy nie wydostaniemy się z Doliny Trwogi?” — pytałam go, kiedy widziałam, że był niezwykle poważny. — „Czasami zdaje mi się, że nigdy” — odpowiedział.

— Zapewne pytałaś go pani, co ma oznaczać ta Dolina Trwogi?

— Tak jest, ale twarz jego poważniała i wstrząsał głową. „Wystarczy, że jedno z nas żyje w jej cieniu”, rzekł. „Dzięki Bogu, cień ten nigdy nie padnie na ciebie”. Była to jakaś istniejąca rzeczywiście dolina, w której żył i w której go spotkało coś straszne-go — tego jestem pewna — ale nic więcej powiedzieć nie mogę.

— Nigdy nie wymieniał żadnych nazwisk?

— Owszem, raz w gorączce, po wypadku na polowaniu, przed trzema laty. Przypominam sobie, że wówczas wciąż cisnęło mu się na usta jedno nazwisko. Wymawiał je z gniewem i jakby ze zgrozą. Nazwisko to brzmiało: Mc. Ginty, Mistrz Mc. Ginty. Pytałam go, kiedy wyzdrowiał, kto to był Mistrz Mc. Ginty i czyim był mistrzem. „Nie moim, dzięki Bogu!” — odpowiedział z uśmiechem. To wszystko, co

się od niego dowiedziałam. Ale jest jakiś związek między mistrzem Mcem Ginty i Doliną Trwogi.

— Jeszcze jeden szczegół — rzekł Mc Donald. — Pani poznała Mr. Douglasa w Londynie, w pensjonacie, nieprawdaż, i tam się pani z nim zaręczyła? Czy to był romans, czy zaręczyny odbyły się tajemnie, bez świadków?

— Był romans. Zawsze jest romans. Nie było jednak żadnych tajemnic.

— Czy miał rywala?

— Nie; byłam wolna.

— Pani słyszała zapewne, że jego obrączka ślubna zniknęła. Czy to pani nie nasuwa jakiegoś przypuszczenia? Jeśli przyjmemy, że jakiś jego nieprzyjaciel z dawnych czasów wyszedł go i popełnił tę zbrodnię, jakżby powód skłoniłby go do zabrania obrączki ślubnej?

Mógłbym przysiąc przez chwilę, że cień ledwie uchwytnego uśmiechu pojawił się na ustach kobiety.

— Nie, doprawdy nie mam pojęcia — odpowiedziała. — To ciekawe.

— Nie chcemy pani dłużej zatrzymywać i przykro nam, żeśmy panią trudzili, — rzekł inspektor. Pozostaje do wyjaśnienia jeszcze kilka kwestji, ale możemy porozumieć się z panią, kiedy zajdzie potrzeba.

Wstała i obrzuciła nas szybkim, badawczym spojrzeniem. „Co sądzicie o moich zeznaniach?”. Tak brzmiało ewentualne jej zapytanie. Potem z ukłonem wysunęła się z pokoju.

— Piękna kobieta — bardzo piękna kobieta — rzekł Mc. Donald, zadumany, kiedy się drzwi za nią zamknęły. — Ów Barker przebywał tu bardzo często. Może się podobać kobiecie. Przyznaję, że

zmarły był zazdrosny i może miał do tego powody. A potem, ta obrączka ślubna. Nad tem nie można przejść do porządku. Człowiek, który zdziera z ręki trupa ślubną obrączkę... Co pan o tem sądzi, Mr Holmes?

Przyjaciel mój siedział z głową opartą na rękach, pogrążony w głębokiej zadumie. Nagle wstał i zadzwonił.

— Ames — rzekł, kiedy wszedł piwniczy, — gdzie jest obecnie Mr. Cecil Barker?

— Zobaczę, sir.

Powrócił za chwilę, oznajmiając, że Mr. Barker jest w ogrodzie.

— Czy przypominacie sobie, Ames, co miał na nogach Mr Barker, kiedy spotkaliście się z nim w gabinecie ubiegłej nocy?

— Tak, jest, Mr Holmes. Miał na nogach pantofle. Przyniosłem mu buty, kiedy szedł po policję.

— Gdzie są teraz te pantofle?

— Są jeszcze pod stołkiem w sieni.

— Bardzo dobrze, Ames. Jest to dla nas, naturalnie, rzeczą pierwszorzędnej wagi wiedzieć, które ślady są śladami Mr Barkera, a które pochodzą z zewnątrz.

— Tak jest sir. Zauważyłem nawet, że pantofle są poplamione krwią — jak i moje.

— Nie ma w tem nic dziwnego, wobec stanu, w jakim znajdował się pokój. Dobrze, Ames. Zadzwonimy, jeśli będziecie potrzebni.

W kilka minut później byliśmy w gabinecie. Holmes przyniósł z sieni sukienne pantofle. Spody jak zauważył Ames, były czarne od krwi.

„Dziwnel” — szepnął Holmes, kiedy oglądał

je przy oknie drobiazgowo. — W istocie, bardzo dziwne.

Szybkiem, kocim ruchem położył pantofel na krwawej plamie na futrynie okna. Pasował doskonale. Uśmiechnął się w milczeniu do swoich kolegów.

Inspektor zmienił się pod wpływem wzburzenia. Wrodzony mu akcent dźwięczał, jak kij na szynach.

— Człowieku! — zawołał. — To nie ulega wątpliwości. Barker sam pozostawił plamy na oknie. Znaki są nieco szersze od podeszwy każdego buta. O ile mi się zdaje, mówił pan o płaskiej stopie... Oto wyjaśnienie. Ale poco to zrobił, Mr Holmes? Poco to zrobił?

— Tak, poco to zrobił? — powtórzył mój przyjaciel zamyślony.

White Mason parsknął śmiechem i zatarł tłuste ręce z zadowoleniem zawodowca.

— A mówiłem, że to wypadek niezwykły! — zawołał. — I rzeczywiście jest to wypadek niezwykły.



## ROZDZIAŁ VI.

### Zaczyna świtać.

Trzej detektywi mieli sobie dużo do powiedzenia, wróciłem zatem sam do naszego skromnego pomieszczenia w gospodzie. Przedtem jednak wybrałem się na spacer do starego, ciekawego parku, który ciągnął się aż do dworu. Szeregi bardzo starych drzew w dziwnych figurach otaczały go dokoła. Wewnątrz był piękny szmat trawnika z starym zegarem słonecznym w pośrodku, a całość sprawiała miłe i spokojne wrażenie, tak potrzebne dla moich nieco nadszarpniętych nerwów. W tej uspakajającej atmosferze można było zapomnieć lub pamiętać jedynie jako fantastyczną marę senną ciemny gabinet z rozciągniętą w nim na podłodze skrwawioną postacią. A jednak, kiedy spacerowałem i połem duszę orzeźwiająjącym balsamem, zdarzyło się coś dziwnego, co przypominało mi tragedję i pozostawiło w umyśle moim przykre wrażenie.

Wspomniałem, że ogród otoczony był pierścieniem drzew owocowych. Na końcu jego, w miejscu najbardziej odległym od dworu drzewa stały blisko siebie, tworząc jakby jedną ścianę. Po drugiej stronie tej ściany, ukryta przed oczyma idącego od strony dworu, znajdowała się kamienna ławka. Kiedy się do

niej zbliżyłem, usłyszałem głosy, jakieś słowa wypowiedziane przez mężczyznę i odpowiadający im śmiech kobiety. W chwilę później wyszedłem z poza płotu i oczy moje spostrzegły panią Douglas i Barkera wpierw, nim zauważyli moją obecność. Wygląd jej uderzył mnie. W jadalni była poważną i milczącą. Teraz nie spostrzegłem u niej nawet śladu przygnębienia. Oczy jej błyszczały radością życia, a twarz drżała w uśmiechu, wywołanym jakąś uwagą towarzysza. Siedział, pochylony naprzód, ze złożonemi rękami i łokciami na kolanach, z wyrazem wesela na pięknej, męskiej twarzy. W jednej chwili — ale właśnie o chwilę za późno — przybrali uroczyste maski, kiedy zauważyli, że nadchodzę. Zamienili kilka szybkich słów, poczem Barker, wstał i podszedł do mnie.

— Przepraszam sir — rzekł. — Czy mam przyjemność mówić z doktorem Watsonem?

Ukłoniłem się sztywno, co wskazywało, jak sądzę, jakiego nabrałem o nich przekonania.

— Przypuszczaliśmy, że to pan, gdyż przyjaźń pańska z Mr. Scherlokiem Holmsem jest ogólnie znaną. Czy nie zechciałby pan zamienić kilka słów z panią Douglas?

Poszedłem za nim niechętnie. Widziałem oczyma duszy leżącą na podłodze postać z roztrzaskaną głową. A tu, w kilka godzin po tragedji, żona jego i najbliższy przyjaciel uśmiechali się do siebie poza krzakami w jego własnym ogrodzie. Przywitałem panią Douglas z rezerwą. Współczułem z nią w jadalni. Teraz nie odpowiedziałem na jej pytające spojrzenie.

— Lękam się, że uważa mnie pan za istotę bez serca? — rzekła.

Wzruszyłem ramionami.

— To, nie moja sprawa — rzekłem.

— Może kiedyś zasłużę na sąd bardziej sprawiedliwy. Gdyby pan wiedział...

— Nie ma potrzeby, aby Mr Watson wiedział — rzekł Barker z pośpiechem. — Wspominał przecie, że go to nic nie obchodzi.

— W istocie — rzekłem. — I dlatego lepiej będzie, jeśli odejdę.

— Jeszcze chwilę, doktorze Watsonie — zawołała kobieta głosem żalonym. — Na jedno pytanie możesz pan odpowiedzieć bezwzględnie pewniej, niż ktokolwiek inny, a ma to dla mnie wielkie znaczenie. Zna pan lepiej, niż inni, stosunki Mr Holmesa z policją. Przypuśćmy, że powierzona mu zostanie w zaufaniu jakaś tajemnica. Czy jest rzeczą absolutnie konieczną, aby powiadomił o niej detektywów?

— Otóż to — rzekł Barker gorączkowo. — Czy pracuje sam, czy idzie z nimi ręką w rękę?

— Nie wiem, doprawdy, czy uprawniony jestem do roztrząsania tych kwestji.

— Proszę — błagam pana o to, doktorze Watsonie. Jestem pewna, że nam pan pomoże, — że objaśnienie pańskie będzie dla nas poważną wskazówką.

W głosie kobiety brzmiała nuta szczerości, że zapomniałem na chwilę o jej lekkomyślności i postanowiłem spełnić jej prośbę.

— Mr Holmes czyni poszukiwania na własną rękę — rzekłem. — Jest panem swoich czynów i działa, powodując się własnym sumieniem. Czuje się jednak zarazem, rzecz prosta, zobowiązanym do szczerości wobec urzędników, którzy zajmują się tą samą sprawą i nie będzie chciał ukrywać przed nimi szczegółów, któreby im pomogły do oddania przestępcy w ręce władz. Nic więcej nie mogę powiedzieć, ale

zawiadomię Mr Holmesa, jeśli pragnie pani wyjaśnić bardziej szczegółowych.

Po tych słowach uchyliłem kapelusza i poszedłem swoją drogą, pozostawiając ich na kamiennej ławce poza żywoplotem. Obejrzałem się jeszcze raz i widziałem, że rozmawiają z sobą poważnie, a ponieważ patrzyli na mnie, było jasne, że przedmiotem ich rozmowy jest nasza pogadanka.

— Nie potrzeba mi ich zwierzeń — rzekł Holmes, kiedy opowiedziałem mu, co mi się przytrafiło. Spędziłem całe popołudnie w Zamku na rozprawach z swoimi kolegami i powróciłem około piątej, głodny, jak wilk. Kazałem mu podać kawy.

— Żadnych zwierzeń, Watsonie, ponieważ są bardzo nie na rękę, jeśli przyjdzie do aresztowania za znowę i morderstwo.

— Sądzisz, że do tego przyjdzie?

Był w znakomitym humorze.

— Mój drogi Watsonie, kiedy zniosę to czwarte jajo, przedstawię ci całą sytuację. Nie twierdzą, żeśmy już zgłębili tajemnicę — daleko do tego — ale, kiedy znajdziemy brakujący ciężarek...

— Ciężarek?

— Drogi Watsonie, to niemożliwe, abyś sobie nie uprzytomnił, że rozwiązanie tajemnicy zależy od brakującego ciężarka. Dobrze, dobrze, nie potrzebujesz się przejmować, gdyż mówiąc między nami, nie sądzę, aby i inspektor Mac albo jego znakomity kolega z prowincji pojęli niezwykle znaczenie tego faktu. Jeden ciężarek, Watsonie! Wyobraź sobie atlete z jednym ciężarkiem. Przedstaw sobie jednostronny rozwój jego korpusu, grożące niebezpieczeństwo skrzywienia kręgosłupa. To straszne, Watsonie, straszne!..

Siedział z ustami pełnymi ciasta i oczyma błyszczącymi złośliwie, obserwując moje zakłopotanie. Widok jego wpaniałego apetytu był dowodem sukcesu, przypominałem sobie bowiem doskonale dnie i noce bez jedzenia, kiedy jego znękanym umysłem wysiłał się na rozwiązanie jakiejś zagadki, podczas gdy szczypta wyrazista twarz zaostrzała się w ascetyzmie wyczerpującej mózg pracy. W końcu zapalił fajkę i siedząc w kącie starej, wiejskiej oberży zaczął mówić powoli i jakby od niechcienia: o wypadku, raczej wypowiadając głośno swoje myśli, niż zdając mi sprawozdanie.

— Kłamstwo, Watsonie — wielkie, ordynarne, narzucające się, bezwzględnie kłamstwo — oto, z czym spotykamy się na progu. To jest naszym punktem wyjścia. Cała historia, opowiedziana przez Barkera, jest kłamstwem. Ale historję Barkera potwierdza pani Douglas. A więc i ona kłamie. Kłamia oboje, gdyż się tak umówili. Stoimy teraz wobec zagadnienia — dlaczego kłamie i jaką jest prawda, którą starają się tak usilnie ukryć? Spróbujmy, Watsonie, ty i ja, oznaczyć, co jest kłamstwem i jak się przedstawia prawda.

— Skąd wiem, że kłamia? Ponieważ mamy do czynienia z niezręcznie ułożoną historją, która nie może być prawdziwą. Zastanów się! Według tej historii morderca miał mniej niż minutę czasu po dokonaniu zbrodni na zerwanie obrączki z palca trupa, która była pod drugim pierścionkiem; włożenia z powrotem drugiego pierścionka — czego by nigdy nie zrobił — i porzucenia tajemniczej kartki obok ofiary. Twierdzą, że jest tu zupełne niepodobieństwo. Możesz się sprzeczać — ale zbyt wysoko cenię twój sąd, Watsonie, abym przypuszczał, że będziesz mó-

wił, jakoby obrączkę zdjęto przed zabiciem tego człowieka. Fakt, że świeca paliła się tylko przez krótki czas, wskazuje, że nie było długiej rozmowy. Gdyby Douglas, o którego odwadze słyszeliśmy, był człowiekiem zdolnym do oddania ślubnej obrączki w tak krótkim czasie, czy możemy sobie wyobrazić, żeby ją wogóle oddał? Nie, nie, Watsonie, morderca był sam na sam z zabitym człowiekiem przez pewien czas, kiedy świeciła się lampa. W to nie wątpię. Ale przyczyną śmierci był, rzecz oczywista, wystrzał ze strzelby. Dlatego musiał być oddany wcześniej, niż nam to powiedziano. Pomyłka w tym wypadku jest niemożliwa. Mamy zatem do czynienia z uplanowaną znową ze strony dwóch ludzi, którzy słyszeli wystrzał — mężczyzny Barkera i kobiety Douglasowej. Jeśli wreszcie zdołam wykazać, że krwawa plama na futrynie okna zrobiona została namyślnie przez Barkera aby dać policji fałszywą wskazówkę, przynasz, że będzie to poważnym zarzutem przeciw niemu. ⑦

— Musimy się teraz zapytać, o której godzinie właściwie popełniono morderstwo. Do wpół do jedenastej służba kręciła się po domu, a zatem do tego czasu nie stało się to z pewnością. O trzy na jedenastą udali się wszyscy do swoich pokoi, wyjąwszy Amesa, który był w jadalni. Przeprowadziłem kilka prób popołudniu, kiedy się z nami pożegnałem, i stwierdziłem, że żaden hałas zrobiony w gabinecie przez Mac Donalda nie mógł przeniknąć do mnie w jadalni kiedy wszystkie drzwi były zamknięte. Rzecz ma się odmiennie, jednak kiedy chodzi o pokój w jadalni. Leży on nie tak daleko w korytarzu i mogłem z niego usłyszeć niewyraźnie głośny okrzyk. Odgłos wystrzału jest nieco przytłumio-

ny, kiedy strzela się z bliska, jak to było niewątpliwie w tym wypadku. Musiał to być niezbyt głośny wystrzał, a jednak w ciszy nocnej Mrs Allen powinna go była usłyszeć. Jest ona, jak nam mówiła, nieco głucha, w każdym razie jednak zeznała, że słyszała coś podobnego do trzaśnięcia drzwiami na pół godziny przed alarmem. Wypadłoby to na godzinę trzy na jedenastą. Nie wątpię, że to, co słyszała, było odgłosem wystrzału i że wtedy właśnie popełniono morderstwo. Jeśli tak jest, musimy teraz oznaczyć, co robili Mr. Barker i Mrs. Douglas — przyjąwszy, że nie są oni mordercami — od trzech na jedenastą, kiedy zwabił ich huk wystrzału, do kwadransa na dwunastą, kiedy zadzwonili na służbę. Co robili i dlaczego natychmiast nie wezwali służby? Oto pytanie, które się narzuca, a kiedy znajdziemy na nie odpowiedź, potrafiemy z pewnością rozwiązać naszą zagadkę.

— Jestem przekonany — rzekłem, że między tymi ludźmi zachodzi porozumienie. Ona musi być istotą bez serca, jeśli śmieje się z dowcipów w kilka godzin po zamordowaniu męża.

— Właśnie. Jako żona nie przedstawia się świetnie, nawet w jej własnym opowiadaniu. Nie jestem wielbicielem kobiet, jak to wiesz dobrze, Watsonie, ale doświadczenie poucza mnie, że szereg żon nie dałoby się powstrzymać kilku słowami, wypowiedzianymi przez obcego mężczyznę, od zjawienia się przy ciele zmarłego męża. Gdybym się kiedyś żenił, Watsonie, pragnąłbym wzbudzić w mojej żonie tyle uczucia, żeby nie pozwoliła się odprowadzić zarządczyni od mojego trupa leżącego opodal. Było to złe urządzone, gdyż nawet niedoświadczonego detektywa uderzyłyby brak wrodzonej każdej kobiecie tkli-

wości. Już to samo powinno wzbudzić podejrzenie, że mamy do czynienia ze znową.

— Sądziś zatem, ostatecznie, że Barker i pani Douglas są winni morderstwu?

— Twoje pytanie jest zbyt obcesowe, Watsonie — rzekł Holmes potrząsając fajką. — Godzisz we mnie, jakby pociskiem. Jeśli chcesz powiedzieć, że pani Douglas i Barker znają prawdę i pragną ją ukryć, zgadzam się z tobą najzupełniej. Jestem tego pewny. Ale odpowiedź na twoje zabójcze pytanie nie jest tak prosta. Zastanówmy się przez chwilę, co przemawia przeciw temu.

— Przypuśmy, że para ta złączona jest węzłem grzesznej miłości i że postanowiła pozbyć się człowieka, który jej przeszkadza. Jest to bardzo dowolne przypuszczenie, gdyż zeznania służby i innych wcale go nie potwierdzają. Przeciwnie, mam szereg dowodów, że Douglasowie kochali się bardzo.

— To niepodobieństwo — rzekłem, przypomniawszy sobie piękną śmiejącą się twarz w ogrodzie.

— W każdym razie takie robili wrażenie. Ale, przypuśmy, że jest to niezwykle sprytna para, która wprowadziła w błąd wszystkich i która uplanowała morderstwo małżonka. Był to, jak się zdaje, człowiek, któremu groziło jakieś niebezpieczeństwo — Tak oni twierdzą.

Holmes zadumał się.

— Widzę Watsonie, że zbudowałeś sobie teorię, według której wszystko, co oni mówią od początku, jest kłamstwem. Według ciebie, nie było nigdy żadnych pogroźek, ani tajnego stowarzyszenia, ani Doliny Trwogi, ani jakiegoś mistrza i t. d. Jest to pogodne anulujące wszystko, stano-



wisko. Zaboczymy do czego ono nas zaprowadzi. Wymyślają teorię, aby upozorować zbrodnię. Rozbudowują ją, zostawiając w parku rower na dowód, że istnieje morderca z zewnątrz. Plama na futrynie okna służy do tego samego celu. Tak samo bilet na przelotach, który mogli napisać w domu. Wszystko to przemawia za twoją hipotezą, Watsonie. Ale teraz znajdujemy się w kropce, stajemy przed faktami, które nie zgadzają się z nią zupełnie. Na cóż ta strzelba wobec tylu innych broni — i do tego amerykańska? Skąd mogli wiedzieć, że wystrzał z niej nie zwabi kogoś? To tylko przypadek, że pani Allen nie poszła zapytać się kto zatrzasnął drzwi. Po co czyniła to wszystko twoja zbrodnicza para, Watsonie?

— Przyznaję, że nie wiem.

— A dalej, jeśli kobieta i kochanek jej postanowili zamordować razem męża, czy skierowaliby na siebie podejrzenie, usuwając ostentacyjnie obrączkę ślubną po jego śmierci? Czy wydaje ci się to prawdopodobne, Watsonie?

— Nie, to nie.

— A dalej, jeśliby nawet przyszła ci do głowy myśl ukrycia poza damem rowerem, czy opłaciłoby ci się to, kiedy najgłupszy nawet detektyw powiedziałby, że jest to tylko pułapka, gdyż rower zostałby niechybnie użyty, gdyby był potrzebny do ucieczki?

— Nie mogę sobie tego wytłomaczyć.

— A jednak nie zdarzył się jeszcze splot wypadków, którychby umysł ludzki nie potrafił wyjaśnić. Oznaczamy sobie kierunek myślowy i trzymając się go wyteśmy nasz dowcip, nie stawiając żadnych wniosków. Przyznaję, że będzie to raczej dzie-

to wyobraźni, ale jakże często wyobraźnia jest matką prawdy?

— Przypuśmy, że w życiu owego Douglasa była rzeczywiście jakaś zbrodnicza tajemnica, jakaś tajemnica okrywająca go hańbą. Tajemnica ta staje się przyczyną morderstwa, dokonanego powiedzmy, przez mścicieli — kogoś z zewnątrz. Ów mściciel, z powodów dotąd mi nieznanych, zabrał obrączkę ślubną zmarłego. Vendetta musi mieć jakiś związek z pierwszym małżeństwem zamordowanego i pierścień zabrany został z jakichś przyczyn, odnoszących się do tego małżeństwa. Barker i żona weszli do pokoju zanim się mściciel oddalił. Morderca przekonał ich, że areszowanie jego stanie się powodem i pozwoli mu uciec. Dlatego spuścili, prawdopodobnie, most, co da się uskutecznić bez hałasu, a potem podnieśli go znowu. Wymknął się i z pewnych powodów przyszedł do przekonania, że lepiej uciekać pieszo, niż na rowerze. Ukrył zatem rower tak, żeby odnalezienie go wypadło w czasie, kiedy już będzie bezpieczny. Na razie jest to wszystko możliwe, nieprawdaż?

— Bezwątpienia, wszystko to jest możliwe — rzekłem z pewnem ociąganiem się.

— Musimy pamiętać, Watsonie, że wypadek ten jest z pewnością wypadkiem niezwykłym. Snując dalej nasze przypuszczenia, możemy sobie wyobrazić, że para ta, niekoniecznie para zbrodniarzy — spostrzegła, po odejściu mordercy, że jest w położeniu, w którym trudno jej przyjdzie udowodnić, albo, że sama nie popełniła tej zbrodni, albo, że nie jest w nią wmieszana. Gorączkowo i niezręcznie postarała się wybrnąć z sytuacji. Plamę na futrynie okna

zrobił sam Barker przy pomocy zbroczonego krwią pantofla — aby upozorować ucieczkę mordercy. Byli oni jak się okazało jedynymi ludźmi, którzy słyszeli huk wystrzału, dlatego zaalarmowali wszystkich, jak należało, ale w dobre pół godziny po wypadku.

— I w jaki sposób zamýślasz to udowodnić?

— Jeśli to był ktoś z zewnątrz, trzeba by go wysłedzić i ująć. Byłoby to najlepszym dowodem. Jeśli nie — sposoby dowiedzenia się nie są jeszcze wyczerpane. Sądze, że wieczór, spędzony w samotności w owym gabinecie, pomoże mi w znacznym stopniu.

— Wieczór w samotności?

— Mam zamiar właśnie udać tam się. Umówiłem się z zacnym Amesem, który ma pewne wątpliwości co do Barkera. Posiedzę w tym pokoju i zobaczę, czy atmosfera jego nie przyniesie mi natchnienia. Wierzę w genius loci. Śmiejesz się, przyjacielu, Watsonie. Dobrze, zobaczymy. Nie masz przypadkiem, tego wielkiego twojego parasola?

— Mam go tutaj.

— Pożycz mi go, jeśli możesz.

— Rzecz prosta — ale cóż to za śmieszna broń! Jeśli grozi ci niebezpieczeństwo...

— Nic poważnego, mój drogi Watsonie, inaczej prosiłbym, abyś mi towarzyszył. Ale parasol zabiorę, czekam tylko na powrót naszych kolegów z Tunbridge Wells, dokąd udali się w poszukiwaniu za właścicielem roweru.

Bezpośrednio przed zmierzchem wrócili inspektor Mac Donald i White Mason z swojej wyprawy i wrócili rozpromienieni, donosząc o wielkim postępie w naszych poszukiwaniach.

— Człowieku, przyznaję, że nie bardzo wierzyłem w tego przybysza z zewnątrz — rzekł Mac Donald — ale to minęło. Stwierdziliśmy do kogo należy rower i mamy opis naszego ptaszka, co jest już wielkim krokiem naprzód.

— Wygląda to na początek końca — rzekł Holmes i — gratuluję wam z całego serca.

— Wyszedłem z założenia, że Mr. Douglas był, jak się zdaje, niespokojnym od poprzedniego dnia, kiedy jeździł do Tunbridge Wells. A zatem w Tunbridge Wells uprzytomnił sobie, że grozi mu niebezpieczeństwo. Było zatem rzeczą jasną, że człowiek z rowerem mógł przybyć i te goby się należało spodziewać, z Tunbridge Wells. Zabraliśmy rower i pokazywali go w każdym hotelu. Właściciel Eagle Commercial poznał go odrazu, jako własność niejakiego Hargrave'a, który wynajął tam pokój przed dwoma dniami. Rower ten i mała walizka były jego jedyne rzeczy. Zapisał się jako przybywający z Londynu, ale adresu nie podał. Waliza zrobiona była w Londynie i rzeczy w niej były pochodzenia angielskiego, ale człowiek ten był niewątpliwie Amerykaninem.

— Dobrze, dobrze, — rzekł Holmes wesoło. — Dokonałeś pan w istocie ważnych rzeczy w czasie, kiedy snułem teorie z moim przyjacielem. Jest to lekcja praktyczności, Mr. Mac Donald.

— Otóż to, Mr. Holmes — rzekł inspektor z zadowoleniem.

— Ale to wszystko zgadza się z twojami teorjami — zauważyłem.

— Może być, a może i nie. Ale chciałbym usłyszeć koniec, Mr. Mac. Czy nie dało się stwierdzić nazwiska tego człowieka?

— Znaleźliśmy raczej dowody, że starał się ukryć swoje nazwisko. Nie pozostawił żadnych papierów, ani listów; nawet bielizna jego nie była znaleziona. Mapa hrabstwa do użytku cyklistów leżała na stole w jego pokoju. Opuścił hotel na rowerze wczoraj rano po śniadaniu i nikt o nim więcej nie słyszał, aż do naszych poszukiwań.

— To mnie uderza, Mr. Holmes — rzekł White Mason. — Należałoby wnosić, że człowiek ten powinien był powrócić i pozostać w hotelu, jako nieszkodliwy turysta, jeśli nie chciał unikać plotek. W danym wypadku musiał jednak wiedzieć, że zameldowanym zostanie na policji przez właściciela hotelu i że zniknięcie jego odniesionem zostanie do morderstwa.

— Takby należało przypuszczać. Obliczenia jego były jednak w każdym razie słuszne, gdyż nie został ujęty. Ale jego opis?

Mac Donald sięgnął po notatnik.

— Mam go w ogólnych zarysach. Zdaje się, że nie stwierdzili u niego nic specjalnego, ale, bądź co bądź, portjer, służący i pokojówka zgadzają się w pewnych szczegółach. Był to mężczyzna wysoki, prawie na pięć stóp, dziewięć cali, lat około pięćdziesięciu, z włosami przyprószonemi siwizną, siwiejącym wąsem, zakrzywionym nosem i twarzą, którą wszyscy opisują, jako dziką i odpychającą.

— Bah! Pominąwszy wyraz twarzy, mógłby to być także opis samego Douglasa — rzekł Holmes. — Ma on również lat około pięćdziesięciu, siwiejące włosy i wąsy, i taką samą prawie wysokość. Czy dowiedzieliście się czegoś więcej?

— Ubrany był w gruby, szary garnitur i nosił krótką, żołnierską kurtkę i miękką czapkę.

**ŚWIETLICA**

Huty „BOBREK”

— A strzelba?

— Ma ona niespełna dwie stopy długości. Można ją było łatwo włożyć do walizki. Mógł ją bardzo dobrze ukryć pod kurtką.

— A jak pan sądzi, o ile to wszystko zgadza się z główną sprawą?

— Kiedy ujmiemy tego człowieka, Mr. Holmes — rzekł Mac Donald — a możesz pan być pewnym, że w pięć minut po zebraniu tych informacji rozesłałem telegraficznie jego rysopis — osadzimy to lepiej. Ale i teraz zrobiliśmy już wielki krok naprzód. Wiemy, że Amerykanin pod nazwiskiem Hargrave przybył przed dwoma dniami do Tunbridge Wells z rowerem i walizką. W walizce tej znajdowała się strzelba z uciętymi lufami, przybył zatem w celach zbrodniczych. Wczoraj rano wybrał się tutaj na rowerze z strzelbą ukrytą pod kurtką. Nikt nie zauważył jego przybycia, o ile mogliśmy to stwierdzić, ale nie miał potrzeby przejeżdżać przez miasto w drodze do bram parku, a na gościńcu kręcił się dużo cyklistów. Prawdopodobnie rower swój ukrył odrazu wśród bluszczu, gdzie go znaleziono i zaczął się tam przypuszczać sam, mając dom na oku i czekając na zjawienie się Mr. Douglasa. Strzelba jest dziwną bronią, jeśli chodzi o użycie jej w domu, ale miał zamiar użyć jej na dworze, a wtedy ma swoje korzyści, tembardziej, że nie spodziewał się chybić, a odgłos wystrzałów jest rzeczą tak pospolitą w myśliwskiej Anglii, że nie zwróciłyby szczególnej uwagi.

— To jasne — rzekł Holmes.

— Mr. Douglas nie zjawił się. Cóż miał uczynić? Zostawił rower i o zmięczeniu poszedł

w stronę domu. Most był spuszczoney. Nie widział nikogo. Spróbował wejść, zamierzając, bezwątpienia usprawiedliwić się w razie spotkania z kimś. Ale nie spotkał nikogo. Wślizgnął się do pierwszego lepszego pokoju i ukrył się za firanką. Stąd zobaczył, że most podniesiono i zrozumiał, że pozostaje mu tylko ucieczka przez fosę. Czekał do kwadransa na dwunastą, kiedy Mr. Douglas, obchodzący dom co nocy, wszedł do pokoju. Zastrzelił go i uciekł, jak stwierdzono. Zdawał sobie sprawę, że jego rower zostanie rozpoznany przez służbę hotelową i będzie dowodem przeciw niemu, pozostawił go zatem i przedostał się w inny jakiś sposób do Londynu, albo do innego pewnego miejsca, gdzie się ukrył w myśl planu. Cóż pan na to, Mr. Holmes?

— W tem oświetleniu, to bardzo ładne i jasne, Mr. Mac. Ale to pańskie zapatrywanie. Według mnie zbrodnię popełniono o pół godziny wcześniej, niż podają; pani Douglas i Mr. Barker są w zмовіe i chcą coś ukryć. Pomogli oni ucieczce mordercy— a przynajmniej weszli do pokoju, zanim uciekł— i sfa-brykowali dowody jego ucieczki przez okno, podczas gdy według wszelkiego prawdopodobieństwa pozwolili mu wymknąć się, spuściwszy most. Takie jest moje wyjaśnienie pierwszej części.

Obaj detektywi potrząsnęli głową.

— Dobrze, Mr. Holmes, ale jeśli to prawda, wpadamy z jednej tajemnicy w drugą— rzekł inspektor z Londynu.

— I to nawet w gorszą — dodał White Mason. — Dama ta nigdy w życiu nie była w Ameryce. Cóż ją może łączyć z mordercą i cóż ją może skłaniać do osłaniania go?

— Przyznaję, że są pewne trudności — rzekł Holmes. — Mam zamiar dzisiejszej nocy prowadzić sam poszukiwania i jest możliwe, że przyniosą one coś ciekawego.

— Czy możemy panu być pomocni, Mr. Holmes?

— Nie, nie! Dość będę miał Amesa, który mi się przyda bezwątpienia. Myśl moja zmierza wciąż w jednym, zasadniczym kierunku — w jakim celu atleta posługuje się w swoich ćwiczeniach tak nienaturalnym przyrządem, jak pojedynczy ciężarek do gimnastyki?

Była już późna noc, kiedy Holmes wrócił z swojej samotnej wycieczki. Mieszkaliśmy w pokoju o dwóch łózkach, najlepszym, jaki można było znaleźć w małej, wiejskiej oberży. Spałem już, kiedy obudziło mnie jego wejście.

— I cóż, Holmes, — krzyknąłem, — znalazłeś coś?

Stał chwilę obok mnie w milczeniu ze świecą w ręce. Potem wysoka, chuda postać jego pochyliła się nademną.

— Czy bałbyś się, Watsonie — szepnął — spędzić noc w tym samym pokoju z warjatem, człowiekiem cierpiącym na rozmiękczenie mózgu, idjota i półgłówkiem?

— Bynajmniej — odpowiedziałem zdumiony.

— To szczęście — rzekł.

Tej nocy nie mogłem się od niego już nic więcej dowiedzieć.



## ROZDZIAŁ VII.

### R o z w i ą z a n i e.

Nazajutrz rano po śniadaniu, zastaliśmy inspektora Mac Donalda i Mr. White Masona zajętych poważną rozmową w małym pokoju miejscowego sierżanta policji. Na stole przed nimi leżał stos listów i telegramów, które uważnie przeglądali i wciągali do książek. Trzy z nich leżały na boku.

— Wciąż na śladzie nieuchwytnego cyklisty? zapytał Holmes wesoło. — Jakież ostatnie wieści o tym gałganie?

Mac Donald wskazał żałośnie na stos korespondencji.

— Donoszą o nim obecnie z Leicester, Nottingham, Southampton, Derby, East Ham, Richmond i czternastu innych miejscowości. W trzech z nich — East Ham, Leicester i Liverpool — poznano go i zaaresztowano. Cała okolica, jest jak się zdaie, pełna uciekinierów w żółtych kurtkach.

— Mój Boże! — rzekł Holmes ze współczuciem. — A teraz posłuchajcie mnie, Mr. Donald i Mr. White Mason. Chcę wam dać dobrą radę. Kiedy przystąpiłem do sprawy razem z wami, umówiłem się, że nie będę darzył was nieugruntowanymi teorjami, ale, że zamilczę i opracuję pomysły moje do chwili, kiedy

będę je uważał za pewne. Z tego powodu nie mogę wam teraz jeszcze powiedzieć wszystkiego, co myślę. Z drugiej strony, przyrzekłem, że zachowam się w stosunku do was, jak należy, a sądzę, że nie byłoby to ładnie z mojej strony pozwolić wam choćby na chwilę tracić siły na bezużyteczną robotę. Dlatego przyszedłem tu dać wam jedną radę, a rada moja zamyka się w dwóch słowach: zaniechajcie sprawy!

Mac Donald i Mr. White Mason spojrzeli zdumieni na ich słynnego kolegę.

— Pan uważa sprawę za beznadziejną — zawołał inspektor.

— Uważam waszą sprawę za beznadziejną. Uważam, że tą drogą nigdy nie dojdziecie do prawdy.

— Ale cyklista. On nie jest wymysłem. Mamy jego opis, jego walizkę, jego rower. Człowiek ten gdzieś musi być. Dlaczegoż byśmy nie mieli go schwycić.

— Tak, tak, on jest gdzieś, bezwarunkowo schwytamy go, ale nie chciałbym, abyście tracili siły w East Ham albo Liverpoolu. Jestem pewny, że krótszą drogą dojdziemy do celu.

— Pan coś ukrywasz. To nie ładnie, Mr. Holmes — Inspektor był urażony.

— Pan zna moją metodę pracy, Mr. Mac. W każdym razie ukrywać będę jak najkrócej. Pragnę tylko sprawdzić moje spostrzeżenie pod jednym względem, co się da łatwo skutecznie, a potem kłaniam się pięknie i wracam do Londynu, pozostawiając wam do użytkowania owoce moich poszukiwań. Nie dziwię się, że idziecie za innym śladem, gdyż w całej mojej praktyce nie przypominam sobie ciekawszego i bardziej niezwykłego zagadnienia.

— Tego nie pojmuję, Mr. Holmes. Widzieliśmy się z panem ubiegłej nocy po powrocie z Tunbridge Wells i wtedy zgadzał się pan z nami w zupełności. Co pana skłoniło w ciągu tego czasu do zmiany zapamiętań na sprawę?

— Ponieważ pytacie się o to, powiem, że skłonił mnie do tego kilkugodzinny pobyt w zamku ubiegłej nocy, o którym wam zresztą wczoraj mówiłem:

— I cóż się stało?

— Ah! Narazie opowiedzieć wam mogę tylko ogólników. Ale czytałem, wspomnę tu mimochodem, krótki, jasny i interesujący opis starego budynku, który można nabyć u trafikarza za skromną sumę jednego pensa.

Tu Holmes wydobyl z kieszeni małą książeczkę, przyozdobioną prymitywnym rysunkiem starożytnego zamku.

— Wpływa to dobrze na gorliwość w poszukiwaniach, mój drogi Mr. Mac, jeśli się wchodzi w styczność z historją danej miejscowości. Nie bądź taki niecierpliwy, gdyż zapewniam cię, że ów pobieźny opis umożliwia odtworzenie w duszy przeszłości. Pozwól pan służyć sobie próbka. — Zbudowany w piątym roku panowania Jakóba I. i stojący na fundamentach jeszcze starszego budynku, Zamek Birstone jest jednym z najstarszych, dotąd zachowanych przykładów obronnych dworów z czasów Jakóba I.

— Pan sobie z nas żartuje, Mr. Holmes.

— Cicho, cicho, Mr. Mac! — Widzę poraz pierwszy, że się pan niecierpliwi. Dobrze, nie będę czytał tego dosłownie, jeśli pan tak bardzo oponuje. Jeśli powiem jednak, że są tam wzmianki o zajęciu miejscowości przez jednego z pułkowników z ramie-

nia Parlamentu w 1644 r., o ukrywaniu się tutaj Karola przez szereg dni w czasie wojny domowej i wreszcie o wizycie Jerzego II, musicie przyznać, że stary ten dom budzi pod pewnymi względami zainteresowanie.

— Nie wątpię, Mr. Holmes, ale to nie nasza sprawa.

— Doprawdy? Doprawdy? W zawodzie naszym, drogi Mr. Mac, potrzebną jest pewna wszechstronność. Oderwane myśli i ukryte cele zdobytych wiadomości mają często pierwszorzędne znaczenie. Wybacz pan uwagi te człowiekowi, który chociaż jest amatorem, ma więcej lat i może więcej doświadczenia, niż pan.

— Przyznaję to zawsze — rzekł serdecznie detektyw. — Pan zdąża do celu, ale ma pan taki dziwny sposób kołowania.

— Dobrze zatem, dam spokój historii i przejdę do teraźniejszości. Byłem ubiegłej nocy, jak to już mówiłem, w Zamku. Nie widziałem ani Mr. Barkera, ani pani Douglas. Nie chciałem im przeszkadzać, ale dowiedziałem się z przyjemnością, że pani nie jest bardzo smartwiona i że zjadła doskonały obiad. Wizytę moją złożyłem właściwie pocziwemu Mr. Amesowi, z którym nawiązałem stosunki i który pozwolił mi, na własną rękę, pozostać przez pewien czas samemu w gabinecie.

— I cóż? — wykrzyknąłem.

— Nic, nic. Wszystko już w porządku. Pan udzielił mi pozwolenia, Mr. Mac, o ile mi wiadomo. Pokój był teraz uporządkowany. Spędziłem w nim znamienny kwadrans.

— I cóż pan tam robił?

— Nie potrzebuję robić z tego tajemnicy. Szukałem ciężarka. Nie dawał mi spokoju w tej sprawie. I w końcu go znalazłem.

— Gdzie?

— Ah! Tu jesteśmy znów na progu tajemnicy. Pozwólcie mi posunąć się jeszcze trochę, tylko troszeczkę, a będziecie wiedzieli wszystko, co ja wiem.

— Dobrze. Przyjmujemy pańskie warunki — rzekł inspektor — ale jeśli chodzi o zaniechanie sprawy... Pocóż na miłość boską, mielibyśmy zarzucać śledztwo?

— Z bardzo prostego powodu, mój drogi Mr. Mac. Nie wiecie przedewszystkiem, o co wam chodzi.

— Chodzi nam o wyjaśnienie morderstwa Mr. Jana Douglasa z Zamku Birlstone.

— Tak jest; to prawda. Ale nie silcie się na schwytanie tajemniczego pana na rowerze. Zapewniam, że to wam nic nie pomoże.

— A zatem, co nam pan radzi?

— Powiem wam co czynić, o ile zgodzicie się na to.

— Przyznaję, że mimo pańskich dziwnych sztuczek, miał pan, jak widziałem, zawsze słusność. Przyjmę pańską radę.

— A pan, Mr. White Mason?

Detektyw miejscowy spoglądał bezradny to na jednego, to na drugiego. Mr. Holmes i jego metody były dla niego czemś zupełnie nowem.

— Jeśli to dobre dla inspektora, będzie dobre i dla mnie — rzekł w końcu.

— Doskonale! — rzekł Holmes. — A zatem, proponuję wam ładny spacer w okolicę. Mówiono

mi, że widok z pagórków Birlstone na Weald jest w istocie wspaniały. Dostaniemy coś do zjedzenia w jakiejś porządniejszej gospodzie, chociaż nieznanomość okolicy uniemożliwia mi wymienienie jej. Wieczorem wrócimy zmęczeni ale szczęśliwi.

— To już przechodzi wszelkie granice! — zawołał Mac Donald, wstając z krzesła rozgniewany.

— Dobrze, zatem spędźcie dzień, jak chcecie — rzekł Holmes, klepiąc go z humorem po ramieniu. — Róbcie, co chcecie i idźcie, gdzie chcecie, ale spotkajcie się ze mną na pewno o zmierzchu — napewno, Mr. Mac.

— To już brzmi rozsądniej.

— Wszystko było dobre, ale nie spieram się, jeśli tyłko wrócicie tu, kiedy będę was potrzebował. Ale, nim się pożegnamy, chciałbym, aby pan napisał kilka słów do Mr. Barkera.

— Dobrze.

— Ja panu podyktuję. Można?

„Drogi Panie! Przyszedłem do przekonania, że obowiązkiem naszym jest osuszyć fosę, w nadziei, że znajdziemy...”

— To niemożliwe — rzekł inspektor. — Pytałem się. —

— Cicho, cicho, drogi panie! Niech pan tak robi, jak mówię.

— Dobrze, piszemy.

„— w nadziei, że znajdziemy coś, co nam ułatwi śledztwo. Zarządziłem, aby robotnicy zabrali się do pracy wczesnym rankiem jutro i odwrócili bieg strumienia...”

— To niemożliwe!

— „odwrócili bieg strumienia. Uważam, że za-  
wiadomienie o tym, mającym nastąpić fakcie, będzie  
rzeczą wskazaną”.

— A teraz podpisz pan i wyślij pan ten list oko-  
ło czwartej. O tej godzinie spotkamy się tutaj. Do  
tego czasu możemy robić co się nam podoba, gdyż  
zapewniam, że śledztwo musi być chwilowo przer-  
wane.

Wieczór zapadał, kiedy zebraliśmy się znowu.  
Holmes był swoim zwyczajem bardzo poważny, ja  
zaciekawiony, a detektywki wyraźnie nieufni i zde-  
nerwowani.

— Dobrze, panowie — rzekł mój przyjaciel u-  
roczyście. Osądźcie teraz, czy spostrzeżenia moje  
uprawniają do wprowadzenia tych wniosków, do  
jakich przyszedłem. Jest chłodny wieczór i nie wiem,  
jak długo pozostaniemy na dworze, dlatego proszę,  
abyście się ciepło ubrali. Jest rzeczą pierwszorzę-  
dnej wagi, abyśmy byli na stanowisku nim noc za-  
padnie, dlatego, jeśli pozwolicie, pójdziemy odrazu.

Poszliśmy wzdłuż parku zamkowego do miej-  
sca, gdzie brakowało kilku zielonych prętów w za-  
mykającym go ogrodzeniu. Wślizgnęliśmy się do  
środku, a potem, w zapadających ciemnościach  
szliśmy, za Holmesem aż do kępy krzaków, które  
rosły prawie nawprost głównych drzwi i mostu zwo-  
dzonego. Ten ostatni nie był jeszcze podniesiony.  
Holmes przykucnął poza osłoną z bluszczu, a my  
trzej poszliśmy za jego przykładem.

— Cóż mamy teraz czynić? — Zapytał Mac  
Donald trochę szorstko.

— Być cierpliwym i nie robić żadnego hała-  
su — odpowiedział Holmes.

— Pocośmy tu wogóle przybyli? Mógłby pan mieć do nas nieco więcej zaufania.

Holmes roześmiał się.

— Watson twierdzi, że lubię w życiu efekty dramatyczne — rzekł.

— Jestem poniekąd artystą i coś w duszy mojej domaga się ustawicznie wystąpień dobrze wyreżyserowanych. Zaiste, nasz zawód, Mr. Mac, byłby bezbarwnym i mało wartościowym, gdybyśmy czasem nie mieli zagrać sceny, gloryfikującej wyniki naszej pracy. Ordynarne oskarżenie, brutalne uderzenie po ramieniu — cóżby to było za rozwiązanie. Ale szybko po sobie następujące wypadki, zręcznie nastawiona pułapka, inteligentne przewidywanie tego, co ma nastąpić, uzasadnienie tryumfalne śmiałych teorii — czyż to nie chluba i usprawiedliwienie naszej życiowej pracy? W obecnej chwili jesteście pod wrażeniem sytuacji i przenika was, jak myśliwych, dreszcz w oczekiwaniu niespodzianki. Gdybyśmy byli równie obliczalnym jak chronometr, dreszczu tego nie byłoby jednak. Proszę pana, Mr. Mac, tylko o trochę cierpliwości, a wszystko będzie jasne.

— Dobrze; mam jednak nadzieję, że chluba, usprawiedliwienie i to wszystko stanie się rzeczywistością, zanim się śmiertelnie przeziębimy — rzekł detektyw z Londynu z komiczną rezygnacją.

Mieliśmy słuszny powód żywić tę nadzieję wszyscy, gdyż czuwanie nasze było długie i przykre. Ciemności otulały zwolna długie, ponury dom. Zimny, wilgotny powiew od fosy przemroził nas do kości tak, że szczękaliśmy zębami. Nad bramą umieszczona była jedna lampa, a w fatalnym gabinecie widniała kula silnego światła. Zresztą wszędzie spokój i cisza.



— Jak to długo będzie trwało — zapytał nagle inspektor.

Holmes odparł trochę szorstko.

— Gdyby czyny przestępców były z góry oznaczone, jak bieg pociągów, byłoby to dla nas wszystkich z pewnością wygodniejszym. Ponieważ zaś... oto, na co czekamy.

Kiedy wymawiał te słowa, na jasnym, żółtawym tle świetlnem w gabinecie zamigotał cień, jakby ktoś przeszedł przez pokój. Bluszcz, w którym leżeliśmy ukryci, rósł nawprost okna, w odległości nie większej, jak sto stóp. Okno to otworzyło się teraz z pewnym zgrzytem i zobaczyliśmy mglisty zarys słowy i barków mężczyzny, który spoglądał w ciemność. Przez kilka minut wpatrywał się w nią niepewnym, podejrzliwym wzrokiem, jak ktoś pragnący się upewnić, że nikt go nie widzi. Potem pochylili się i w zupełnej ciszy usłyszeliśmy plusk wody. Poruszał wodę w fosie jakimś przedmiotem, trzymanym w ręce. Potem wyłowił coś, na podobieństwo rybaka wyciągającego rybę — jakiś wielki okrągławy ciężar, który zasłonił światło, kiedy go przeciągnął przez otwarte okno.

— Teraz! — krzyknął Holmes. — Teraz!

Zerwaliśmy się wszyscy na nogi i popędziliśmy za nim, o ile pozwalały na to nasze zdrętwiałe członki, podczas gdy on w jednym z tych przypliwów energii, która z niego w odpowiednim czasie czyniła najsilniejszego i najruchliwszego człowieka, jakiego znałem, przebiegł przez most i zadzwonił gwałtownie. Dał się słyszeć zgrzyt odsuwanej zapory i u wejścia stanął zdumiony Ames. Holmes odsunął go na bok bez słowa i razem z nami wpadł do pokoju, zajętego przez mężczyznę, któregośmy obserwowali.

Lampa naftowa na stole była źródłem światła, widzianego z zewnątrz. Trzymał ją teraz w rękę Cecili Barker i wyciągnął ku nam, kiedyśmy weszli. Światło jej padało na jego męską, odważną, gładko wygoloną twarz i groźne oczy.

— Cóż to, u diabła, ma znaczyć? Czego szukacie?

Holmes rozejrzał się szybko dokoła. Wzrok jego padł na pokryte szlamem zawiniątko, obwiązane sznurem, które leżało pod biurkiem.

— Oto, czego szukamy, Mr. Barker. Zawiniątko, obciążone ciężarkiem do gimnastyki, które pan właśnie wyjął z fosy.

Barker spojrział na Holmesa zdumiony.

— Skąd pan to wie? — zapytał.

— Ponieważ sam je tam wrzuciłem.

— Pan je wrzucił? Pan?

— Właśnie, powinienem powiedzieć, wrzuciłem je z powrotem — rzekł Holmes. — Przypomina pan sobie, inspektorze Mac Donald, że zniknięcie ciężarka uderzyło mnie. Zwróciłem na to pańską uwagę, ale pod wrażeniem innych wypadków nie zastanowił się pan zbyt nad faktem, z którego można było wyciągnąć pewne wnioski. Kiedy woda jest w pobliżu i brakuje ciężarka, można się zawsze spodziewać, że coś zostało do wody wrzucone. W każdym razie chciałem to stwierdzić i przy pomocy Amesa, który mnie wpuścił do pokoju i zakrzywionego parasola doktora Watsona, mogłem ubiegłej nocy wyłowić i oglądać zawiniątko. Było jednak rzeczą pierwszorzędną wagi abyśmy się przekonali, kto je wrzucił do wody. Udało się to nam dzięki przesłaniu zawiadomienia, że fosa będzie jutro osu-

szoną, co miało, rzecz prosta, ten rezultat, że ten, kto ukrył zawiniątko, uznał za konieczne wydobyć je, skoro noc zapadła. Jest nas czterech świadków, którzy widzieli, kto skorzystał z odpowiedniego momentu tak, że obecnie rzeczą pańską, Mr. Barker, jest usprawiedliwić się.

Sherlock Holmes położył powalane błotem zawiniątko na stolik obok lampy i rozwiązał je. Ze środka wyciągnął ciężarek, który rzucił w kąt do drugiego ciężarka. Potem wyjął parę butów.

— Amerykańskie, jak widzicie — rzekł, wskazując na przody. Z kolei położył na stole długi, śmiercionośny, włożony do pochwy nóż.

W końcu rozwinął paczkę zawierającą garnitur bielizny, skarpetki, szare ubranie i krótką, żółtą kurtkę.

— Ubranie jest zupełnie zwyczajne — zauważył Holmes, — za wyjątkiem kurtki, która ma szereg podejrzanych znamion. — Trzymał ją do światła, przesuwając po niej długimi, cienkimi palcami.

— Tu jak widzicie, znajduje się od wewnątrz kieszeń, sięgająca daleko w głąb, aby się w niej zmieścić mogła strzelba z obciętymi lufami. Znak firmy krawieckiej jest na szyi — Neale, Outfitter, Vernissa, U. S. A. Spędziłem popołudniu kilka godzin w bibliotece proboszcza i uzupełniłem moje wiadomości przez stwierdzenie, że Vernissa jest małym, kwitnącym miasteczkiem w głębi jednej z najważniejszych żelaznych i węglowych dolin w Stanach Zjednoczonych. Przypomniałem sobie, Mr. Barker, że, według pana, zachodził jakiś związek między okręgami węglowymi i pierwszą żoną Mr. Douglasa, nie mogłem zatem uważać za zbyt daleko idące przy-

puszczenia, że litery D. V. na kartce obok trupa znalezionej, oznaczać mają Dolinę Vermissy i że ta właśnie dolina, wysyłająca posłów śmierci jest ową Doliną Trwogi, o której słyszeliśmy. To jasne. A teraz oczekujemy wyjaśnień z ust pańskich, Mr. Barker.

Trzeba było widzieć ruchliwą twarz Cecila Barkera, podczas tej przemowy wielkiego detektywa. Gniew, zdumienie, konsternacja i niepewność zmieniały się na niej w kolejnem następstwie. W końcu uciekł się do kwaśnej ironji..

— Pan wie tak wiele, Mr. Holmes, że może pan nam powiedzieć jeszcze więcej — rzekł z przekąsem.

— Nie wątpię, że mógłbym powiedzieć więcej, ale wolałbym, Mr. Barker, aby mnie pan wyręczył.

— Czy być może? Otóż wszystko, co mogę powiedzieć, jest to stwierdzić, że jeśli zachodzi tu tajemnica, tajemnica ta nie jest moją i zdradzić jej nie mogę.

— Jeśli pan wybierze tę drogę, Mr. Barker — rzekł spokojnie inspektor — musimy mieć pana na oku aż do chwili, kiedy nie przyjdzie rozkaz aresztowania.

— Róbcie co chcecie — rzekł Barker ze złością.

Rokowania zdawały się być skończone, jeśli rozchodzi się o nas, gdyż jeden rzut oka na jego granitową twarz przekonywał, że żadna ludzka siła nie zdołałaby zmienić jego postanowienia. Ciszę przerwał jednak głos kobiety. Pani Douglas, która stała, słuchając, w półotwartych drzwiach, weszła te raz do pokoju.

— Zrobił pan już dość dla nas, Cecil — rzekła. — Cokolwiek się stanie w przyszłości, zrobił pan już dosyć.

— Dosyć i więcej, niż dosyć — zauważył Sherlock Holmes poważnie. — Współczuję z panią głęboko i prosiłbym usilnie, aby zaufała pani naszym sądom i opowiedziała sama wszystko policji. Zbłądziłem może, nie chcąc skorzystać z wskazówki pani, przesłanej przez mego przyjaciela, Dra Watsona, ale wówczas myślałem, że pani jest sama współniczką zbrodni. Teraz wiem, że tak nie jest. Bądź co bądź jednak, jest wiele rzeczy niewyjaśnionych i dlatego proponowałbym pani, abyś przekonała pana Douglasa, że opowiadanie jego historii byłoby bardzo wskazane.

Po tych słowach Holmesa pani Douglas wydała okrzyk zdziwienia. Detektywi i ja musieliśmy go powtórzyć, kiedy spostrzegliśmy wylaniającego się, jakby ze ściany, mężczyznę, który szedł ku nam z kąta, gdzie się zjawił. Pani Douglas odwróciła się i w jednej chwili otoczyła go ramionami. Barber uściśnął jego wyciągniętą dłoń.

— Tak będzie najlepiej, Janku — powtórzyła jego żona.

— Jestem pewna, że tak będzie najlepiej.

— W istocie, Mr. Douglas — rzekł Scherlock Holmes. — Jestem i ja przekonany, że tak będzie najlepiej.

Mężczyzna stał, mrugając powiekami jak ktoś, wychodzący z ciemności na światło. Była to ciekawa twarz — bystre, szare oczy, szerokie, krótko przyszyte, siwawe wąsy, kwadratowy, wystający podbródek i kapryśne usta. Przyglądał się nam

pod z tym, ku mojemu zdumieniu, podszedł ku mnie i wręczył mi zwój papieru.

— Słyszałem o panu — rzekł głosem miękkim i przyjemnym, bez wyraźnego angielskiego lub amerykańskiego akcentu. — Pan jesteś historykiem tego człowieka. Zapewniam pana, Drze Watsonie, że nie spotkałeś się jeszcze z taką historją. O to jestem gotów się założyć. Opowiesz pan wszystko, jak było, ale tu są fakty, które nie powinny pozostać tajemnicą. Byłem zamknięty przez dwa dni i spędziłem godziny dzienne — chociaż w tej norze miałem światła nie wiele — na ubraniu faktów w słowa. Pozostawiam je ocenie pańskiej i publiczności.

Oto historja o Dolinie Trwogi.

— To przeszłość, Mr. Douglas — rzekł Scherlock Holmes spokojnie. — Chcielibyśmy jednak usłyszeć, co się panu przytrafiło... teraz.

— Spełnię pańską prośbę, sir — rzekł Douglas — czy mógłbym palić podczas opowiadania? Dziękuję Mr. Holmes; pan sam pali, o ile sobie przypominam, to też można sobie wyobrazić, jaka to męka siedzieć dwa dni z tytoniem w kieszeni i nie palić z obawy, aby mnie dym nie zdradził. — Oparł się o kominek i zaciągnął się dymem z cygara, które mu dał Holmes. Słyszałem o panu, Mr. Holmes; nigdy nie przypuszczałem, że się spotkamy. Ale zanim jeszcze zapozna się pan z tem — wskazał na moje papiery — przyznać pan musi, że przyniosłem panu coś nowego.

Inspektor Mac Donald przyglądał się nowo przybyłemu z największym zdumieniem.

— Jestem oszołomiony! — zawołał wreszcie. — Jeśli pan jest Mr. Douglasem z Zamku Birlstone, za

czyją śmiercią śledzimy zatem od dwóch dni i skąd pan się, u diabła, tu wziął? Wyskoczył pan z pod stóp czarodziejską figurką.

— Ah, Mr. Mac — rzekł Holmes, grożąc palcem na znak wyrzutu — nie chciał pan czytać miejscowej broszury, opisującej ukrycie Króla Karola. Ludzie kryli się wówczas w specjalnie zbudowanych schowkach, a schowki, które były w użyciu, mogą być użyte w każdej chwili znowu. Byłem przygotowany, że znajdziemy Mr. Douglasa w tym domu.

— I tak długo żartowałeś sobie z nas, Mr. Holmes — rzekł inspektor rozgniewany. — Jak długo kazałeś nam tracić czas na poszukiwaniach, które uważałeś za bezsensowne?

— Ani chwili, mój drogi Mr. Mac. Dopiero ubiegłej nocy przekonałem się jak sprawa stoi. Ponieważ przed wieczorem nie mogłem mieć pewnych dowodów, zaproponowałem panu i pańskiemu koleźce całodzienny spacer, cóż mogłem więcej uczynić? Kiedy znalazłem w fosie zawiniątko z ubraniem, stało się dla mnie odrazu jasnym, że ciało, znalezione przez nas, nie mogło być wogóle ciałem Mr. Jana Douglasa, ale było ciałem rowerzysty z Tunbridge Wells. Tylko ten wniosek był możliwy. Dlatego postanowiłem się przekonać gdzie jest sam Mr. Douglas, a przypuszczałem, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, ukrył się za wiedzą żony u swojego przyjaciela, w domu tak dogodnym dla uciekniernia i czekał na sposobność, aby dokonać ostatecznej ucieczki.

— Tak, pan to dobrze ująłeś — rzekł Mr. Douglas z uznaniem. — Myślałem, że oszukam wasze brytyjskie prawo, gdyż nie wiedziałem w jakim do

niego pozostaje stosunku, a pozatem sposobność zbi-  
cia z tropu tych psów raz na zawsze. Nie mam się  
czego wstydzic i to co zrobiłem, zrobiłbym w każdej  
chwili raz drugi, ale osądzicie to sami, kiedy wam  
opowiem moją historję.

— Nie chcę zaczynać od samego początku.  
Wszystko jest tam — wskazał na pęk moich papie-  
rów — i wiele szczegółów wprawi was w zdumienie.  
Wszystko streszcza się w tych słowach: że pewni lu-  
dzie żywią ku mnie nienawiść i że oddaliby ostatnie-  
go dolara, aby mnie dostać w swoje ręce. Jak długo  
żyje i jak długo oni żyją, nie ma dla mnie bezpieczne-  
go miejsca na świecie. Ścigali mnie z Chicago do Kali-  
fornji; potem wypędzili mnie z Ameryki; kiedy się  
jednak ożeniłem i osiadłem w tym zacisznym zakąt-  
ku, sądziłem, że ostatnie lata moje upłyną w spoko-  
ju. Nigdy nie mówiłem żonie jak rzeczy stoją. Po co  
miałem ją mieszać do tego? Nie miałyby ani chwili  
spokoju i spodziewałyby się zawsze nieszczęścia.  
Przypuszczam, że coś wiedziała, gdyż mogłem się  
czasem zdradzić jakim słowem, ale aż do wczoraj,  
jeszcze wówczas, kiedyście z nią panowie rozmawiali,  
nie znała całej prawdy. Powiedziała wam wszystko  
co wiedziała, również jak Barker, gdyż w nocy, kiedy  
się to wszystko stało, nie było czasu na wyjaśnienia.  
Teraz wie już wszystko i postąpiłbym mądrzej, gdy-  
bym jej o tem wcześniej powiedział. Ale była to tru-  
dna sprawa, najdroższa — ujął na chwilę jej dłoń —  
miałem najlepsze zamiary.

— Wiedźcie zatem, panowie, że w dniu poprze-  
dzającym katastrofę byłem w Tunbridge Wells,  
i spostrzegłem na ulicy pewnego człowieka. Był to  
tylko jeden rzut oka, ale orjentuję się w tych spra-  
wach szybko, to też nie miałem wątpliwości. Chodzi-



ło o najgorszego mojego wroga, który ścigał mnie od szeregu lat, jak głodny wilk ściga karybu. Wiedziałem, że grozi mi niebezpieczeństwo, dlatego przygotowałem się na nie po powrocie do domu. Przypuszczałem, że dam sobie radę. Swojego czasu szczęście moje było przysłowiem w całych Stanach Zjednoczonych. Nie wątpiłem, że nie opuści mnie i teraz.

— Piłnowałem się przez cały dzień następny i nie wychodziłem do parku. To mnie uratowało, gdyż w przeciwnym razie zastrzeliby mnie niechybnie; kiedy most podniesiono — byłem zawsze spokojny, kiedy most podnoszono wieczorem — zapomniałem o całej sprawie. Nie spodziewałem się, że mógłby wejść do domu i czyhać na mnie. Kiedy obszedłem dom do koła, jak to było moim zwyczajem i wszedłem do gabinetu, zwiertzyłem od razu niebezpieczeństwo. U człowieka, który był w życiu w niejednej niebezpiecznej sytuacji — a ja przeżyłem takich sytuacji wiele — wyradza się, jakby szósty zmysł ostrzegawczy. Zrozumiałem zatem sygnał, chociaż nie mógłbym powiedzieć panom, na czym polegał. W chwilę potem ujrzałem wyłaniający się z pod firanki w oknie but i odtąd wiedziałem, czego się trzymać.

W rękę miałem tylko świecę, ale przez otwarte drzwi wpadało jasne światło lampy z przedsionka. Postawiłem świecę i skoczyłem po młot, który zostawiłem na kominku. W tej chwili i on rzucił się na mnie. Ujrzałem błysk noża i uderzyłem napastnika młotem. Nóż upadł na podłogę. Umknął poza stół, szybko, jak węgorz i w jednej chwili wydobyl z pod kurtki strzelbę. Usłyszałem, że odciągał cyngiel, ale chwyciłem za nią, zanim zdążył wypalić. Trzymałem

za łożysko i szamotałem się z nim przez minutę lub więcej. Wypuszczenie strzelby z rąk groziło śmiercią. Nie wypuścił jej, ale w pewnym momencie zniżył kolbę. Może pociągnąłem za cyngiel. Może pchnęliśmy go obaj równocześnie. Bądź co bądź, otrzymał postrzał w twarz z obu łuf naraz i w chwilę potem ujrzałem, że Ted. Baldwin pada na ziemię. Poznałem go w mieście i w momencie, kiedy się na mnie rzucił, ale teraz nie poznałaby go nawet rodzona matka. Jestem bardzo wytrzymały, ale na widok jego zrobiło mi się niedobrze.

Oparłem się o stół i w tej chwili wpadł Barker. Słyszałem, że nadchodzi moja żona, pobiegłem zatem do drzwi i zatrzymałem ją. Był to widok nie dla kobiety. Powiedziałem, że za chwilę przyjdę do niej na górę. Zamieniłem kilka słów z Barkerem, który momentalnie zorientował się w sytuacji i czekałem aż zjawi się służba. Ale nie przyszedł nikt. Zrozumielśmy, że nikt nic nie słyszał i że my jedni byliśmy panami tajemnicy.

— W tej chwili błysnęła mi myśl, która mnie wprost olśniła. Rękaw tego człowieka odsunął się ku górze, odsłaniając na jego przedramieniu wypalone piętno Łoży. Patrzcie panowie!

Douglas odpiął własny swój surdut i koszulę, ukazując nam brunatny trójkąt w kole, zupełnie podobny do tego, jakiego widzieli u trupa.

— To mnie przekonało. W jednej chwili uprzytomniłem sobie wszystko. Wzrost jego i tusza były prawie takie same, jak u mnie. Twarzy nikt nie mógłby rozpoznać. Zdjąłem z trupa ubranie, a w kwadrans potem wdziałem na niego, z pomocą Barkera, mój szlafrok, pozostawiając zwłoki w pozycji,

w jakiej znaleźliśmy je później. Rzeczy jego związa-  
liśmy razem i wyrzuciliśmy przez okno obciążyw-  
szy je jedynym ciężarem, jaki miałem pod ręką. Kart-  
kę, którą miał zamiar złożyć na moich zwłokach,  
położyliśmy obok niego. Na palce włożyłem mu  
moje pierścionki, ale kiedy przyszła kolej na obrącz-  
kę — wyciągnął muskularną rękę — ta nie dała  
zdać się, jak panowie widzicie. Nie zdejmowałem  
jej od dnia ślubu i trzebaby ją było chyba przeciąć.  
Nie wiem, czy zdecydowałbym się na wyzbycie się  
jej, ale choćbym nawet chciał, nie mogłem tego uczynić.  
Daliśmy zatem spokój. Z drugiej strony od-  
ciąłem kawałek plastra i przykleiłem go w miejscu,  
gdzie noszę jeszcze dziś plaster. Mimo całego swo-  
jego sprytu, Mr. Holmes, zaniedbałeś przekonać się,  
czy pod tym plastrem znajdowała się rzeczwiście  
ranka.

— Tak się przedstawiała sytuacja. I gdybym  
się mógł ukryć na pewien czas, a potem uciec dalej  
i połączyć tam z moją żoną, moglibyśmy wreszcie  
spędzić resztę życia w spokoju! Te diabły przesła-  
dowałyby mnie zawsze, ale gdyby wyczytali w ga-  
zetach, że Baldwin mnie zabił, skończyłyby się moje  
kłopoty. Nie miałem czasu tłumaczyć tego Barke-  
rowi i mojej żonie, ale zrozumieli mnie na tyle, aby  
mi pomódz. Znałem tutejszą skrytkę, równie jak  
Ames, chociaż nigdy nie przyszło mu do głowy, aby  
pozostawała w jakimś związku z samą sprawą. Scho-  
wałem się do niej i powierzyłem resztę Barkerowi.

— Przypuszczam, że wiecie, jak się zabrał do  
rzeczy. Otworzył okno i poplamiał krwią futrynę,  
aby upozorować ucieczkę mordercy. Było to mało  
prawdopodobne, ale wobec podniesienia mostu, nie  
było innej drogi. Potem kiedy już wszystko przygo-

tował, zaczął dzwonić na alarm. Wiecie, co się później stało, panowie. Czyście, co uważacie za stosowne, ale to jest cała prawda, klnę się na Boga. A teraz chciałem zapytać jaki jest mój stosunek do praw angielskich?

— Zapadło milczenie, które przerwał Sherlock Holmes.

— Prawo angielskie jest, na ogół, prawem sprawiedliwym. Może pan odpowiadać jedynie za chęć uchylenia się z pod niego. Ale chciałem się spytać pana, skąd ów człowiek wiedział, że pan tu żyje, kto mu powiedział, jak się dostanie do pańskiego domu i gdzie się ma ukryć, aby wykonać na pana zamach?

— Tego nie wiem.

Twarz Holmesa pobladła i spoważniała.

— Lękam się, że to jeszcze nie koniec — rzekł. Mogą panu grozić gorsze niebezpieczeństwa, niż angielskie prawo, a nawet pańscy wrogowie z Ameryki. Powinien się pan mieć zawsze na baczności.

— — — — —

A teraz, moi cierpliwi czytelnicy, zaproponuję wam przeniesienie się wraz ze mną na krótki czas w okolice, położone zdala od Zamku Birlstone w Sussex i w czasy dawniejsze, niż rok pański, w którym przedsiębraliśmy naszą efektowną podróż, której rezultatem było poznanie dziwnej historii człowieka, zwanego Janem Douglasem. Pragnę, abyscie się cofnęli o dwadzieścia lat wstecz i przenieśli o tysiące mil na zachód, abym wam mógł opisać niezwykle i straszne wydarzenie — tak niezwykle i tak

straszne, że zaledwie będziecie mogli uwierzyć moim słowom. Nie sądzcie, że zaczynam drugą historję, nie skończywszy pierwszej. Przekonacie się o tem, czytając ją. A kiedy opiszę minione wypadki i kiedy odsłoni się przed wami zagadka przeszłości, spotkamy się znowu na Baker Street, gdzie zakończę to opowiadanie, jak zakończyłem już tyle innych, równie jak ono ciekawych.

~~Copyrighted material~~

# Rządy terroru

## ROZDZIAŁ VIII.

### Człowiek.

Było to czwartego lutego roku 1875. Zima była ostra i w wąwozach gór Filmerton leżał głęboki śnieg. Stalowy pług oczyścił jednak tor kolejowy i pociąg wieczorny, łączący długi szereg osad przy kopalniach węgla i hutach żelaznych, włókł się, chrapiąc po stromej pochyłości, która rozciąga się między Stagville na równinie i Vernissa, głównym miastem leżącym u wejścia do doliny Vernissy. Od miejsca tego tor wiedzie ku dołowi do Barton's Crossing, Helmdale i czysto rolniczych okolic Mertonu. Był to tor pojedynczy, ale przy każdym odgałęzieniu jego — a było ich wiele — długie szeregi wagonów z węglem i rudą żelazną świadczyły o ukrytych bogactwach, które sprowadziły ludność robotczą i ożywiony ruch w ten najbardziej zgęszczony kawałek Stanów Zjednoczonych.

Gdyż był, zaiste, opuszczony. Pierwszy wędrowiec, który tu zaglądnął nie przypuszczał zapewne, że najpiękniejsze prerje i najbujniejsze łąki nie miały żadnej wartości w porównaniu z tym ponurym kraje-  
m o czarnych urwiskach i gęstych lasach. Ponad ciemnymi i często trudnymi do przebycia borami na

stokach gór, widniały dumne, nagie, wierzchołki skał, pokryte śniegiem i poszarpane turnie, piętrzące się po obu stronach długiej, krętej, o nieregularnym przebiegu, doliny. Przez dolinę tę włókł się mały pociąg.

W pasażerskim wagonie na przodzie, w długim, nędznym wozie, w którym siedziało dwadzieścia lub trzydzieści osób, zapalono właśnie lampy naftowe. Osobami temi byli przeważnie robotnicy, wracający z całodzienniej pracy w niżej położonych częściach doliny. Przynajmniej tuzin z nich, sądząc z pobrudzonych twarzy i lampek bezpieczeństwa, było górnikami. Siedzieli razem, paląc, rozmawiając półgłosem i spoglądając od czasu do czasu na dwóch ludzi w drugim kącie wagonu, których mundur i odznaki zdradzały policjantów. Kilka kobiet z klasy robotniczej i jeden czy dwóch podróżnych, którzy mogli być drobnymi kupcami, stanowili resztę towarzystwa, wyjąwszy młodego mężczyznę, siedzącego osobno. Mężczyzną tym mamy się właśnie zająć. Przypatrzcie się mu dobrze, gdyż zasługuje na to.

Jest to młody człowiek, o świeżej twarzy, w średnim wieku, wyglądający na lat około trzydzieści. Ma wielkie, bystre, wesołe, szare oczy, którymi mruga od czasu do czasu, przyglądając się bawczo przez okulary siedzącym obok niego ludziom. Łatwo zrozumieć, że ma usposobienie towarzyskie i zupełnie proste i że chciałby się odnieść przyjaźnie do każdego człowieka. Robi na pierwszy rzut oka wrażenie jednostki otwartej i serdecznej, wesołego usposobienia i lubiącej żarty. Gdyby się mu jednak ktoś lepiej przypatrzył, zauważyłby silne szczęki i zaciśnięte usta, któreby go ostrzegły, że w głębi duszy jego kryją się inne zalety i że ten przyjemny,

o ciemnych włosach, młody Irlandczyk wyróżniłby się dodatnio lub ujemnie w każdym środowisku.

Wypowiedziawszy kilka zdań do najbliższego górnika i otrzymawszy tylko krótkie, opryskliwe odpowiedzi, podróżny umilkł zrezygnowany, przypatrując się przez okno okolicy. Nie był to wesoły widz. W zapadającym mroku sterczały rozpalone do czerwoności piece po obu stronach doliny. Wielkie stopy żużli i kupy popiołu wznosiły się na stokach, a ponad nimi piętrzyły się wielkie szyby węglowe. Wzdłuż toru pobudowane były grupami wielkie domy drewniane, których okna zaczynały świecić wśród nocy, a na częstych przystankach roiło się od czarnych ich mieszkańców. Obfitujące w żelazo i węgiel doliny okręgu Vernissy, nie były siedliskiem kultury lub lenistwa. Na każdym kroku widniały ponure ślady ciężkiej walki o byt, czekającej w przyszłości pracy i prostych, silnych robotników, którzy ją mieli wykonać.

Młody podróżny przyglądał się tej ponurej okolicy z twarzą, na której malował się wstręt i zaciekawienie, świadczące, że scena ta była dla niego nowością. Od czasu do czasu wyjmował z kieszeni gruby list, który przeglądał i na którym kreślił jakieś znaki. Raz wydobył z tylnej kieszeni przedmiot, o którego posiadanie niktby nie posądził tak spokojnie wyglądającego człowieka. Był to rewolwer, okrętowy, największego kalibru. Kiedy odwrócił go do światła, błysk miedzianych gilz naboji w bębunku pouczył, że był naładowany. Schował go szybko do kieszeni w tyle, ale nie mógł go już ukryć przed robotnikiem, który siedział na sąsiedniej ławce.

— Hallo, towarzyszu! — rzekł — Jesteś, jak się zdaje, gotowy i zaopatrzony.



Młody mężczyzna uśmiechnął się zakłopotany.

— Tak jest — rzekł — W okolicach, skąd przybywam, to konieczne.

— A skądże jedziesz?

— Ostatnio z Chicago.

— Jesteś tu obcy?

— Tak jest.

— Przyda ci się to i tutaj — rzekł robotnik.

— Ach! czy być może? — Młody człowiek wydawał się zaintrygowany.

— Czyś nic nie słyszał, co się tu dzieje?

— Nic, przez całą drogę!

— Sądziłem jednak, że mówią o tem w całej okolicy. Usłyszysz niebawem. Co cię skłoniło do przyjazdu w te strony?

— Słyszałem, że nie brak tu roboty.

— Czy należysz do Związku.

— Rzecz prosta.

— Sądzę zatem, że dostaniesz jakąś robotę.

Czy masz tu przyjaciół?

— Jeszcze nie, ale postaram się o nich.

— Jakto?

— Jestem Wolnomularzem. Nie ma miasta bez łoży, a gdzie jest łoża, będę miał i przyjaciół.

Słowa te wywarły na jego towarzyszu niezwykły efekt. Rozejrzał się podejrzliwie po wagonie. Górnicy wciąż jeszcze szeptali ze sobą. Obaj policjanci drzemali. Przeszedł przez wagon, usiadł przy młodym podróżnym i wyciągnął rękę.

— Daj dłoń! — rzekł.

Zamienili uścisk dłoni.

— Widzę, że mówisz prawdę. Ale muszę się upewnić.

Podniósł prawą rękę do prawego oka. Podróżny w tej chwili podniósł rękę lewą do swojego oka lewego.

— Ciemne noce nie są przyjemne — rzekł robotnik.

— Zwłaszcza do podróży — odpowiedział drugi.

— To wystarczy. Jestem brat Scanlan, z Łoży 341, w Dolinie Vernissy. Cieszę się, że cię tu widzę.

— Dziękuję. Jestem brat Jan Mc. Murdo, z Łoży 29, w Chicago, Mistrz J. H. Scott. Mam szczęście, że spotkałem się tak prędko z bratem.

— Jest nas tu wielu. Nigdzie, w całych Stanach Zjednoczonych, Zakon nie rozwinął się tak bardzo, jak tu właśnie w Dolinie Vernissy. Ludzie, tacy jak ty, przydadzą się nam. Nie rozumiem tylko, dlaczego człowiek tak dzielny i należący do Związku Robotniczego nie mógł znaleźć pracy w Chicago?

— Pracy mi nie brakowało — rzekł Mc. Murdo.

— A zatem?...

Mc Murdo wskazał na policjantów i uśmiechnął się.

— Ucieszyliby się z pewnością, gdybym im powiedział — rzekł.

Scanlan chrząknął porozumiewawczo.

— W kłopotcie? — zapytał szeptem.

— Ciężkim.

— Sprawa kryminalna?

— I tak dalej.

— Zabójstwo?

— Szkoda słów — rzekł Mc. Murdo z miną człowieka, który spostrzegł, że powiedział zbyt wiele. — Miałem swoje powody do opuszczenia Chicago i niech ci to wystarczy. Po co się o to pytasz?

Jego szare oczy błysnęły gniewnie poza okularami.

— Dobrze, towarzyszu. Nie chciałem cię obrazić. Chłopcy nasi nie będą zgorzeleni. Ale gdzie jedziesz?

— Do Vernissy.

— To trzeci przystanek. A gdzie chcesz się zatrzymać?

Mc. Murdo wyjął kopertę i zbliżył ją do ciemno palącej się lampy naftowej.

— Oto adres. Jakób Shafter, Sheridan Street. Jest to gospoda, którą mi polecono w Chicago.

— Nie znam jej, ale Vernissa to nie mój rejon. Mieszkam w Hobson Patch, dokąd właśnie dojeżdżamy. Ale chciałbym ci przed pożegnaniem udzielić jednej rady. Jeśli będziesz w kłopotcie w Vernissie, idź do Domu Związku i zobacz się z mistrzem Mc. Gintym. Jest on przewodniczącym Łoży w Vernissie, i nic w tej okolicy nie dzieje się wbrew jego życzeniu. Do widzenia, towarzyszu! Może spotkamy się kiedy w Łoży wieczorem. Ale pamiętaj: jeśli będziesz w kłopotcie, idź do Mistrza Mc. Ginty.

Scanlan wysiadł i Mc. Murdo pozostał znowu sam ze swojemi myślami. Noc zapadła już, a płomienie licznych pieców strzelały i huczały w ciemnościach. Na czerwonawem tle ich widać było pochylające i prostujące się, kręcące się i poruszające postacie w rytmie ustawicznego stukotu i ryku.

— Sądzę, że tak musi wyglądać piekło — rzekł jakiś głos.

Mc. Murdo odwrócił się i ujrzał, że jeden z policjantów wstał z miejsca i patrzył w przestrzeń, oświetloną ogniami

— Pod tym względem — rzekł drugi policjant — masz rację. Tak musi wyglądać piekło. Jeśli djabli w niem są gorsi, niż pewni ludzie, których znamy, musi być ono straszliwe. Sądzę, że jesteś tu obcym, młody człowieku?

— I cóż z tego? — odparł kwaśnym tonem Mc. Murdo.

— Radziłbym ci tylko troskliwie dobierać przyjaciół. Nie zaczynałbym na twojem miejscu od Mike Scanlana i jego paczki.

— Cóż, u diabła, obchodzą was moi przyjaciele? — wrzasnął Mc. Murdo takim tonem, że zwrócił się ku niemu wszystkie głowy w wagonie. — Czy prosiłem was o radę i czy wyglądam na takiego dzieciaka, że się bez niej nie ruszę. Mówcie, kiedy do was mówią; ja nie mam z wami nic do czynienia!

Spojrzał na strażników z miną warczącego psa.

Obaj policjanci, ludzie ociężali i dobroduszni, cofnęli się, zdumieni niezwykłą opryskliwością, z jaką przyjęto ich życzliwą radę.

— Nie ma się o co obrażać — rzekł jeden z nich. Ostrzegaliśmy was dla waszego dobra, widząc, że jesteście tu zupełnie obcym.

— Jestem obcym, ale znam was i wam podobnych — zawołał Mc. Murdo rozwścieczony. Wszędzie wścibiacie nos swój, chociaż was o to nikt nie prosi.

— Kto wie, czy się wkrótce bliżej nie poznamy, — rzekł z uśmiechem jeden ze strażników. — Dobry z ciebie ptaszek, jeśli się nie mylę.

— I ja tak sądzę — zauważył drugi. — Myślę, że się jeszcze spotkamy.

— Nie boję się was—zawołał Mc. Murdo.— Nazwijam się Jan Mc. Murdo. Znajdziecie mnie w każdej chwili u Jakóba Shaftera, na Sheridan Street, w Vernissie. Nie mam zamiaru ukrywać się przed wami. Czy w dzień, czy w nocy, spojrzę wam w twarz. O tem możecie być przekonani.

Między górnikami, obserwującymi śmiałe zachowanie się przybysza, rozległ się szmer podziwu i sympatji. Dwaj policjanci wrzუსzyli ramionami i zaczęli znów z sobą rozmawiać.

W kilka minut później pociąg zjechał na źle oświetloną stację. Wszyscy zaczęli wysiadać, gdyż Vernissa była największą osadą na tej linii. Mc. Murdo podniósł swoją skórzaną podręczną walizkę i miał zniknąć w ciemności, kiedy zaczął go jeden z górników.

— Daję słowo, towarzyszu, umiecie przemawiać do tej bandy—rzekł głosem pełnym uznania.— Serce radowało się, kiedy was słuchałem. Wezmę waszą walizkę i pokażę wam drogę. Przechodzę koło Shaftera w drodze do domu.

Kiedy schodzili z platformy, pożegnał ich znów przyjemny „Dobranoc” z ust innych górników. Jeszcze przed wejściem do Vernissy niespokojny Mc. Murdo zdobył sobie uznanie w tem mieście.

Okolica jego budziła grozę, ale samo miasto wywoływało jeszcze przykrzejsze wrażenie. Długa dolina miała przynajmniej coś z groźnej wielkości w swoich potężnych ogniskach i chmurach unoszącego się ku niebu dymu, podczas gdy o sile i przedsiębiorczości człowieka świadczyły monumentalne wzgórza, spiętrzone obok potwornych dolów. Ale miasto utrzymywało się wyłącznie na poziomie

órzydoty i brudu. Szeroka ulica zmienioną została dzięki panującemu na niej ruchowi w pooraną kołami masę pomieszanego z błotem śniegu. Chodniki były wąskie i pełne wyrw. Liczne lampy gazowe uwydatniały tylko niezwykły brud i zaniedbanie długiego szeregu domów drewnianych, z werendami zwróconemi do ulicy. Kiedy znaleźli się w środku miasta, oświetliło scenę kilka jasnych wystaw sklepowych i mnóstwo szynkowni oraz domów gry, gdzie górnicy trwonili swój ciężko zapracowany, ale dobry zarobek.

— Oto Dom Związku! — rzekł przewodnik, wskazując na lokal, który można było podnieść nawet do godności hotelu.—Jan Mc. Ginty jest tu przewodniczącym.

— Co to za człowiek? — zapytał Mc. Murdo.

— Co? Nie słyszeliście nigdy o przewodniczącym?

— Jakżeż o nim mogłem słyszeć, kiedy jestem obcy w tych stronach?

— Sądziłem, że nazwisko jego znanem jest w całym Związku. Wspominały o nim często gazety.

— Z jakiego powodu?

— Z powodu?

— Wielki Boże, jesteś pan naiwnym, jeśli się tak mogę wyrazić. Okolica ta słynną jest tylko z jednego powodu. Dzięki węglarzom.

— Czytałem, zdaje się o węglarzach w Chicago. To banda morderców, nieprawdaż?

— Cicho, jeśli wam życie miłe! — zawołał górnik i przystanął zaniepokojony, spoglądając ze zdumieniem na towarzysza. — Człowieku, nie długo pożyjesz, jeśli tu będziesz odzywał się na ulicach w po-

dobny sposób! Niejednego zatłuczono kijami za mniejsze przewiny.

— Dobrze. Nie wiem nic o nich. To czytałem tylko.

— Nie mówię, abyście czytali kłamstwa — Rozglądał się nerwowo, kiedy mówił, wpatrując się w ciemności, jakby lękał się jakiegoś niebezpieczeństwa. — Jeśli zabijanie jest morderstwem, to tutaj morderstw nie braknie. Ale strzeż się wypowiedzieć nazwisko Jana Mc Ginty w związku z niemi, gdyż każdy szept dochodzi do jego uszu, a on nie zapomina nigdy. Oto dom, którego szukacie — ten nieco w tyle. Stary Jakób Shalter, który jest jego właścicielem, to jeden z najuczciwszych ludzi w mieście.

— Dziękuję — rzekł Mc. Murdo i uściskałszy dłoń swojego nowego znajomego, powlókł się, z walizką w rękę, drogą prowadzącą do gospody, do której drzwi głośno zapukał. Otworzyła mu osoba, której się nie spodziewał.

Była to kobieta młoda i niezwykle piękna, typowa Szwedka, blondynka o ładnych włosach, tworzących dziwny kontrast z parą cudownych, czarnych oczu; spoglądały one na obcego ze zdziwieniem i uroczym zakłopotaniem, które zabarwiło rumieńcem jej blade lica. W jasnym świetle otwartych drzwi wydała się Mc'owi Murdo najpiękniejszym w świecie obrazem jeszcze bardziej pociągającym ze względu na po-nure i ciemne otoczenie. Uroczy fijołek rosnący na zwalach żużli przy kopalni nie przyprawilby go o większe zdziwienie. Był tak onieśmielony, że patrzył na nią bez słowa. Ona pierwsza przerwała milczenie.

— Sądziłem, że to ojciec — rzekła z przyjemnym akcentem szwedzkim. Czy pan chce się z nimi

zobaczyć? Jest w mieście, ale oczekuję go lada minuta.

Mc. Murdo przyglądał się jej wciąż z tak niekłamany zachwytem, że spuściła oczy zakłopotana.

— Nie, miss — rzekł w końcu; nie spieszy mi się zobaczyć go. Ale polecono mi ten dom. Myślałem, że mógłbym tu zamieszkać, i widzę, że będzie mi odpowiadał.

— Pan decyduje się bardzo szybko — rzekła z uśmiechem.

— Musiałbym chyba być ślepym, gdyby mi się tu nie podobało.

Roześmiała się na ten komplement.

— Proszę wejść, sir — rzekła. — Jestem mis Ettie Shafter, córka Mr. Shaftera. Matka moja nie żyje; zarządzam domem sama. Może pan zaczekać przy piecu w frontowym pokoju, dopóki ojciec nie przyjdzie. Ach! otóż on. Może pan zatem przystąpić odrazu do interesu.

Ociężały, starszy mężczyzna szedł wolnym krokiem w stronę domu. W kilku słowach wyjaśnił mu Mc. Murdo o co chodzi. Człowiek nazwiskiem Murphy podał mu jego adres w Chicago. Miał go od jakiejś drugiej osoby. Stary Shafter zdecydował się prędko. Obcy nie targował się i przyjął odrazu wszystkie warunki; widocznie pieniędzy mu nie brakowało. Zgodził się płacić za mieszkanie i utrzymanie tygodniowo i uiszczył je z góry. W taki to sposób, Mc. Murdo, uciekający, jak się sam przyznał przed sprawiedliwością, znalazł schronienie pod dachem Shafterów, stawiając równocześnie pierwszy krok na drodze straszliwych przygód, których zakończenie wypadło w kraju dalekim.



## ROZDZIAŁ IX.

### Mistrz.

Mc. Murdo był człowiekiem, który umiał szybko zwrócić na siebie uwagę. Przekonano się o tem wszędzie, gdzie przebywał. W przeciągu tygodnia stał się najwybitniejszą osobistością u Shafterów. Mieszkało tam dziesięciu lub dwunastu gości, ale byli to uczciwi werkmistrze lub zwyczajni sklepikarze, ludzie odmiennego kalibru, niż młody Irlandczyk. Na wspólnych zebraniach wieczornych dowcipy jego były zawsze najlepsze, rozmowa z nim najbardziej ciekawa, jego śpiew najładniejszy. Był znakomitym towarzyszem zabaw i umiał budzić wesołość. A jednak od czasu do czasu, zdradzał jak w wagonie kolejowym skłonność do nagłego, niepożądanego gniewu, budzącego szacunek, a nawet trwogę w tych, którzy się na gniew ten narazili. Dla prawa i wszystkiego, co z niem było związane, okazywał pogardę, która cieszyła jednych, a niepokoiła drugich z jego współmieszkańców.

Jego nieklamany zachwyt świadczył od pierwszej chwili, że córka pana domu zdobyła odrazu jego serce. Nie krył się ze swoją miłością. Na drugi

dzień wyznał, że ją kocha i odtąd powtarzał jej to stale, nie troszcząc się zupełnie o to, co by mu mogła odpowiedzieć.

Ktoś inny! zawołałby! — Tem gorzej dla niego! Niech się strzeże! Czyż pozwoliłbym sprzątnąć sobie szczęście z przed nosa. Możesz mi mówić „Nie”, Ettie! Przyjdzie dzień, kiedy powiesz „Tak”, a ja mogę czekać.

Był to niebezpieczny wielbiciel z jego eleganckimi, ujmującymi manierami i ostrym, irlandzkim dowcipem.

Miał zresztą coś z człowieka doświadczonego, tajemniczego, co pociąga kobietę i w końcu każe jej kochać.

Opowiadał o słodkich dolinach Monaghanu, skąd pochodził, o uroczej, dalekiej wyspie, o niskich wzgórzach i zielonych łąkach, tem piękniej się przedstawiających, że marzyło się o nich wśród śniegu i brudu. Potem opisywał życie w miastach na Północy, w Detroit i na równinach Michiganu; mówił o Buffalo i w końcu o Chicago, gdzie pracował w tartaku. A potem wspominał o dziwnych zdarzeniach, romantycznych przygodach, które przeżył w tem wielkiem mieście, tak niezwykłych i tajemniczych, że mówić o nich nie należało. Wspominał o nagłym wyjeździe, o zerwaniu dawnych związków i ucieczce w obcy świat, która go sprowadziła do tej smutnej doliny, a Ettie słuchała z oczyma pełnemi współczucia i litości, tych dwóch uczuć, które tak szybko i tak łatwo mogą przekształcić się w miłość.

Mc Murdo znalazł chwilowe zajęcie, jako buchalter, gdyż był człowiekiem wykształconym. Pracując przez cały dzień, nie miał dotąd czasu przed-

stawić się przewodniczącemu Łoży Dawnego Zakonu Wolnomularzy. O obowiązku tym przypomniała mu jednak pewnego wieczoru wizyta Mike Scanlana, jego towarzysza podróży koleją. Scanlan, mały, nerwowy, o wyrazistej twarzy i czarnych oczach mężczyzna, ucieszył się bardzo jego widokiem. Po jednym czy dwóch kieliszkach whisky wyłuszczył cel swoich odwiedzin.

— Pamiętam twój adres, Mc Murdo — rzekł — i dlatego, zaglądnąłem do ciebie. Dziwi mnie to, że nie przedstawiłeś się dotąd mistrzowi. Cóż się stało, że nie widziałeś się jeszcze z przewodniczącym Mc Gintym?

— Znalazłem pracę. Jestem bardzo zajęty.

— Musisz znaleźć czas. Wielki Boże, popełniłeś straszne głupstwo, nie zgłosiwszy się do Domu Związku zaraz pierwszego dnia po przybyciu.

Mc Murdo zdziwił się nieco.

— Byłem członkiem Łoży przez dwa lata, Scanlanie, ale nie przypuszczałem, żeby to była sprawa tak nagła!

— Może w Chicago...!

— Wszak to to samo stowarzyszenie.

— Doprawdy? — Scanlan przyjrzał mu się długo i uważnie. Było coś groźnego w jego oczach.

— Więc nie?

— Powiesz mi o tem za miesiąc. Słyszałem, że miałeś małe starcie z policjantami, kiedy wysiadłeś z pociągu.

— Skąd wiesz o tem?

— Och, słyszałem — złe i dobre nowiny rozchodzą się prędko.

— Tak jest. Powiedziałem tym psom, co o nich myśle.

— Na Boga, sądzę, że przypadniesz do serca Mc Ginty'emu.

— Czyżby nie lubił policjantów?

Scanlan wybuchnął śmiechem.

— Idź i zobacz się z nim, mój chłopcze — rzekł, żegnając się. — W przeciwnym wypadku całą swoją nienawiść do policji przeleje na ciebie. Dlatego usłuchaj rady przyjaciela i idź zaraz.

Zdarzyło się, że tego samego wieczoru Mc Murdo miał jeszcze ważniejszą sprawę, która skłoniła go aby poszedł za radą przyjaciela. Być może, że załoty jego do Ettie stały się jeszcze wyraźniejsze, a może gospodarz dopiero teraz zdał sobie z nich sprawę, dość, że zawezwał młodego mężczyznę do swojego prywatnego mieszkania i przystąpił odrazu do rzeczy.

— Zdaje się, mój panie, — rzekł — że Ettie wpadła panu w oko. Czy to prawda?

— Tak, to prawda — odpowiedział młody człowiek.

— Otóż chciałem panu powiedzieć, że z tego nie będzie. Stara się o nią ktoś inny.

— Mówiła mi to.

— Mówiła panu prawdę. Ale, czy wspominała, kto to taki?

— Nie; pytałem się o to, ale nie chciała mi powiedzieć.

— Nie śmiała powiedzieć. Może nie chciała pana odstraszyć.

— Odstraszyć? — Mc Murdo zaperzył się w jednej chwili.

— Ach, tak, mój przyjacielu! Nie ma się co wstydić, chociażbyś się go bał. To Teddy Baldwin.

— I któż to jest, u diabła?

— Jest przywódcą węglarzy.

— Słyszałem już o nich. Wspomina się o węglarzach to tu, to tam, a zawsze szeptem. Czego się wszyscy tak boicie! Cóż to są... węglarze?

Właściciel gospody zniżył głos instynktownie, jak każdy, kto mówił o strasliwym związku.

— Węglarze — rzekł — to dawny Zakon Wolnomularzy.

Młody człowiek drgnął.

— Jakto, przecież i ja należę do Związku.

— Pan! Gdybym wiedział, nie użyczyłbym panu gościny — nawet za cenę stu dolarów tygodniowo.

— Ale wszak Zakon stworzony został celem wzajemnej pomocy i dla dobra bliźnich. Tak głosi reguła.

— Może gdzie indziej. Nie tutaj!

— A tutaj?

— To związek morderców, nic więcej.

Mc Murdo uśmiechnął się z powątpiewaniem.

— Jakże pan ma dowody? — zapytał.

— Dowody? Czyż pięćdziesiąt morderstw, to mało? Śmierć Milmana i Van Shorsta i rodziny Nicholsonów i starego Mr. Hyama i małego Billy Jamesa i innych. Oto dowody! Wie o tem każdy mężczyzna i każda kobieta w tej dolinie.

— Posłuchaj mnie — pan! — rzekł z powagą Mc Murdo. Albo pan cofnie te słowa, albo się pan wytłumaczy. Zrobi pan to zanim wyjdę z pokoju. Proszę się postawić w mojej sytuacji. Jestem obcym w tem mieście. Należę do stowarzyszenia, o którego niewinności jestem przekonany. Znanem jest ono w całych Stanach, jako stowarzyszenie zupełnie nie-

winne. W chwili, kiedy mam wstąpić do tutejszego związku, mówisz mi pan, że to związek morderców nazwanych „węglarzami“! Musisz się pan usprawiedliwić albo wytłumaczyć, Mr. Shafter.

— Mogę powiedzieć to tylko, co wszyscy wiedza, mister. Przewodniczący jednego związku jest zawsze przewodniczącym drugiego. Jeśli obrazisz jednego, drugi uderza. Przekonaliśmy się o tem często.

— To plotki! Żadam dowodów! — rzekł Mc. Murdo.

— Jeśli pan zostanie tutaj, dowodów znajdzie się dosyć. Ale zapomniałem, że pan należy do nich. Będiesz wkrótce takim, jak inni. Proszę poszukać sobie innego mieszkania, mister. Nie chcę pana mieć w swoim domu. Nie dość, że jeden z tych ludzi zaleca się do mojej Ettie, a ja nie śmiem wyrzucić go za drzwi, teraz jeszcze drugi wprowadza się pod mój dach. Tak jest, nie życzę sobie, abyś pan spał tutaj jutro.

Mc'owi Murdo zagroził wyrok wygnania nie tylko z wygodnego mieszkania ale i od ukochanej dziewczyny. Spotkał się z nią w jadalni tego samego wieczoru i zawiadomił ją o swoich kłopotach.

— Ojciec pani wypowiedział mi mieszkanie — rzekł. — Mniejsza o mój pokój, ale zaiste, Ettie, chociaż znam panią dopiero tydzień, nie mogę żyć bez ciebie.

— Cicho, Mr. Mc. Murdo. Nie mów pan tego! — rzekła dziewczyna. — Czyż nie wspominałam, że już zapóźno? Ktoś inny wchodzi tu w grę i chociaż nie przyrzekłam mu odrazu małżeństwa, nie mogę jednak obiecywać go drugiemu.

— A gdybym był pierwszwy, czy miałbym nadzieję?

Dziewczę ukryło twarz w dłoniach.

— Oh! Gdyby pan był pierwszy! — wyjąkała przez łyzy.

Mc. Murdo padł przed nią na kolana.

— Na miłość Boską, niech tak będzie! — zawołał. — Czy chcesz złamać sobie i mnie życie z takiego powodu? Posłuchaj głosu serca, najdroższa! To najlepszy doradca.

Ujął białe rączki Ettie w swoje silne, brunatne dłonie.

— Powiedz, że będziesz moją, a damy sobie radę.

— Nie tutaj?

— Tak jest, tutaj.

— Nie, nie, Jack! — Utulił ją w swoich ramionach. — Tutaj, to niemożliwe. Czy mógłbyś mnie stąd zabrać?

Na twarzy Mc'a Murdo odmalowała się walka, ale już za chwilę twarz ta była, jakby z granitu wykuta.

— Nie, tutaj — rzekł. — Obronię się przed całym światem, Ettie.

— Dlaczego nie chcesz uciec stąd razem ze mną?

— Nie, Ettie, nie mogę stąd wyjść.

— Ale dlaczego?

— Spaliłbym się ze wstydu, gdybym się dał stąd wypędzić. Zresztą, czego się mam lękać? Czyż nie jesteśmy wolnymi obywatelami w wolnym kraju? Jeśli ty mnie kochasz, a ja ciebie, kto nas może rozłączyć?

— Nie wiesz, Jack. Jesteś tu od niedawna. Nie znasz Baldwina. Nie znasz Mc'a Ginty i jego węgla-  
rzy.

— Nie, nie znam ich, nie lękam się ich i nie wierzę w ich istnienie! — rzekł Mc. Murdo. — Żyłem między grubiańskimi ludźmi, moja najukochańsza, ale zamiast się ich bać, doprowadziłem zawsze do tego, że oni się mnie bali. To szaleństwo, Ettie. Jeśli ci ludzie, jak twierdzi twój ojciec, popełnili szereg zbrodni w tej dolinie i jeśli każdy zna ich z nazwiska, czemuż nikt nie odda ich w ręce sprawiedliwości? Odpowiedz mi, Ettie.

— Ponieważ nikt nie śmie świadczyć przeciw nim. Nie przeżyłby wówczas nawet miesiąca. Mają oni zresztą swoich ludzi, którzy przysięgną zawsze, że oskarżony był zdala od miejsca zbrodni. Musiałeś o tem chyba czytać, Jack! Sądziłam, że o tych wypadkach pisały wszystkie gazety w Stanach.

— Prawda, czytałem coś podobnego, ale uważałem to za kłamstwo. A może ci ludzie mają jakieś powody, aby tak czynić. Może doznali krzywdy i nie umieją sobie inaczej poradzić?

— Oh, Jack, nie mów w ten sposób! Tak mówią i... oni!

— Baldwin. A więc on tak mówi?

— I dlatego czuję do niego wstręt. Oh, Jack, teraz mogę ci powiedzieć prawdę, że nienawidzę go z całego serca; ale lękam się go także. Lękam się go ze względu na siebie, ale przede wszystkim ze względu na ojca. Czuję, że gdybym powiedziała, co o nim myślę naprawdę, spowodowałabym na nas wielkie nieszczęście. Dlatego łudziłam go wpół-obietnicami. Było to naszą jedyną nadzieją. Gdybyś jednak chciał uciec, Jack, zabralibyśmy ojca i żyli razem daleko stąd, gdzie nie sięga władza tych przekłetych ludzi,



Znowu na twarzy Mc'a Murdo odmalowała się walka i znowu twarz ta stała się, jakby z granitu wykuta.

— Żadne nieszczęście nie spotka cię, Ettie — ani twojego ojca. Co do owych przeklętych ludzi, mam wrażenie, że uważać mnie będziesz za najgorszego z nich, zanim się to wszystko skończy.

— Nie, nie, Jack. Ufać ci będę zawsze.

Mc Murdo zaśmiał się gorzko.

— Wielki Boże, znasz mnie przecież tak mało! Twoja niewinna dusza, najdroższa, nie zdaje sobie nawet sprawy, co dzieje się w mojej. Ale co to za gość?

Drzwi otwały się nagle i wszedł młody człowiek z miną, która wskazywała, że czuje się tu, jak u siebie w domu. Był to przystojny, rzutki młodzieniec, prawie tego samego wieku i podstawy, co Mc Murdo. Piękna twarz, o groźnych, bystrych oczach i zakrzywionym orlim nosie, patrzyła dziko z pod szerokiego filcowego kapelusza, którego zdjąć nie raczył, na siedzącą przy kominku parę.

Ettie zerwała się na nogi, zmieszana i zaniepokojona.

— Cieszę się, że pana widzę, Mr. Baldwin — rzekła. — Przychodzi pan wcześniej, niż sądziłam. Proszę spocząć.

Baldwin stał, wskazując ręką na Mc'a Murdo.

— Któż to taki? — zapytał krótko.

— To mój znajomy, Mr. Baldwin — nasz nowy lokator, Mr. Mc. Murdo, pozwoli pan, że mu przedstawię Mr. Baldwina.

Obaj młodzieńcy skłonili się sobie niechętnie.

— Zapewne Miss Ettie wspomniała panu, co mnie z nią łączy? — rzekł Baldwin.

— Nie sędzę, aby pana coś z nią łączyło.

— Doprawdy? Zaraz pan zrozumie. Wiedz pan, że ta młoda kobieta należy do mnie, dlatego radzę abyś skorzystał z pięknego wieczoru i udał się na spacer.

— Dziękuję, nie mam ochoty.

— Nie ma pan ochoty? — Dzikie oczy mężczyzny zabłysły gniewnie. — A może ma pan ochotę się bić, panie lokatorze?

— Owszem — zawołał Mc. Murdo, zrywając się na nogi. — Z prawdziwą przyjemnością.

— Na miłość Boską, Jack! Oh! Na miłość Boską! — zawołała biedna, zrozpaczona Ettie; — Oh! Jack! Jack, on ci robi coś złego!

— Oh, więc to jest już „Jack“? — rzekł Baldwin z przekleństwem. — Jużście się porozumieli?...

— Oh, Ted, zastanów się — nie rób głupstw! Zrób to dla mnie, Tedd, jeśliś mnie kiedy kochał i wybacz mu!

— Sędzę, Ettie, że najlepiej zrobisz, pozostawisz nas samych, — rzekł szybko Mc. Murdo. — A może, Mr. Baldwin, ma pan ochotę wybrać się ze mną za miasto? Wieczór jest piękny, a w pobliżu znajdziemy odpowiednie miejsce.

— Złatwię się z panem, nie brudząc nawet własnych rąk — rzekł jego przeciwnik. Lepiejby było dla ciebie, aby noga twoja nie stanęła w tym domu!

— Mamy czas teraz — zawołał Mc. Murdo.

— Sam czas wybiorę, mister. To moja rzecz. Popatrz tutaj! — Odwinął rękaw i odsłonił na przedramieniu tajemniczy znak, który wyglądał, jakby

wypalony żelazem. Był to trójkąt w kole. — Czy wiesz, co to znaczy?

— Nie wiem i nie dbam o to!

— A zatem się dowiesz. To ci obiecuję. Nie będziesz długo czekał. Może Miss Ettie opowie ci coś o tem. Co do ciebie, Ettie, przyjdiesz do mnie na kolanach. Słyszysz, dziewczyno? Na kolanach. I wtedy powiem ci, jak cię ukarzę. Nawarzyłaś piwa... i na Boga, wypijesz je! — Obrzucił ich wzrokiem pełnym wściekłości. Potem odwrócił się i za chwilę drzwi z trzaskiem zamknęły się za nim.

Mc Murdo i dziewczyna stali czas pewien w milczeniu. Potem objęła go rękoma.

— Oh, Jack, jaki dzielny jesteś! Ale to na nic się nie przyda.., musisz uciekać. Tej nocy—Jack—tej nocy! To jedyny twój ratunek. On cię zabije. Czytałam to w jego straszliwych oczach. Cóż znaczyś ty, wobec ich dwunastu z Mistrzem Mc Gintym i całą Lożą?...

Mc Murdo uwolnił się z jej uścisku, ucałował ją i delikatnie posadził w krzesło.

— Cicho, najdroższa, cicho! Nie lękaj się o mnie. Jestem sam Wolnomularzem. Wspomniałem o tem twojemu ojcu. Może nie jestem lepszy, niż inni, dlatego nie rób ze mnie świętego. A może mnie już nienawidzisz, skoro powiedziałem ci tyle.

— Nienawidzić cię, Jack! Nigdy w życiu. Słyszałam, że to tylko tutaj jest zbrodnią być Wolnomularzem, dlaczegożbym zatem miała o tobie źle sądzić? Jeśli jednak jesteś Wolnomularzem, Jack, dlaczego nie pójdziesz i nie zaprzyjaźnisz się z Mistrzem Mc. Gintym? Och, śpiesz się, Jack, śpiesz się! Musisz się z nim rozmówić, inaczej te psy rzucą się na ciebie.

— I ja tak myślę — rzekł Mc Murdo. — Pójdę tam teraz i załatwię całą sprawę. Powiedz twojemu ojcu, że będę tu dzisiaj spał i że rano poszukam sobie innego mieszkania.

Knajpa Mc'a Ginty była przepelniona, jak zwykle, gdyż zbierały się tu najgorsze szumowiny miasta. Właściciel był człowiekiem popularnym ze względu na swoją prostotę i jowialność, która stanowiła maskę, skrywającą wiele rzeczy. Pominawszy jednak jego popularność, lęk, jaki budził w mieście i w całej, trzydzieści mil długiej, dolinie i za górami wystarczał, żeby zapełnić szynkownię, gdyż nikt nie ośmielił się lekceważyć jego gościny.

Poza tą ukrytą władzą, której, jak ogólnie wierzono, używał w bezwzględny sposób, był wysokim urzędnikiem, radcą miejskim i pełnomocnikiem w sprawach komunikacji, wybranym głosem bandytów, którym odwdzięczał się z kolei w rozmaity sposób. Podatki i opłaty były olbrzymie, o sprawy publiczne nikt nie dbał, dochody sprzeniewierzańi przekupieni urzędnicy, a uczciwy obywatel musiał opłacać złodziei publicznego dobra i trzymać język za zębami z obawy, by go nie spotkało coś gorszego. I tak z roku na rok, brylantowe spinki przewodniczącego Mc'a Ginty rzucały się bardziej w oczy, jego złoty łańcuch stawał się coraz cięższym na coraz bardziej przestronnej kamizelce, a jego knajpa rozwijała się coraz to więcej, aż w końcu zajmowała całą prawie ulicę Targową.

Mc Murdo pchnął drzwi knajpy i torował sobie drogę wśród ciżby, w atmosferze pełnej dymu tytoniowego i przesyconej zapachem alkoholu. Lokal był jasno oświetlony i wielkie, ciężkie, polacane lustra na wszystkich ścianach odbijały i uwydatniały

wspaniałość iluminacji. Szereg kelnerów z zawiniętymi rękawami koszul krzątał się, przyrządzając napoje dla gości, którzy tłoczyli się do szerokiej, okutej grubą blachą lady. Na końcu jej, wsparty o nią całym ciałem, z cygarem w kącie ust, stał rosy, silny, dobrze zbudowany mężczyzna, który mógł być tylko sławnym Mc'iem Gintym. Był to czarno-grzywy olbrzym, z brodą zachodzącą aż za policzki i kruczą czupryną, która spadała mu na kołnierz. Cere miał smagłą, jak Włoch, a oczy jego miały dziwny, martwy, czarny kolor, co w związku z lekkim zezem nadawało im wyraz złowrogi. Zresztą wszystko w tym człowieku, jego szlachetna postać, ładne rysy twarzy i otwartość zgadzały się z jowialnymi manierami, które przybrał. Oto — powiedziałby ktoś — człowiek prosty, uczciwy, który ma prawe serce, chociaż czasem wymknąć mu się mogą szorstkie słowa. Jedynie wówczas, kiedy martwe, czarne oczy, głębokie i bezlitosne, spoczęły na rozmawiającym z nim, ten pojmował, że stoi twarzą w twarz z jednostką zdolną do każdego przestępstwa, obdarzoną siłą, odwagą i zręcznością, która czyniła ją jeszcze groźniejszą.

Przypatrzwszy się dobrze swojemu człowiekowi Mc Murdo utorował sobie do niego drogę łokciami z wrodzoną mu bezwzględną śmiałością i przecisnął się przez otaczającą go grupę dworaków, którzy mówili komplementy potężnemu przewodniczącym najdrobniejszych żartów. Bystre, szare oczy młodemu Związkowi, i śmieli się na całe gardło z jego go cudzoziemca, spojrzwały bez obawy przez szkła na martwą i czarne, które zwróciły się groźnie ku

— Nie przypominam sobie ciebie, młodzieńcze.

← Jestem tu obcym, Mr. Mac Ginty.

— Ale powinieneś wiedzieć przynajmniej, jaki noszę tytuł.

— To radca Mc Ginty, młody człowieku — przemówił głos z tłumu.

— Przykro mi bardzo, panie radco. Nie znam tutejszych stosunków. Ale polecono mi widzieć się z panem.

— Widziałeś mnie już. I cóż o mnie myślisz?

— Nie mogę jeszcze nic powiedzieć. Jeśli serce pańskie nie ustępuje pańskiemu ciału, a dusza jest również piękna, jak rysy twarzy, nie potrzeba mi niczego więcej — rzekł Mc Murdo.

— Masz irlandzki dowcip, bądź co bądź, — zawołał właściciel szynkowni, nie wiedząc, czy żartować z tak śmiałym gościem, czy też strzedz swojej godności. — A zatem wygląd mój podoba ci się?

— Naturalnie — rzekł Mc. Murdo.

— I polecono ci zobaczyć się ze mną?

— Tak jest.

— A kto?

— Brat Scanlan w Łoży 341 Wernissa. Piję za pańskie zdrowie, panie radco i na naszą bliższą znajomość! — Podniósł do ust szklanke, którą mu podano i dał znak małym palcem, kiedy ją wychylał.

Mc. Ginty, który przyglądał mu się bacznie, ściągnął swoje gęste, czarne brwi.

— Oh, czy być może? — rzekł. — Musimy pomówić jeszcze o tem, mister...

— Mc. Murdo.

— Proszę bliżej, Mr. Mc Murdo, gdyż w tych okolicach nie można każdemu ufać, ani wierzyć w to, co mówi. Pójdź tu na chwilę za ladę!

Był tam mały pokoiik, zastawiony beczkami. Mc. Ginty zamknął ostrożnie drzwi, poczem usiadł na jednej z nich, gryząc cygaro i przyglądając się towarzyszowi swojemu niepokojącemu oczyma. Przez kilka minut siedział w zupełnym milczeniu.

Mc. Murdo zniósł te oględziny z humorem, trzymając jedną rękę w kieszeni, drugą podkręcając brunatnego wąsa. Nagle Mc. Ginty przerwał milczenie i dobył rewolweru.

— Przypatrz się tu, żartownisiu — rzekł. — Gdybym się przekonał, że bierzesz mnie na kawał, nie będę robił z tobą ceremonji.

— To dziwne przywitanie — odpowiedział Mc. Murdo z godnością — jak na Mistrza Wolnomularzy w stosunku do nieznanego brata.

— Trudno, musisz się z tem pogodzić — rzekł Mc. Ginty — i biada ci, jeśli mnie oszukujesz. Gdzie cię wtajemniczano?

— W Łoży 29, Chicago.

— Kiedy?

— 24-go lipca, 1872 r.

— Kto mistrzem?

— James H. Scott.

— Kto jest kierownikiem okręgu?

— Bartholome Wilson.

— Hm! To się zgadza. Co tu robisz?

— Pracuję, jak i pan, ale na mniejszą skalę.

— Nie ociągasz się z odpowiedziami.

— Tak, byłem zawsze bardzo wymowny.

— A do czynów jesteś również skory?

— Cieszyłem się pewną sławą w gronie znajomych.

— Dobrze, przekonamy się o tem wcześniej, niż przypuszczasz. Czy słyszałeś coś o Łoży w tych stronach?

— Słyszałem, że bratem może być tylko prawdziwy mężczyzna.

— To prawda, Mr. Mc. Murdo. Dlaczego opuściłeś Chicago?

— Niech mnie powiesz, jeśli powiem.

Mc. Ginty otworzył oczy. Nie był przyzwyczajony, aby odpowiadano mu w podobny sposób i to go bawiło.

— Dlaczego mi nie chcesz powiedzieć?

— Ponieważ nie życzę sobie kłamać wobec brata.

— A zatem prawda jest tak zła?

— Może pan myśleć, co się panu podoba.

— Chyba nie wyobrażacie sobie, mister, że przyjmę do Łoży, której mistrzem jestem, człowieka, którego przeszłości nie znam?

Mc. Murdo zmieszał się. Potem wydobył pomiętą wycinek gazety z kieszeni spodniej.

— Nie wyda pan towarzysza? — zapytał.

— Dostaniesz w gębę, jeśli odezwiesz się do mnie jeszcze raz w podobny sposób, — zawołał Mc. Ginty z gniewem.

— Ma pan słuszność, panie radco, — rzekł Mc. Murdo tonem łagodnym. — Proszę o przebaczenie. Nie zastanowiłem się nad moimi słowami. Wiem, że mogę panu zaufać. Spójrz pan na ten wycinek.

Mc. Ginty przebiegł wzrokiem wzmiankę w New York Week z 1874 r. o zastrzeleniu niejakiego



Jonasa Pinto, w szynkowni na Market Street w Chicago.

— Tyś to zrobił? — zapytał, oddając mu odciniek.

Mc. Murdo skinął potakująco.

— Dlaczego zastrześliś go?

— Pomagałem Wujowi Samowi robić dolary. Być może, że moje nie były tak dobre, jak jego, ale wyglądały równie dobrze i były tańsze. Ów człowiek, Pinto, pomagał mi puścić je w obieg... Potem groził, że mnie wyda. Może mnie wydał. Nie czekałem na to. Zabiłem go i dałem nura do okręgu węglowego...

— Dlaczego do okręgu węglowego?

— Ponieważ wyczytałem w gazetach, że tu nie zwracają uwagi na podobne drobiazgi.

Mc Ginty roześmiał się.

— Byłeś pierwiej fałszerzem monet, potem mordercą i przybyłeś w te strony w nadziei, że powitają cię tu z otwartymi rękoma?

— Otóż to — odpowiedział Mc Murdo.

— Mam wrażenie, że zajdziesz daleko. Powiedz, czy umiesz jeszcze robić dolary?

Mc Murdo wyjął z pół tuzina z kieszeni. — Te nigdy nie widziały mennicy w Waszyngtonie — rzekł.

— Nie może być! — Mc Ginty trzymał je do światła na swej ogromnej, obrosniętej włosami, jak u goryla, łapie. — Nie widzę różnicy. No, będziesz, jak sądzę, bardzo użytecznym bratem. W czasach obecnych musimy dbać przedewszystkiem o siebie. Nie możemy się oglądać na tych, którzy nas pragną przyprzeć do ściany.

— Sądzę, że i ja nie zawiodę nadziei; starać się będę o to razem z innymi.

— Masz, zdaje się, dobre nerwy. Nie przeląkłeś się mojego pistoletu.

— Nie ja byłem w niebezpieczeństwie.

— Któż zatem?

— Pan, panie radco. — Mc Murdo wyciągnął pistolet z odwiedzionym kurkiem z bocznej kieszeni kurtki. — Mierzyłem do pana przez cały czas. Sądzę, że strzał mój padłby równocześnie z pańskim.

Mc Ginty zaczerwienił się z gniewu, a potem wybuchnął śmiechem.

— No! — rzekł. — Sądzę, że Łoza będzie z ciebie dumną... Czego chcesz, u diabła! Czyż nie inogę mówić z nikim sam na sam nawet przez pięć minut, aby mi ktoś nie przerwał?

Kelner stał skonfundowany.

— Przykro mi, panie radco, ale to Mr. Ted Baldwin. Mówi, że chce się z panem widzieć w tej chwili.

Wiadomość ta była niepotrzebna, gdyż przez ramię służącego wyglądała wzburzona, okrutna twarz samego Baldwina. Odsunął kelnera na bok i zamknął za nim drzwi.

— A więc — rzekł, obrzucając M'ca Murdo spojrzeniem pełnym wściekłości — jesteś tu pierwszy i chcę panu coś powiedzieć, panie radco, o tym człowieku.

— Mów pan zatem przy mnie, — zawołał Mc Murdo.

— Powiem kiedy mi się będzie podobało i gdzie zechcę.

— Cicho, cicho! — rzekł Mc. Ginty, wstając z beczki. To niepotrzebne. Mamy nowego brata. Baldwin i nie możemy witać go w taki sposób. Daj mu rękę, człowieku!

— Nigdy! — zawołał Baldwin rozwścieczony.

— Mogę się z nim spróbować, o ile sądzi, że zrobiłem mu krzywdę, — rzekł Mc Murdo. — Mogę spróbować się z nim na pięści lub jeśli zechce, w każdy inny sposób. Pozostawiam jednak nas do rozstrzygnięcia panu, panie radco, jako mistrzowi.

— O cóż chodzi?

— O młodą kobietę. Jest ona wolna i może wybierać.

— Doprawdy? — zawołał Baldwin.

— Ma w każdym razie prawo wybierać między dwoma braćmi z Łoży rzekł przewodniczący.

— Oh, takie jest pańskie zdanie?

— Tak jest, Tedzie Baldwin — rzekł Mc Ginty z groźnym wejrzeniem. — Czyżbyś chciał je krytykować?

— Pan chce odepchnąć mnie, który stałem przy nim przez te pięć lat na korzyść człowieka, którego nigdy przedtem nie widziałeś? Nie jest pan dożywotnym Mistrzem Jacku Mc Ginty i na Boga, przy następnych wyborach!...

Radca skoczył ku niemu, jak tygrys. Chwycił go jedną ręką za gardło i rzucił na beczkę. W wściekłym gniewie udusiłby go rzeczywiście, gdyby nie interwencja Mc'a Murdo.

— Zwolna, panie radco! Zwolna, na miłość Boską! — zawołał, pociągając go wstecz.

Mc Ginty wypuścił z rąk Baldwina, a ten, wzburzony i wystraszony, chwytając w płuca powietrze i drżąc na całym ciele, jak człowiek, który zagładnął śmierci w oczu, usiadł na beczce.

— Wyrzuciłeś mi to już nieraz, Tedzie Baldwin. Podziękowałem ci teraz — zawołał Mc Ginty, dysząc ciężko. — Może się łudzisz, że kiedy mnie

złożą z urzędu, ty sam obrany zostaniesz Mistrzem. To Loża rozstrzygnie. Ale jak długo jestem jeszcze przewodniczącym, nie zniosę, aby ktoś występował przeciw mnie i moim rozporządzeniom.

— Nie mam nic przeciw panu — wyjąkał Baldwin, dotykając swojej szyi.

— A więc wszystko w porządku — zawołał drugi, dawnym jowialnym tonem. — Jesteśmy wszyscy dobrymi przyjaciółmi i na tem koniec.

Zdjął z półki butelkę szampana i odkorkował. — Spełnimy — ciągnął dalej, napełniwszy trzy szklanki — przepisany przez Lożę toast zgody. Po tym toaście, jak wiecie, winny zniknąć wszelkie wzajemne urazy. Dalej, Tedzie Baldwin, połącz rękę lewą na mojej szyi i mów, o co ci chodzi!

— Chmury są ciężkie — odpowiedział Baldwin.

— Ale nastanie stała pogoda.

— I to przysięgam.

Obaj mężczyźni wypili wino, poczem powtórzono ceremonję między Mc'em Murdo i Baldwinem.

— Koniec niesnasek, — zawołał Mc Ginty, zacierając ręce. — Inaczej podpadniecie pod rękę Loży, a ta ma ciężką łapę w tych stronach, jak o tem wie dobrze Brat Baldwin i o czem ty, Bracie Mc Murdo, przekonasz się prędko, gdybyś się jej naraził.

— Nie mam najmniejszej ochoty, — rzekł Mc Murdo. Wyciągnął rękę do Baldwina. — Jestem skory do kłótni, ale i do zgody. To wina mojej irlandzkiej krwi, jak mówią. Ale to już minęło i nie żywie żadnych uraz.

Baldwin musiał uściskać wyciągniętą dłoń, gdyż czuł na sobie groźny wzrok Mistrza. Ale ponura twarz jego świadczyła, że słowa przeciwnika nie odniosły skutku.

Mc Ginty poklepał ich po plecach.

— Oh! Te dziewczęta, te dziewczęta! — zawołał. — I pomyśleć, że dwóch moich chłopców musiało się zakochać w tej samej spódniczce. To djabelskie szczęście. Musicie się z sobą pogodzić, gdyż sprawa ta nie podpada pod sąd mistrza dzięki Bogu. Mamy i tak dosyć kłopotów, bez kobiet. Będziesz wprowadzony do Łoży 341, Bracie Mc Murdo. Mamy swoje drogi i metody, różniące się od chicagowskich. W nocy, w sobotę mamy zebranie na którym wyzwolimy cię powieczne czasy w Dolinie Vernissy.

## ROZDZIAŁ X.

### Łoża 341, Vernissa.

Nazajutrz po wieczorze, obfitującym w tak wiele ważnych wypadków, przeniósł się Mc Murdo o starego Jakóba Sheptera do wdowy Mac Namara, na sam koniec miasta. Scanlan, jego dawny znajomy z kolei, przybył później również do Vernissy i obaj zamieszkali razem. Nie było tam żadnego innego lokatora, a gospodyni, dobroduszna, stara Irlandka, nie wtrącała się do ich spraw tak, że mogli mówić i czynić, co się im podobało — rzecz bardzo dogodna dla ludzi, którzy mieli wspólne tajemnice. Shafer pozwolił Mc'owi Murdo stołować się u niego dalej tak, że stosunki z Ettie nie zostały zerwane. Przeciwnie, stały się z upływem tygodni bardziej zażyłe i przyjazne. W nowym swoim mieszkaniu mógł Mc Murdo zupełnie bezpiecznie ustawić formy do odlewania fałszywych monet, pozwolił w tajemnicy pewnej liczbie braci oglądać je i zabrać każdemu po kilka sztuk tak zręcznie zrobionych, że puszczanie ich w obieg nie przedstawiało najmniejszej trudności i niebezpieczeństwa. Dlaczego, będąc posiadaczem tak cudownej tajemnicy, Mc Murdo wo-

góle godził się pracować, było to dla jego towarzyszy zagadką, ale tłumaczył każdemu, kto go o to zapytał, że gdyby żył, nie mając żadnych widocznych dochodów, policja prędko wpadłaby na jego ślad.

Jeden z policjantów śledził go już nawet, ale wypadek ten, na szczęście, sprawił awanturnikowi więcej dobrego niż złego. Po pierwszym przedstawieniu minęło zaledwie kilka wieczorów, w których nie znalazł sposobności zagładnięcia do szynkowni Mc'a Ginty, aby się tam poznać bliżej z „chłopcami”, jak brzmiał jowialny tutuś, który nadawała sobie niebezpieczna paczka, zbierająca się w tym lokalu. Jego rzutkość i śmiała mowa uczyniły go ulubieńcem wszystkich, a umiejętny i szybki sposób załatwiania się z przeciwnikami w barze zyskały mu szacunek nieokrzesanej kompanji. Ale pewien wypadek przy-  
sporzył mu jeszcze więcej przyjaciół.

Pewnej nocy, właśnie w chwili, kiedy knajpa była przepelniona, drzwi otworzyły się i wszedł mężczyzna w niebieskim, schludnym mundurze i szpiczastym chełmie Węglowej i Żelaznej Policji. Był to specjalny oddział, utworzony przez właścicieli kolei i kopalń węgla do pomocy zwyczajnej policji, która czuła się zupełnie bezsilną wobec zorganizowanego bandytyzmu, będącego postrachem całej okolicy. Kiedy wszedł nastąpiła cisza i szereg ciekawych spojrzeń zwróciło się ku niemu, że jednak stosunki między policjantami i przestępcami mają w Stanach szczególny charakter, Mc Ginty, stojący poza ladą, nie okazał żadnego zdziwienia na widok inspektora w liczbie jego gości.

— Mocnej whisky, gdyż noc jest mroźna! — rzekł urzędnik policji. — Nie sądzę, abyśmV się już kiedys spotkali, panie radco?

ŚWIETLIC A139  
Huty „BOBREK”

— Pan jest nowym kapitanem? — zapytał Mc. Ginty.

— Właśnie. Mam nadzieję, że pan i inni wpływowi obywatele pomogą nam w utrzymaniu prawa i porządku w mieście. Nazywam się kapitan Marwin — z węglowej i żelaznej policji.

— Dalibyśmy sobie radę i bez was, kapitanie Marwin — rzekł zimno Mc Ginty. — Mamy swoją własną policję miejską i przybyszów nam nie potrzeba. Jesteście przecież tylko płatnem narzędziem w rękach kapitalistów, wynajętem, aby gnębić i strzelać uboższych współobywateli.

— Dobrze, dobrze, nad tem nie będziemy dyktować — rzekł wesoło urzędnik policji. — Mam wrażenie, że wszyscy spełniamy swój obowiązek, chociaż na obowiązek zapatrujemy się niejednakowo. — Wychylił szklanę i chciał odejść, kiedy oczy jego padły na twarz Mc'a Murdo, który stał zmarszczony tuż przy nim. — Hallo! hallo! — zawołał, oglądając go od stóp aż do głowy. — To dawny znajomy.

Mc Murdo cofnął się wstecz.

— Nigdy nie byłem pańskim przyjacielem, ani przyjacielem panu podobnych — odparł.

— Znajomy nie zawsze jest przyjacielem — rzekł, uśmiechając się kapitan — Pan jesteś Jack Mc Murdo z Chicago i temu pan nie zaprzeczysz.

Mc Murdo wzruszył ramionami.

— Nie przeczę — rzekł. — Nie mam się czego wstydzić mojego nazwiska.

— Owszem, byłyby pewne powody.

— Co pan przez to rozumiesz? — ryknął, zaciśkając pięści.



— Nie, nie, Jack; mnie nie oszukasz. Byłem urzędnikiem w Chicago, zanim przybyłem do tego zakazanego węglowego magazynu i znam ludzi z Chicago.

Mc Murdo zmieszał się.

— Byłżebyś pan Marwinem z Głównego Urzędu w Chicago? — zawołał.

— Ten sam Teddy Marwin do usług. Nie zapomnieliśmy tam jeszcze o zastrzeleniu Jonasza Pinto.

— Nie zastrzeliłem go.

— Doprawdy? To bezinteresowne wyznanie, nieprawdaż? Śmierć jego przyszła w sam czas dla ciebie, inaczej miałbyś się zpyszna. Ale, mówiąc między nami, możemy o tem zapomnieć — właściwie nie powinienem o tem wspominać — gdyż nie znaleziono przeciw panu dowodów i Chicago stoi przed panem otwarte, chociażby jutro.

— Jest mi tu zupełnie dobrze.

— Za wiadomość tę powinienes mi pan być wdzięczny.

— Ufam, że mi pan dobrze życzy i dziękuję panu, — rzekł niezbyt grzecznym tonem Mc. Murdo.

— Będę milczał, o ile się przekonam, że prowadzi się pan porządnie — rzekł kapitan. — Ale jeśli narazi się pan władzom, nie obiecuję Dobranoc panu i — dobranoc panu, panie radco.

Opuścił knajpę, ale stworzył lokalnego bohatera. O czynach M'ca Murdo w Chicago mówiono przedtem szeptem. Wszystkie pytania zbywał uśmiechem, jak człowiek, któremu skromność nie pozwala opowiadać o własnych, wielkich czynach. Teraz jednak pogłoski zostały potwierdzone. Goście w szynkowni otoczyli go dokoła i ściskali serdecznie

jego dłoń. Od tej chwili był już czemś wyższem, niż szary tłum. Pił dobrze i nie okazywał tego po sobie, ale tego wieczoru, gdyby nie współtowarzysz Scanlan, który go zaprowadził do domu, ugoszczony bohater spędziłby noc pod stołem w szynkowni.

W sobotę w nocy Mc Murdo został wprowadzony do Łoży. Sądził, że przyjętym zostanie bez ceremonji, jako wtajemniczony już w Chicago. Ale w Vernisse panowały szczególne zwyczaje, z których była dumna, a dotyczyły one każdego wstępującego. Zebranie miało miejsce w wielkim pokoju, przeznaczonym do tego celu w Domu Związkowym, Sześćdziesięciu członków zebrało się w Vernisse, ale nie byli to wszyscy, gdyż w dolinie znajdowało się kilka łóż, również jak po obu stronach gór, które wybierały członków w razie potrzeby tak, że zbrodni dokonywali ludzie na miejscu nieznanymi. Ogółem było ich nie mniej, jak pięciuset, rozproszonych w całym okręgu węglowym.

W sali posiedzeń mężczyźni zgromadzili się wokół długiego stołu. Obok stał drugi z szklankami i butelkami, ku któremu zwróciły się już oczy pewnych członków kompanji.

Mc. Ginty siedział na pierwszym miejscu w płaskiej czapeczce z czarnego jedwabiu na kędzierzawej, nieuczesananej, czarnej czuprynie i purpurowej stule na szyi, podobny do kapłana, dokonywującego jakiegoś djabelskiego obrządku. Po lewej i prawej ręce miał wysokich dostojników Łoży; wśród nich widać było okrutną, ładną twarz Teda Baldwina. Każdy z nich nosił szarfę lub medaljon, jako oznakę swojego urzędu. Byli to po większej części ludzie dojrzałego wieku, ale reszta towarzystwa składała się z młodzieńców w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat, chętnych

i pojętnych wykonawców rozkazów swoich przełożonych. Między starszymi było wielu, których rysy twarzy zdradzały krwiożercze, zdeprawowane dusze, ale na ogół patrząc na nich trudno było uwierzyć, że ci rzutcy i serdeczni młodzieńcy stanowili właściwie niebezpieczną bandę morderców, których zmysły uległy tak kompletnemu moralnemu zwyrodnieniu, że z dumą wspominali o swoich czynach i spoglądali z najgłębszą pogardą na człowieka, mającego, jak się to mówi, „ręce czyste”. Ich spaczonym naturom wydawało się rzeczą wzniosłą i rycerską dybać na zgubę człowieka, który im nie zrobił żadnej krzywdy i którego niejednokrotnie nigdy w życiu nie widzieli. Po dokonaniu zbrodni kłócili się o to, kto zadał śmiertelny cios i zabawiali się wzajemnie, równie jak i towarzyszów, opisywaniem krzyków i konwulsyjnych ruchów zamordowanego. Z początku kryli się z swoimi uczynkami, ale w czasie, w którym rozgrywa się to opowiadanie, działali otwarcie, gdyż częste porażki prawa udowodniły, że z jednej strony nikt nie ośmielił się ich oskarżyć, z drugiej zaś, że rozporządzały całym szeregiem pewnych świadków, na których się mogą powołać i pełną skrzynią skarbową, skąd czerpać mogły środki do pozyskania dla swej sprawy najbiedniejszych prawników w całych Stanach. W przeciągu dziesięciu lat gwałtów nie było ani jednego wyroku skazującego i jedynym niebezpieczeństwem dla „węglarzy” była sama ofiara, która chociaż zaskoczona znienacka i przez przeważającą liczbę mogła i czasem dała się we znaki napastnikom.

Mc Murdo wiedział, że czeka go jakaś próba, ale nikt mu nie chciał powiedzieć, na czym polega. Dwóch milczących braci zaprowadziło go do bocznego pokoju. Przez cienką ściankę mógł słyszeć szmer

wlelu głosów, dochodzących z pokoju zebrań. Raz czy dwa razy usłyszał swoje nazwisko i domyślił się, że mówią o jego kandydaturze. Potem zjawił się strażnik z zieloną i złotą szarfą na piersiach. Wprowadzono go do sali zgromadzeń.

Było mu pod kapturem ciemno i duszno. Słyszał szepty i poruszenia otaczających go ludzi, a potem przeniknął do jego uszu z oddali i jakby przytłumiony, głos M'ca Ginty.

— Janie Mc Murdo — rzekł głos — czy jesteś już członkiem Starożytnego Zakonu Wolnomularzy?

Skłonił się na znak potwierdzenia.

— Czy Loża twoja jest Nr. 29, Chicago?

Skłonił się znowu.

— Ciemne noce nie są przyjemne — rzekł głos.

— Zwłaszcza do podróży — odpowiedział.

— Chmury są ciężkie.

— Tak jest; burza się zbliża.

— Czy bracia są zadowoleni? — zapytał mistrz.

Rozległ się głośny szmer potwierdzenia.

— Poznaliśmy, bracie, z odpowiedzi twoich, że należysz rzeczywiście do naszego grona, — rzekł Mc. Ginty. — Wiedz jednak, że w tych okolicach mamy pewne ceremonie i pewne próby własne, którym sprostać może tylko człowiek dzielny. Czy zgadzasz się na nie?

— Tak jest.

— Nie boisz się?

— Nie.

— Wystąp naprzód i udowodnij to!

W tej chwili uczył na oczach dwa ostrza, które cisnęły tak silnie, że wystąpienie naprzód groziło utratą wzroku. Nie przeszkodziło mu to jednak zrobić odważnie krok przed siebie i w tej chwili uczył, że ci-

snące oczy jego ostrza cofnęły się. Rozległ się cichy szmer podziwu.

— Nie brak mu odwagi — rzekł głos. — Czy jesteś wytrzymały na ból?

— Tak, jak i każdy inny.

— Poddajcie go próbie!

Z wielkim trudem powstrzymał się od krzyku, gdy w przedramieniu uczuł straszliwy ból. O mało nie zemdlął, ale zagryzł wargi i zacisnął ręce, aby się nie zdradzić, jak cierpi.

— To głupstwo — rzekł.

Tym razem zadowolenie było wielkie. Nikt lepiej nie mógłby się Łoży przedstawić. Klepano go po plecach, zdjęto mu kapelusz z głowy. Stał mrugając oczyma i przyjmując z uśmiechem życzenia braci.

— Jeszcze jedno słowo, Bracie Mc Murdo — rzekł Mc Ginty. — Złożyłeś już przysięgę wierności i milczenia i wiesz, że karą za jej złamanie jest szybka i nieuchronna śmierć?

— Wiem o tem — rzekł Mc Murdo.

— I poddajesz się wszelkim rozkazom mistrza?

— Tak jest.

— A więc w imieniu Łoży 341, w Vernisse, dopuszczam cię do jej obrad i przywilejów. Postaw butelki na stole, Bracie Scanlan, gdyż napijemy się za zdrowie naszego godnego brata.

Przyniesiono surdut Mca Murdo, ale zanim go włożył oglądnał swoje prawe ramię, które bolało go jeszcze bardzo. Na przedramieniu widać było wyraźne koło z wpisaniem w nie trójkątem, głębokie i czerwone, wypalone przez piętnujące żelazo. Jeden czy dwóch sąsiadów odwinęło swoje rękawy i pokazało również znaki Łoży.

— Mamy ten znak wszyscy — rzekł jeden — ale nie każdy zdobył go w tak dzielny sposób.

— Mniejsza z tem. To drobnostka — rzekł. Ale bolało go i piekło dotkliwie.

Kiedy zostawione po ceremonji napoje zostały rozdzielone, przystąpiono do spraw Łoży. Mc. Murdo przyzwyczajony jedynie do jałowych prac w Chicago, przysłuchiwał się z otwartemi uszami i bardziej zdziwiony, niżby się zdawało, temu co nastąpiło.

— Przedewszystkiem — rzekł Mc. Ginty — musimy odczytać list z Oddziału Mister Windle z Me-ton County, Łoża 249. Brzmi on:

„Drogi Panie! Chcemy zrobić pewien kawał Andrzejowi Rac z firmy Rac i Sturmash, właścicieli pobliskich kopalń węgla. Przypominacie sobie zapewne, że Łoża Wasza winna nam rewanż za usługi dwóch braci w sprawie ostatnio zabitego strażnika. Jeśli przyślecie dwóch ludzi odpowiednich niechaj zgłoszą się do skarbnika Higgensa z naszej Łoży, którego adres znacie. On powie, co i gdzie robić. Wasz zawsze wolny”

J. W. Windle.

— Windle nie odmówił nam nigdy jeszcze, kiedy chodziło o wypożyczenie jednego lub dwóch ludzi, dlatego i my nie możemy mu odmówić. — Mc. Ginty przerwał i rozglądał się po pokoju swojemi ponuremi, złemi oczyma. — Kto na ochotnika?

Kilku młodzieńców podniosło ręce do góry. Mistrz spojrział na nich z zadowoleniem.

— Ty pójdziesz Tygrysie Cormac. Jeśli sprawisz się tak dobrze, jak ostatnim razem, nie zostaniesz pominięty. I ty, Wilson.

— Nieznam pistoletu — rzekł ochotnik, jeszcze bardzo młody chłopak.

— To pierwsza twoja próba, nieprawdaż? Będzie to dla ciebie ładny początek. Co do pistoletu, będzie na ciebie czekał, o ile się nie mylę. Jeśli zgłosicie się w poniedziałek, znajdzie się jeszcze dosyć czasu. Po powrocie przywitamy was serdecznie.

— Czy dostaniemy jakąś nagrodę? — zapytał Cormac, którego dzikość pozyskała mu przydomek „tygrysa”.

— Nie myślcie o nagrodzie. Rozchodzi się o zaszczyt. Być może jednak, że po wykonaniu roboty znajdzie się na dnie skrzyni parę dolarów.

— A co zrobił ten człowiek? — zapytał młody Wilson.

— Nie twoja rzecz pytać o to co zrobił. Już go tam osądzili. Nie nasza sprawa. Do nas należy wykonać zlecenie, jakby to i oni zrobili na naszą prośbę. Wspomnę tu mimochodem, że dwóch braci z Łoży Herston przybywa do nas na przyszły tydzień na robotę.

— Któż to taki? — zapytał jakiś głos.

— Lepiej nie pytać. Jeśli nie wiesz, nic nie będziesz mógł mówić przed sądem i nie wpłatasz się w żadną sprawę. Ale czeka ich ładna praca.

— Czas najwyższy! — zawołał Ted Baldwin. Ludzie rozzuchwalili się w tych stronach. Jeszcze w ostatnim tygodniu trzech z naszych ludzi zostało wyrzuconych przez werkmistrza Blakera. Należy się mu od dłuższego czasu i dostanie na co zasłużył.

— Co dostanie? — zapytał Mc. Murdo sąsiada.

— Kulą w łeb — zawołał tenże, wybuchając śmiechem. — Co sądzisz o tem bracie?

Zbrodnicza dusza Mc'a Murdo uległa już, jak się zdaje, złym wpływom towarzystwa, którego członkiem został.

— To mi się podoba — rzekł. — Jedyne racjonalne metody.

Kilka siedzących koło niego osób słyszało te słowa i przyjęło je oklaskami.

— Co tam takiego? — zawołał czarnogrzywy mistrz z końca stołu.

— To nasz nowy brat, któremu nasze sposoby przypadają do gustu.

Mc. Murdo powstał na chwilę.

— Chciałem powiedzieć, czcigodny mistrzu, że gdyby potrzebowano człowieka uważałbym sobie za zaszczyt ofiarować swoje usługi Łoży.

Znowu rozległy się oklaski. Zrozumiano, że na horyzoncie pojawia się nowe słońce. Kilku starszym ten postępek wydawał się nieco za prędki.

— Chciałbym podkreślić — rzekł sekretarz Harvaway, starzec z siwą brodą i twarzą sępa siedzący obok przewodniczącego — że brat Mc Murdo winien czekać, aż Łoża uzna za stosowne posłużyć się nim.

— To miałem właśnie na myśli. Należę do was — rzekł Mc. Murdo.

— Przyjdzie czas i na ciebie, bracie — rzekł przewodniczący. — Zaznaczyłem sobie, że zgłosiłeś się sam i jestem przekonany, że czeka cię w tej okolicy ładna praca. Mamy do załatwienia dziś w nocy drobną sprawę, w której możesz wziąć udział, jeśli pragniesz.

— Mogę zaczekać na coś odpowiedniejszego.

— Bądź co bądź, idź dzisiejszej nocy, gdyż to da ci wyobrażenie, jak wielką mamy władzę w tej



okolicy. Szczegóły podam później. Tymczasem — spojrzał na porządek dzienny — musimy omówić jeszcze jedną lub dwie sprawy. Przedewszystkiem, chciałbym zapytać skarbnika, jak się przedstawia nasz rachunek bankowy. Chodzi o wdowę po Jimie Carnaway'u. Zginął dla Łoży i naszym obowiązkiem jest zaopatrzyć ją.

— Jim został zastrzelony w ubiegłym miesiącu, kiedy próbowano zabić Chestera Wilcoxa i Marley Creek — pouczył sąsiad Mc'a Murdo.

— Dochody są obecnie dobre — rzekł skarbnik, patrząc w księgę bankową. — Firmy były bardzo chojne w ostatnim czasie. Max Linder and Co zapewnił sobie spokój za cenę pięciuset dolarów. Bracia Walker posłali sto, ale zwróciłem im tę sumę, żądając pięćset. Jeśli do wtorku nie otrzymam odpowiedzi, maszyny ich staną. Musieliśmy ubiegłego roku spalić im szyb, zanim zmądrzeli. Potem zapłacił swoją roczną kontrybucję Oddział Zachodniej Kompanji Węglowej. Możemy wobec tego pokryć wszelkie zobowiązania.

— A cóż Archie Swindon? — zapytał jeden z braci.

— Sprzedał wszystko i wyjechał z okręgu. Stary djabeł zostawił nam list z oznajmieniem że woli być prostym robotnikiem w New Yorku, niż właścicielem wielkiej kopalni, zależnym od garści bandytów. Dobrze zrobił, że uciekł, zanim otrzymaliśmy ten list. Sądzę, że nie odważy się już pokazać w tej dolinie.

Starszy, wygolony mężczyzna, z uprzejmą twarzą i dobronudsznym wejrzeniem, wstał z miejsca na drugim końcu stołu.

— Panie skarbniku! — zawołał — chciałbym się dowiedzieć, kto kupił własność tego człowieka, którego wypędziliśmy z okręgu?

— Dobrze, Bracie Morris. Kupiło ją państwo i Towarzystwo Kolei Żelaznych hrabstwa Merston.

— A kto kupił kopalnię Todmara i Lee, które sprzedano również w ubiegłym roku?

— To samo Towarzystwo, Bracie Morris.

— A kto kupił huty Mansona i Shumana, Van Dehera i Atwooda, które sprzedano też w ostatnim czasie?

— Kupiło je Towarzystwo Górnicze z West Gilmerton.

— Sądzę, Bracie Morris — rzekł przewodniczący — że to dla nas rzecz obojętna, kto je kupuje, gdyż i tak nie może ich wynieść z okręgu.

— Przepraszam cię, czcigodny mistrzu, ale sądzę, że to ma wielkie dla nas znaczenie. Dzieje się to już od dziesięciu lat. Wypędziliśmy stopniowo wszystkich mniejszych przedsiębiorców. I z jakim rezultatem? Zamiast nich mamy do czynienia z wielkimi towarzystwami, jak Towarzystwem Kolei Żelaznych i Głównym Urzędem Górniczym, których dyrektorowie przebywają w Nowym Yorku lub Filadelfji i nie dbają o nasze groźby. Jeśli grozimy miejscowym przedstawicielom ich, jedynym rezultatem jest, że inni przychodzą na ich miejsce. Jest to niebezpiecznym dla nas samych, bowiem mniejsi przedsiębiorcy nie mogą nam nic szkodzić. Nie mają ani władzy, ani pieniędzy. Jeśli nie będziemy ich cisnąć zanadto, pozostaną na miejscu pod naszym wpływem. Jeśli jednak wielkie towarzystwa przyjdą do przekonania, że wpływają niekorzystnie na ich dochody, nie be-

dą oszczędzić trudu i kosztów, aby nas wysledzić i postawić przed sądem.

Po tych złowróbných słowach zapadło milczenie, twarze posmutniały i wymienano niespokojne spojrzenia. Uważali się za tak potężnych i bezpiecznych, że myśl o grożącej karze nigdy nie zaprzętała ich umysłów. A jednak przypuszczenie to przyprawiło o dreszcz nawet najodważniejszych.

— Radzę,—ciągnął dalej mówca,—abyśmy obchodzili się względniej z mniejszymi przedsiębiorcami. Skoro ich raz wypędzimy, potęga naszego związku będzie złamana.

Nieprzyjemna prawda nie jest popularną. Za ledwie mówca usiadł odezwały się gniewne okrzyki. Mc Ginty wstał z ponurą twarzą.

— Bracie Morris — rzekł — byłeś zawsze krukiem. Jak długo członkowie Łoży stoją razem, nie ma siły w Stanach, któraby im grozić mogła. Czyż nie przekonaliśmy się o tem niejednokrotnie przed sądem? Sądzę, że wielkie towarzystwa, na wzór towarzystw mniejszych, będą wołały zapłacić, niż walczyć. A teraz bracia... — Mc Ginty zdjął czarną, jedwabną czapkę i stułę — posiedzenie Łoży jest na dzisiaj skończone, wyjąwszy drobną sprawę, o której wspomnę przy pożegnaniu. Czas na braterskie rozrywki i wspólną pogawędkę.

Dziwną jest ludzka natura. Oto ludzie, dla których morderstwo było chlebem powszednim, którzy niejednokrotnie zabijali ojców rodzin, osoby, z którymi nic ich nie łączyło, bez litości i współczucia dla opłakujących ich żon i bezradnych dzieci, a którzy jednak pod wlywem żalostnej, tęsknej muzyki wrzuszali się do łez. Mc Murdo miał ładny głos tenorowy i gdyby sobie wcześniej Łoży nie pozyskał, zdobyłby

sobie jej uznanie zaśpiewawszy: „Stoję u płota, Maryniu” i „Nad brzegiem rzeki”. Już pierwszej nocy nowy rekrut stał się najpopularniejszą wśród braci osobą, przeznaczaną z góry na awans i wysokie stanowisko. Ale aby zostać godnym wolnomularzem trzeba było mieć i inne zalety, nie tylko być dobrym towarzyszem, a przykład ich dał, zanim wieczór się skończył. Butelka z wódką krążyła już długo i ludzie stali się pochopni do rozmaitych złych czynów, kiedy mistrz powstał jeszcze raz zwracając się do nich w te słowa:

— Chłopcy! rzekł. — Jest tu w mieście człowiek, który potrzebuje skarania i waszą rzeczą będzie postarać się o to. Mówię o Jakóbie Stangerze z Gońca. Wiecie, że czekał znowu na nas?

Rozległ się szmer potwierdzenia i szereg cichych przekleństw. Mc Ginty wyjął z kieszeni kamizelki ćwiartkę papieru i zaczął czytać:

— „Prawo i Porządek!” oto nagłówek. „Rządy terroru w okręgu węglowym i żelaznym. Minęło dwa miesiące lat od chwili, kiedy liczne zabójstwa stwierdziły istnienie organizacji zbrodniczej wśród nas. Od tego czasu gwałty nie ustały, tak, że dziś staliśmy się hańbą świata cywilizowanego. A więc dlatego kraj nasz przyjmuje gościnnie obcych, którzy uciekają przed despotyzmem Europy, aby się ci stali tyranami dla ludzi, którzy użyczyli im schronienia i aby terror i bezprawie zapanowało w cieniu gwiazdzistej flagi wolności, terror, któryby wzbudził grozę w naszych umysłach, gdybyśmy czytali o nim, jako panującym w najsłabszej monarchji Wschodu? Ludzie są znani. Organizacja jest publiczna i zarejestrowana. Jak długo mamy jeszcze cierpieć? czy mamy żyć wiecznie...”  
Przeczytałem dosyć — zawołał przewodniczący,

rzucając gazetę na stół. — Oto jego słowa. Pytam się, jak mamy na nie odpowiedzieć?

— Zabić go! — zawołało tuzin dzikich głosów.

— Protestuję — rzekł brat Morris, mężczyzna z wygoloną twarzą i dobrodusznem wejrzeniem. — Mówię wam, bracia, że ręka nasza cięży za bardzo nad tą doliną i że w pewnej chwili, dla obrony, wszyscy złączą się, aby nas zniszczyć. Jakób Stanger, to człowiek stary. Cieszy się szacunkiem w mieście i okręgu. Dziennik jego reprezentuje wszystkich uczciwych obywateli tej doliny. Jeśli zabijemy tego człowieka powstanie wzburzenie w całych Stanach, które zakończy się naszym zniszczeniem.

— A jak przystąpią do naszego zniszczenia, Panie Trwożliwy? — zawołał Mc Ginty. — Z pomocą policji? Wszak połowa jest na naszym żołdzie, a druga połowa boi się nas. A może na drodze sądowej? Czyż nie doświadczyliśmy już tego i co z tego wynikało?

— Może nam dać radę sędzia Lynch — rzekł Brat Morris.

Słowa te przywitał okrzyk gniewu.

— Potrzebuję tylko palcem ruszyć — zawołał Mc Ginty — a zjawi się dwustu ludzi, którzy oczyściliby miasto od końca do końca.

Potem, podnosząc głos i marszcząc potężne, czarne brwi w groźny sposób, dodał:

— Bracie Morris, mam na ciebie oko już od pewnego czasu. Nie masz odwagi i chcesz odebrać ją drugim. Będzie to dla ciebie fatalny dzień, Bracie Morris, kiedy twoje nazwisko znajdzie się na porządku dziennym i sądzę, że powinienem je już teraz zanotować.

Moris zbladł śmiertelnie i upadł na krzesło, jak by nie mogąc utrzymać się na nogach. Podniósł drżącą rękę szklanke i wychylił ją, zanim zdobył się na odpowiedź.

— Przepraszam cię, czcigodny mistrzu i przepraszam wszystkich braci w Łoży, jeśli powiedziałem więcej, niż było trzeba. Jestem wiernym członkiem — wiecie to wszyscy i jedynie trwoga o Łožę każe mi mówić w ten sposób. Ale ufam bardziej twojemu sądowi, niż mojemu czcigodny Mistrzu i przyrzekam, że cię już więcej nigdy nie dotknę.

Rysy mistrza wypogodziły się na te pełne pokory słowa.

— Bardzo dobrze. Bracie Morris. Mnie samemu jest przykro, że musiałem ci dać naukę, ale jak długo jestem przewodniczącym, w Łoży będzie panować jedność w słowach i w czynie. Chcę jednak zaznaczyć... że gdyby Sanger dostał to, na co w zupełności zasługuje, ściągnęlibyśmy na siebie ciężki kłopot. Ci redaktorzy zawsze się popierają i wszystkie gazety w Stanach zaczęłyby wołać o policję i wojsko. Ale możecie mu dać porządną nauczkę. Może ty się tem zajmiesz, Bracie Baldwinie?

— Bardzo chętnie!—rzekł młody człowiek z poświęceniem.

— Wielu ludzi ci potrzeba?

— Pół tuzina i dwóch do pilnowania drzwi. Pójdiesz ty, Gower, ty, Mansel, ty, Scanlan i dwaj Willaby.

— Przyrzekłem nowemu bratu, że pójdzie również — rzekł przewodniczący.

Ted Baldwin spojrział na Mac Murdo wzrokiem, który wskazywał, że nie zapomniał i nie przebaczył.

— Może iść, jeśli chce — rzekł kwaśnym tonem.

Całe towarzystwo wyruszyło z krzykiem, wyciem i pijackimi śpiewami. Bar był jeszcze przepełniony nocnymi gośćmi i wielu braci pozostało w nim. Mały oddział, który odkomenderowano do „pracy”, wyszedł na ulicę, maszerując w dwujkach i trójkach chodnikiem, aby nie zwracać uwagi. Noc była mroźna, a półksiężyc świecił jasno na usianem gwiazdami niebie. Mężczyźni zatrzymali się przed wysokim budynkiem. Między jasno oświetlonymi oknami widniały złote litery: „Goniec Vernissy”. Z wewnątrz dochodziło skrzypienie prasy.

— Zostaniesz — rzekł Baldwin do Mc'a Murdo — na dole przy drzwiach i będziesz uważał, aby nam nie odcięto odwrotu. Artur Willaby może zostać z tobą. Reszta pójdzie ze mną. Nie bójcie się, chłopcy, gdyż mamy z tuzin świadków, że jesteśmy w tej chwili w barze Związku.

Było już około północy i ulice były prawie puste. Jedynie tu i owdzie śpieszył do domu spóźniony przechodzień. Oddział przeszedł przez ulicę i otworzywszy przemocą drzwi do redakcji dziennika, wpadł na schody, prowadzony przez Baldwina. Mc. Murdo i jeszcze jeden pozostali na dole. Z góry doleciał krzyk, wołanie o pomoc, a potem tupot nóg i odgłos przewracanych krzeseł. W chwilę później na schody wybiegł siwowłosy mężczyzna. Pochwycono go zanim zdołał pobiedz dalej, a do stóp Mc'a Murdo potoczyły się tylko jego okulary. Upadł z jękiem na ziemię. Leżał na twarzy, a tuzin kijów wzięło go w obroty. Rzucił się: długie, ciężkie członki jego drgały pod uderzeniami. Inni przestali w końcu, ale Ted Baldwin z okropną twarzą, ściągniętą w djabel-

skim uśmiechu, bił go wciąż po głowie, którą tamten nadaremnie osłaniał ramionami. Na białe włosy jego wystąpiły krwawe plamy. Baldwin stał jeszcze nad ofiarą swoją, godząc krótkimi dotkliwymi ciosami w nieosłonięte części, kiedy Mc. Murdo wbiegł po schodach i odepchnął go na bok.

— Zabijesz tego człowieka! — krzyknął. — Zostaw go!

Baldwin spojrział na niego zdziwiony.

— Niech cię djabli wezmą! — Poco się wtrącasz — ty, najmłodszy z Łoży? Cofnij się! — Podniósł kij, ale Mc Murdo wydobył z kieszeni pistolet.

— Ty się cofnij! — zawołał — Dostaniesz w twarz, jeśli się zbliżysz. Rozkazem mistrza było, aby nie zabijać tego człowieka, a przecież ty go chcesz zabić.

— Ma słuszność — zauważył jeden z mężczyzn.

— Spieszcie się — zawołano z dołu. — W oknach widać światła i w przeciągu pięciu minut będziecie mieli całe miasto na karku.

W istocie na ulicy słychać było wołania, a w przedsiönku na dole zebrała się grupka robotników, gotowa wkroczyć w każdej chwili. Zbrodniarze zbiegli po schodach, pozostawiając na górze pokaleczone i bezwładne ciało redaktora i znikli w ulicy. Niektórzy, wróciwszy do Domu Związku, zmieszali się z tłumem w szynkowni Mc'a Ginty, donosząc przewodniczącemu, że kawał się udał. Inni, w ich liczbie Mc Murdo, poszli bocznymi ulicami i okrężną drogą do własnego domu.



## ROZDZIAŁ XI.

### Dolina Trwogi.

Kiedy Mc. Murdo zbudził się nazajutrz rano, przypomniał sobie odrazu swoje wstąpienie do Łoży. Głowa bolała go na skutek wypitych trunków, a ramię w miejscu, gdzie je napiętnowano było obrzękłe i gorące.

Mając własne źródło dochodów nie odznaczał się punktualnością w służbie, zjadł zatem późno śniadanie i został przez cały ranek w domu, pisząc długi list do przyjaciela. Potem przeglądał **Goniec Codzienny**. W osobnej kolumnie, złożonej w ostatniej chwili, przeczytał: „Napad na Redakcję **Gońca**. Redaktor ciężko zraniony”. Był to krótki opis faktów, o których sam wiedział lepiej, niż piszący. Kończył się tylko ustępem:

„Sprawa jest w ręku policji, ale nie należy się łudzić, aby wysiłki jej odniosły lepszy skutek, jak dawniej. Kilku napastników rozpoznano i może da się im winę udowodnić.

Źródłem napaści — nietrzeba chyba wspominać — była ta ohydna organizacja, która daje się od tak dawna we znaki tutejszej ludności i wobec której **Goniec** zajął tak bezwzględne stanowisko. Pocięcha

dla wielu przyjaciół Mr. Stangera będzie wiadomość, że chociaż został okrutnie i brutalnie pobity i odniósł szereg ciężkich obrażeń na głowie, życiu jego nie grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo".

Na dole znajdowała się wzmianka, że zawezwano do obrony redakcji straż z Węglowej i Żelaznej Policji. uzbrojonej w karabiny Winchestera.

Mc Murdo złożył gazetę i zapalił drżącą ręką fajkę, kiedy zapukano do drzwi i gospodyni przyniosła mu kartkę, wręczoną jej przez chłopca. Była bez podpisu i brzmiała w ten sposób:

„Pragnąłbym pomówić z panem, ale nie w pańskim domu. Czekam w Miller Hill. Mam do powiedzenia coś ważnego, z arówno dla pana, jak i dla mnie”.

Mc Murdo przeczytał kartkę dwukrotnie z najwyższym zdziwieniem, gdyż nie mógł pojąć, co oznacza i kto był jej autorem. Gdyby była napisana ręką kobiecą mógłby przypuszczać, że jest to początek awanturki w rodzaju tych, z którymi był w przeszłości dobrze obeznany. Ale było to pismo mężczyzny wykształconego. W końcu, po pownym wahaniu, postanowił usłuchać wezwania.

Miller Hill jest to zapuszczony ogród publiczny, na wzgórzu w samym środku miasta. W lecie odwiedzają go tłumy ludzi, ale w zimie jest pusty. Z szczytu jego rozciąga się widok nie tylko na brudne, szeroko rozłożone miasto, ale i na krętą dolinę z jej kopalniami i fabrykami czerniącemi śnieg na jej stokach i pokrytemi lasem i górami, które ją otaczają. Mc. Murdo szedł powoli na wzgórze krętą ścieżką, obwarowaną drzewami szpilkowemi, aż wreszcie znalazł się przed opuszczoną restauracją, która była miejscem zebrań towarzyskich. Opodal

stał człowiek z nasuniętym na czoło kapeluszem i podniesionym kołnierzem zarzutki. Kiedy odwrócił twarz, Mc Murdo ujrzał, że był to Brat Morris, który ubiegłej nocy naraził się na gniew mistrza. Zamienili, witając się, znak Łoży.

— Chciałem pomówić z panem, Mr. Mc Murdo — rzekł starszy z pewnym ociąganiem się, co świadczyło, że sprawa była delikatnej natury.

— Dlaczego się pan nie podpisał?

— Trzeba być ostrożnym, mister. Nigdy nie wiadomo, jaki sprawa weźmie obrót. Nie wiadomo komu zawierzyć, a komu nie.

— Chyba braciom z Łoży zawierzyć można?

— Nie, nie; nie zawsze — zawołał gwałtownie Morris. — Cokolwiek się mówi, a nawet myśli, zdaje się dochodzić do uszu Mc'a Ginty.

— Zwracam panu uwagę — rzekł surowo Mc Murdo — że dopiero ubiegłej nocy, jak pan wiesz, przysięgłem wierność naszemu mistrzowi. Czy chcesz, abym złamał przysięgę?

— Jeśli w ten sposób będzie pan przemawiał — odrzekł Morris smutno — szkoda, że go trudziłem. Żle się dzieje, jeśli dwaj wolni obywatele nie mogą mówić swobodnie, o czem myślą.

Mc. Murdo, który przyglądał się bacznie swojemu towarzyszowi, zmiękł na te słowa.

— Chodziło mi tylko o siebie — rzekł. — Jestem przybyszem, jak pan wie i nie znam się na tu-tejszych stosunkach. Nie moja to rzecz, Mr. Morris, zabierać głos w tej sprawie, ale jeśli pan ma coś do powiedzenia, słucham.

— I powtórzę mistrzowi Mc. Ginty — rzekł Morris z goryczą.

— Jesteś pan niesprawiedliwy — zawołał Mc. Murdo. — Pozostanę wobec Łoży lojalnym i zaznaczam to z góry, ale byłbym podły, gdybym powtórzył to, co mi pan powie w sekrecie. Ostrzegam jednak, nie licz pan, ani na współczucie, ani na pomoc moją!

— Zrezygnowałem z jednego i drugiego — rzekł Morris. — Oddaję się panu na łaskę i niełaskę, ale chociaż nie jesteś złym człowiekiem — ubiegłej nocy zdawało mi się, że chcesz jednak dorównać najgorszym z nich — wszystko to jest jeszcze nowem dla ciebie i dlatego nie możesz być jeszcze tak zepsutym, jak inni, postanowiłem więc z panem pomówić.

— I cóż chce mi pan powiedzieć?

— Jeśli mnie pan wyda, bodajbyś zginął.

— Mówiłem, że nie zdradzę pana.

— Chciałem się zapytać, czy wstępując w Chicago do stowarzyszenia Wolnomularzy i składając ślub braterstwa i miłości bliźnich, mógł pan przypuszczać, że doprowadzi to pana do zbrodni?

— Jeśli pan to nazywa zbrodnią... — odpowiedział Mc. Murdo.

— Nazywam to zbrodnią — zawołał Morris głosem drżącym z oburzenia. — Jeszcze pan mało widział? Czy to nie było zbrodnią, że stary człowiek, któryby mógł być pańskim ojcem, pobity został do krwi? Czyż to nie zbrodnia? Jakżeż pan to nazwie?

— Niektórzy nazwaliby to wojną — rzekł Mc. Murdo. — Zaciętą walką klasową, walką bez pardonu.

— Czy spodziewał się pan jednak czegoś podobnego, kiedy wstępowałeś do związku wolnomularzy w Chicago?

— Nie, przyznaję otwarcie, że nie.

— Ani ja, kiedy przyłączyłem się do niego w Filadelfji. Był to klub dobiegoczynny i miejsce zebran

towarzyskich. Potem usłyszałem o tej miejscowości — niechaj będzie przeklętą godzina, kiedy raz pierwszy jej miano obito mi się o uszy! — i wybrałem się tu, aby sobie być poprawić. Mój Boże, poprawić być! Żona i dzieci przybyły razem ze mną. Otworzyłem sklep na ulicy Targowej i powodziło mi się dobrze. Rozpuszczono wieść, że byłem Wolnomularzem i zostałem zmuszony wstąpić do miejscowej Łoży, jak i pan ostatniej nocy. Noszę na przedramieniu piętno wstydu, a jeszcze gorsze piętno na sercu. Przekonałem się, że podlegam rozkazom przestępcy i że wpadłem w gniazdo zbrodniarzy. Co miałem czynić? Wszelkie moje szlachetniejsze rady uważano za zdradę, jak ubiegłej nocy. Nie mogę wyjechać, gdyż całym moim majątkiem jest sklep. Jeśli wystąpię ze związku, zamordują mnie, cóż się stanie wówczas z moją żoną i dziećmi? Oh! człowieku, to straszne — straszne! — Zakrył twarz rękami, a ciałem jego wstrząsało konwulsyjne łkanie.

Mc. Murdo wzruszył ramionami.

— Jesteś pan za miękki — rzekł. — Nie nadajesz się do takiego życia.

— Mam sumienie i zasady religijne, a jednak zrobili ze mnie zbrodniarza. Wybrany zostałem do „roboty”. Wiem, co by się stało, gdybym się cofnął. Być może jestem tchórzem. A może robi mnie nim myśl o biednej żonie i dzieciach. Bądź co bądź, zgodziłem się. Będzie mnie to dręczyć wiecznie. Był to dom na odludziu, o dwadzieścia mil stąd, poza górami. Kazano mi zatrzymać się przed drzwiami, jak panu ubiegłej nocy. Nie uważali mnie za zdolnego do roboty. Inni weszli do środka. Kiedy wyszli, dłonie ich były zbroczone krwią. W chwili, gdyśmy wracali usłyszałem z domu poza nami krzyk dziecka. Był

to pięcioletni chłopak, który zobaczył zamordowanego ojca swojego... Zrobiło mi się słabo, a jednak musiałem pokazać uśmiechniętą i pewną twarz, gdyż wiedziałem dobrze, że w przeciwnym razie następnym domem, z którego wyjdą z zakrwawionemi rękoma, będzie mój dom i że mój mały Fredzio będzie opłakiwał swojego ojca. Ale stałem się zbrodniarzem — współwinnym morderstwa, straconym dla tego i tamtego świata na zawsze. Jestem dobrym katolikiem, ale ksiądz nie chciał rozmawiać ze mną, skoro się dowiedział, że jestem „węglarzem” i nie mogę znaleźć pociechy w mojej wierze. Oto, czem jestem. A teraz widzę, że wchodzisz pan na tę samą drogę i pytam, jak się to wszystko skończy? Czy decydujesz się zostać bezlitosnym mordercą, czy też zdołamy znaleźć razem jakąś radę i zapobiec temu?

— Co pan chce uczynić? — zapytał krótko Mc. Murdo. — Zawiadomić władze?

— Broń Boże! — zawołał Morris. — Sama myśl o tem przyplaciłbym musiał życiem.

— To dobrze — rzekł Mc. Murdo. — Sądzę, że jesteś pan człowiekiem słabym i że przejmujesz się za bardzo temi sprawami.

— Za bardzo? Zaczekaj pan trochę dłużej. Spójrz na dolinę! Popatrz na setki dymiących kominów! Mówię panu, że zbrodnia wisi nad głowami mieszkańców w gęstszych i groźniejszych obłokach niż chmury dymu. To Dolina Trwogi... Dolina Śmierci. Strach gnieździ się w sercu każdego przez dzień i w nocy. Poczekaj, młodzieńcze, a sam się przekonasz.

— Dobrze, powiem panu wówczas, co o tem sądę — rzekł obojętnie Mc. Murdo. — Rzecz oczywista, że nie nadaje się pan do tutejszych stosun-

ków i im prędzej wszystko sprzedasz — chociażby dostał za swoją własność dziesiątą część wartości — tem lepiej dla pana. O tem, coś mi pan mówił, nie wspomnę nikomu, ale gdybym się przekonał, że jesteś szpiegiem...

— Nie, nie! — zawołał Morris żalonym tonem.

— Dobrze, poprzestańmy na tem. Zapamiętam sobie, coś mi pan powiedział i kiedyś może powrócę do tej sprawy. Mam nadzieję, że mówił to pan w najlepszej myśli. A teraz wracam do domu.

— Jeszcze słowo — rzekł Morris. — Może nas widziano razem. Może nas zapytają, o czem rozmawialiśmy z sobą.

— Ah, dobrzeby było zastanowić się nad tem.

— Proponowałem panu posadę subiekta w moim sklepie.

— A ja odrzuciłem propozycję. To temat naszej rozmowy. Życzę szczęścia w przyszłości, Bracie Morris.

Tego samego czasu popołudniu, kiedy Mc Murdo siedział paląc papierosa, zatopiony w myślach, przy kominku w swoim pokoju, drzwi otworzyły się nagle, a na progu stanęła rosła postać mistrza Mc'a Ginty. Powitał go znakiem, a potem, siadłszy naprzeciwko młodzieńca, przyglądał mu się bacznie przez powien czas wzrokiem, który ten odważnie wytrzymał.

— Nie składałem częstych wizyt, Bracie Mc Murdo — rzekł wkońcu. — Jestem zbyt zajęty przyjmowaniem własnych gości. Ale chciałem zobaczyć, co się z tobą dzieje.

— Jestem dumny z pańskich odwiedzin, panie radco — odpowiedział serdecznie Mc Murdo, stawia

jąc na stół flaszkę whisky. — To zaszczyt, którego się nie spodziewałem.

— Jakżesz ręka? — zapytał przewodniczący, Mc Murdo skrzywił się.

— Nie da mi o sobie zapomnieć—rzekł. — Ale jestem zadowolony.

— Tak—rzekł drugi.—Ci, którzy są lojalni mogą być zadowoleni i są dla Łoży rzeczywiście pomocą. O czem rozmawiałeś z Bratem Morrisem w Miller Hill dziś rano?

Pytanie padło tak nagle, że dobrze, iż odpowiedź była z góry przygotowana. Wybuchnął serdecznym śmiechem.

— Morris nie wiedział, że zarabiam na życie tu w domu i nie dowie się nigdy, gdyż uważam go za człowieka pełnego skrupułów. Ale ma dobre serce. Zdawało mu się, że jestem w przykrych warunkach i chciał mi pomóc, proponując posadę w swoim sklepie.

— Oh, o to chodziło?

— Tak, o to

— I ty odmówiłeś?

— Rzecz prosta. Czyż nie zarobię dziesięć razy więcej w domu, pracując tylko cztery godziny?

— Słusznie. Ale na twojem miejscu nie zadowałbym się zbyt z Morrisem.

— Dlaczego?

— Mam pewne powody, o których nie chcę mówić. Większość z pomiędzy nas ma go już powyżej uszu.

— Ale to mnie nic nie obchodzi, panie radco — rzekł śmiało Mc Murdo. — Nie należę do nich.

Olbrzym popatrzył na niego, a włochata jego łapa zacisnęła się koło szklanki, jakby chciał cisnąć



ją w głowę towarzysza. Potem zaśmiał się głośno, napaśliwie, szczerze.

— Z ciebie ciekawy chłop — rzekł. Dobrze, jeśli chcesz, podam ci powody. Czy Morris nie mówił nic przeciw Łoży?

— Nie.

— Ani przeciw mnie?

— Nie.

— To dlatego, że ci nie ufa. Ale w głębi duszy nie jest lojalnym bratem. Wiemy o tem dobrze i dlatego go śledzimy, czekając aż przyjdzie pora udzielić mu napomnienia. Sądzę, że to już niedługo. Nie ma miejsca w naszej zagrodzie na parszywe owce. Ale jeśli przyjaźnić się będziesz z człowiekiem nielojalnym, będziemy i ciebie uważać za nielojalnego. I ojmujesz?

— O to niema obawy, gdyż nie podoba mi się ten człowiek — odpowiedział Mc Murdo. — Co zaś do zarzutu nielojalności, gdyby chodziło o kogo innego, nie o ciebie mistrzu, nie powtarzałby drugi raz tego słowa.

— To wystarczy — rzekł Mc. Ginty, opróżniając swoją szklanę. — Przyszedłem cię ostrzedz w stosownym czasie i otrzeźłem.

— Chciałem się jednak dowiedzieć — rzekł Mc Murdo — kto panu powiedział, że wogóle rozmawiałem z Morrisem.

Mc Ginty roześmiał się.

— Moją rzeczą jest wiedzieć, co się dzieje w mieście — rzekł. Musisz przyjąć za pewnik, że słyszę wszystko. No, czas upływa, a ja...

Ale pożegnanie jego przerwane zostało w sposób niespodziewany. Drzwi otwarły się z trzaskiem

i trzy poważne, surowe oblicza zagładnęły do środka z pod czapek policjantów. Mc Murdo skoczył na nogi i sięgnął po rewolwer, ale zatrzymał się, widząc wymierzone w jego głowę dwa karabiny Winchestera. Do pokoju wszedł człowiek w mundurze, z rewolwerm sześciostrzałowym w ręce. Był to kapitan Marwin, niegdyś z Chicago, obecnie z policji węglowej i żelaznej. Wstrząsnął głową z uśmiechem, patrząc na Mca Murdo.

— Byłem pewny, że narazisz się na jakiś kłopot, panie Mc. Murdo z Chicago, — rzekł. — Czy nie lepiej było trzymać się od tego zdaleka? Weź kapelusze i chodź z nami!

— Zapłaci pan za to, kapitanie Marwin — rzekł Mc. Ginty. — Jakiem prawem wdzierasz się w ten sposób do prywatnego domu i napastujesz uczciwych, żyjących według prawa obywateli?

— To nie o pana chodzi, radco Mc. Ginty — rzekł kapitan policji. — Przyszliśmy po tego człowieka, Mca Murdo. Pańskim obowiązkiem jest pomóc nam, a nie przeszkadzać.

— To mój przyjaciel, za którego odpowiadam, — rzekł przewodniczący.

— Kiedyś przyjdzie czas, że będzie pan musiał odpowiadać i za siebie — odparł kapitan policji. — Ów Mc. Murdo był przestępcą, zanim tu przybył i jest przestępcą nadal. Weź go na cel, patrolowy, podczas gdy ja go rozbroję.

— Oto mój pistolet, — rzekł Mc. Murdo spokojnym głosem. — Gdybyśmy byli sami, kapitanie Marwin, nie oddałbym go tak łatwo.

— Gdzie rozkaz aresztowania? — zapytał Mc. Ginty. — Czyżbyśmy żyli w Rosji? To gwałt ze strony kapitalistów i nie puszczę tego piazem.

— Zrobi pan panie radco, co pan uważa za stosowne. My zrobimy swoje.

— O co jestem oskarżony? — zapytał Mc Murdo.

— O udział w pobiciu starego redaktora Stangera w biurze „Gońca”. To nie pańska wina, że nie chodzi o morderstwo.

— Jeśli to mu zarzucacie — zawołał śmiejąc się Mc. Ginty — szkoda zachodu. Człowiek ten był w moim barze i grał ze mną w pokera do północy, co poświadczyć może z tuzin świadków.

— To pańska rzecz, którą pan jutro załatwi w sądzie. Tymczasem chodź Mc. Murdo i zachowaj się spokojnie, inaczej kula w łeb. Odstąp pan na bok. Mr. Mc Ginty, gdyż ostrzegam, że w służbie nie zniosę oporu.

Wygląd kapitana był tak zdecydowany, że Mc. Murdo i jego mistrz musieli się poddać. Ten ostatni zdołał jednak szepnąć kilka słów więźniowi, zanim się pożegnali.

— Co z... — złożył rękę w pięść, przypominając mu prasę do bicia monet.

— Wszystko w porządku — szepnął Mc Murdo, który znalazł sobie pewny schowek pod podłogą.

— Dowidzenia! — rzekł mistrz, ściskając mu rękę. — Pomówię z adwokatem Reillym i obronę wezmę na siebie. Możesz mi wierzyć, że wkrótce będziesz wolny.

— Tegobym nie obiecywał. Pilnujcie więźnia, i strzelajcie, jeśli będzie próbował jakichś sztuczek. Przeszukam jeszcze dom.

Marvin uczynił to, ale widocznie nie znalazł tam ukrytej prasy. Zszedłszy na dół, odprowadził wraz

z swojemi ludźmi Mc'a Murdo do urzędu policyjnego, Zapadła ciemność i zanosiło się na śnieżyce, tak, że ulice były prawie puste, ale kilku pzedchodniów szło za oddziałem i ośmielonych mrokiem wznosiło okrzyki przeciw więźniowi.

— Zlynczować przeklętego węglarza! wołali. — Zlynczować! — Śmieli się i szydzieli, kiedy go wprowadzono na policję. Po krótkiem przesłuchaniu u inspektora, będącego na służbie oddano go na wspólną salę. Został tu Baldwina i trzech innych zbrodniarzy z ubiegłej nocy, których zaaresztowano po południu i którzy czekali wszyscy na jutrzejszy sąd.

A jelnak i do śrolka tej twierdzy prawa sięgało ramię Wolnomularzy. Późno w nocy przyszedł dozorca z wiązką słomy na posłanie, z której wydobyl dwie butelki whisky, kilka szklanek i paczkę kart. Spędzili wesołą noc bez najmniejszych wątpliwości co do wyniku jutrzejszej rozprawy.

I nie mylili się, jak skutek okazał. Sąd pokoju nie mógł na podstawie materiału dowodowego odstąpić sprawy sądowi wyższemu. Z jednej strony robotnicy drukarscy musieli przyznać, że światło było niepewne, że byli sami mocno przestraszeni i że nie mogą stwierdzić pod przysięgą, z absolutną pewnością, tożsamości napastników, chociaż, jak się im zdaje, oskarżeni byli między nimi. W krzyżowym ogniu pytań zręcznego obrońcy, zapłaconego przez Mc. Ginty, zeznania ich stały się jeszcze bardziej mgliste. Sam pobity zeznał już, że zaskoczono go znienacka i że nie przypomina sobie nic, wyjąwszy okoliczności, że pierwszy, który go uderzył, nosił wasy. Dodał, że wie, iż byli to „węglarze“, gdyż nikt w mieście poza nimi nie żywił do niego żadnej urazy, a oni grozili mu oddawna z powodu jego energicz-

ných artykułów. Z drugiej strony wykazano niezbi-  
cie na podstawie zgodnego świadectwa sześciu oby-  
wateli, w ich liczbie wysokiego urzędnika miejskie-  
go, radcy Mc'a Ginty, że ludzie ci grali w karty  
w Domu Związku jeszcze w godzinę po napadzie.  
Nie trzeba dodawać, że uwolniono ich z przeprosze-  
niem za doznane nieprzyjemności, a kapitanowi Mar-  
winowi i policji udzielono napomnienia za ich zbytnią  
gorliwość.

Werdykt powitany został z głośnym aplauzem  
przez zebranych w sądzie, między którymi Mc Mur-  
do widział szereg znajomych twarzy. Bracia z Łoży  
uśmiechali się i powiewali chustkami. Ale byli tacy,  
którzy siedzieli z zaciśniętymi wargami i ponuremi  
oczyma, kiedy oskarżeni opuszczali salę. Jeden z  
nich, mały, czarnobrewy, rezolutny zuch ubrał w sło-  
wa myśli swoje i towarzyszy, kiedy exwięźniowie  
przechodzili obok.

— Przekłęci mordercy! — rzekł. — Dostanie-  
my was jeszcze!

## ROZDZIAŁ XII.

### Czarna godzina.

Jeśli coś mogło wpłynąć na popularność Mca Muedo wśród towarzyszy, to jego aresztowanie i zwolnienie. Jakto, że ktoś w tę samą noc, kiedy go przyjęto do Łoży, uczynił coś, co go sprowadziło przed sąd, było to w dziejach stowarzyszenia wydarzeniem zupełnie nowem. Zdobył już sobie sympatję dobrego kompana, wesołego towarzysza i człowieka ambitnego, któryby nie zniósł obelgi nawet samego mistrza. Ale w dodatku wpoił w towarzyszy przekonanie, że nikt tak, jak on nie potrafi wykreślić planu zbrodni i tak dobrze go wykonać. Mc. Ginty miał dosyć narzędzi, ale zrozumiał, że to było znakomite. Doświadczał uczucia człowieka, trzymającego na smyczy krwiożerczego psa. Miał mniejsze pieski do ostatniej roboty, ale w odpowiednim czasie chciał poszczuć na zdobycz to stworzenie. Kilku członków Łoży, w ich liczbie Ted Baldwin, patrzyło krzywo na nagłe wzniesienie się obcego i znenawidziło go za to, ale trzymało się zdaleka od niego, gdyż równie skory był do bitki, jak i do zabawy.

Ale o ile zyskiwał względy towarzyszy tracił je na terenie, który dla niego był wiele ważniejszym. Ojciec Ettie, Sharf nie chciał mieć z nim nic do czynienia i nie chciał mu pozwolić na odwiedzinę domu. Sama Ettie kochała go zbyt głęboko, aby się go wyrzec, a jednak sam rozum ostrzegał ją przed małżeństwem z człowiekiem, który był uważany za zbrodniarza. Pewnego ranka, po bezsennej nocy postanowiła się z nim zobaczyć, być może raz ostatni i zrobić wysiłek, aby wyzwolić ukochanego z pod wpływów, które go pociągnęły na dno. Udała się do jego domu, o co ją często prosił i weszła do jego pokoju. Siedział przy stole odwrócony do niej plecami i pisał list. Przyszedł jej nagle do głowy dziewczęcy kaprys — miała dopiero lat dziewiętnaście. Nie zauważył, że otwarte drzwi. Zbliżyła się do niego na palcach i położyła mu lekko rękę na ramieniu.

Jeśli chciała go przestraszyć, udało się to w zupełności, ale przestraszyła się również sama. Skoczył ku niej jak tygrys i prawą ręką chwycił ją za gardło. Równocześnie zmiął papier, który leżał przed nim. Przyglądał się jej przez chwilę. Potem zdumienie i radość pojawiły się na jego konwulsyjnie ściągłej twarzy — twarzy o tak okrutnym wyrazie, że cofnęła się przerażona, jak przed czemś niewidzianem jeszcze nigdy w życiu.

— To ty! — rzekł, składając twarz do uśmiechu. — I pomyśleć, że kiedy przychodzisz do mnie, najdroższa, nie znajdę nic do roboty, jak próbować cię udusić. Pójdź, kochanie! — i wyciągnął ręce. — Muszę to naprawić.

Ale nie ochłonęła jeszcze po niespodziewanym widoku trwośi winowajcy, który wyczytała na jego twarzy.

Jej instynkt kobiecey mówił, że nie była to tylko trwoga mężczyzny, który się przeląkł. Poczucie winy — oto z czem miała do czynienia — poczucie i strach.

— Co się stało, Jack? — zawołała. — Czemuś się tak przestraszył? Oh, Jack, gdybyś miał czyste sumienie, nie przyglądałbyś mi się w ten sposób.

— Prawda, myślałem o innych rzeczach i kiedy podeszłaś do mnie na paluszkach...

— Nie, nie, to było coś więcej, Jack. — Potem zrodziło się w niej nagle podejrzenie. — Pokaż list, któryś pisał.

— Ah, Ettie, nie mogę tego uczynić.

Podejrzenia jej stały się pewnością.

— To list do kobiety! — zawołała. — Jestem tego pewna. Dlaczego byś mi nie chciał go pokazać? Czy to może list do żony? Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś żonaty — ty, obcy, którego nikt nie zna?

— Nie mam żony, Ettie. Przysięgam ci to. Jesteś dla mnie jedyną w świecie kobietą. Klnę się na Mękę Zbawiciela!

Pobladał i mówił z takim przekonaniem, że musiała mu wierzyć.

— A więc dlaczego — zawołała — nie chcesz mi pokazać tego listu?

— Powiem ci najdroższa — rzekł. — Zakazano mi to pod przysięgą i równie, jak nie chciałbym złamać słowa danego tobie, tak chciałbym dotrzymać mojego przyrzeczenia. Jest to sprawa Łoży i nawet dla ciebie musi pozostać tajemnicą. A jeśli cię przestraszyłem, czując dłoń twoją na plecach, czyż nie rozumiesz, że mogła to być również dłoń dektetywa?



Czuła, że mówił prawdę. Ujął ją w ramiona i rozproszył pocałunkami wątpliwości jej i obawy.

— Usiądź przy mnie. Niewygodny to tron dla mojej królowej, ale najlepszy, jakim rozporządza twój kochanek. Postara się dla ciebie kiedyś o ładniejszy, jak sądzę. Jesteś już spokojna?

— Jakżeż mogę być spokojna, Jack, kiedy wiem, że jesteś zbrodniarzem między zbrodniarzami — chociaż nie mogę oznaczyć dnia, w którym zobaczę cię oskarżonym o morderstwo? oto, jak nazwał cię wczoraj jeden z gości Mc. Murdo „węglarz”. — Uczułam to, jak pchnięcie nożem w samo serce.

— Słowa nie świadczą o czynach.

— Ale to była prawda.

— Najdroższa, nie jest znowu tak źle. Jesteśmy biednymi ludźmi, którzy próbują wywalczyć sobie słuszne prawa własnymi sposobami.

Ettie zarzuciła ręce na szyję kochanka.

— Rzuć to, Jack! Dla mnie — dla własnego spokoju, rzuć to! Przyszłam cię o to prosić. Oh, Jack, proszę cię na klęczkach. Na klęczkach błagam cię, rzuć to!

Podniósł ją i uspokoił, tuląc główkę jej do piersi.

— Nie wiesz, najdroższa, o co prosisz. Byłoby to złamaniem przysięgi i sprzeniewierzeniem się towarzyszom. Gdybyś wiedziała, jak sprawy stoją, nie prosiłabyś mnie o to. Zresztą, gdybym chciał, jak to uczynić? Nie przypuszczasz chyba, żeby Łoża pozwoliła odejść człowiekowi, który zna wszystkie jej tajemnice?

— Myślałam o tem, Jack. Uplanowałam wszystko. Ojciec zaoszczędził trochę pieniędzy. Chce rzucić te okolice, gdzie strach przed tymi ludźmi czyni

nasze życie przykrem. Ucieklibyśmy razem do Filadelfji lub Nowego Yorku, gdziebyśmy byli bezpieczni.

Mc. Murdo roześmiał się.

— Łoża ma długie ręce. Czy sądzisz, że nie doścignęłaby nas w Filadelfji lub Nowym Yorku?

— Dobrze, a zatem na Zachód, do Anglii lub do Szwajcarii, skąd przybył ojciec. Gdziebądź, byleby tylko uciec z tej Doliny Trwogi.

Mc. Murdo przypomniał sobie Brata Morrisa.

— Już drugi raz słyszę tę nazwę — rzekł. — Cień jej padł, zdaje się, na wielu z was.

— Życie nasze staje się z każdą chwilą przykrzejsze. Czy sądzisz, że Ted Baldwin przebaczył nam? Czy wątpisz, co by się stało? Gdyby się ciebie nie lękał. Gdybyś widział spojrzenie jego czarnych, głodnych oczu, ilekroć się ze mną spotka!

— Nauczę go lepszych manier, jeśli to zauważę! Ale wierz mi, dziewczyno, nie mogę wyjeżdżać. Nie mogę. Zapamiętaj to sobie raz na zawsze. Ale jeśli pozostawisz mi znalezienie jakiegoś wyjścia, obmyślę sposób wydostania się stąd z honorem.

— Niema tu mowy o honorze.

— Zależy, jak się na to zapatrujesz. Jeśli mi jednak dasz sześć miesięcy czasu, postaram się, abym odjechał, nie potrzebując drugim patrzeć ze wstydem w twarz.

Dziewczyna roześmiała się, uradowana.

— Sześć miesięcy! — zawołała — czy to obietnica?

— Może siedem, lub osiem. Ale, nim rok upłynie, opuścimy dolinę.

Było to wszystko, co Ettie mogła uzyskać, ale zawsze było to coś. Było to, jakby dalekie światło, przenikające przez mroki bezpośredniej przyszłości. Wróciła do domu ojca pierwszy raz weselsza od chwili poznania Mc'a Murdo.

Ktoś mógłby sądzić, że jako członek, powiadamy będzie o wszystkich sprawach organizacji, ale przekonał się wkrótce, że stowarzyszenie było rozleglejsze i bardziej zróżniczkowane, niż sama Loża. Nawet mistrz Mc. Ginty nie wiedział o wielu rzeczach, gdyż w Hobson Path, dalej na tej samej linii, przebywał człowiek, mianowany delegatem na całe hrabstwo, któremu podlegało kilka Łóż i który kierował niemi w sposób samowolny i bezwzględny.

Mc Murdo widział go tylko raz, chytrego, małego, siwowłosego szczura, o śliskich ruchach i skośnym wejrzeniu złośliwych oczu. Nazywał się Evans Pott i nawet wielki mistrz Vernissy odnosił się do niego, jakby z niechęcią i obawą, podobną do obawy, jaką uczuwał wielki Danton do słabowitego lecz niebezpiecznego Robespierre'a.

Pewnego dnia Scanlan, który mieszkał razem z Mc Murdo otrzymał kartkę od Mc Ginty z dołączonym do niej listem Evansa Pott'a. Ten donosił, że posyła dwóch pewnych ludzi, Salwera i Andrewsa, którym polecono działać w sąsiedztwie, chociaż ze względu na dobro sprawy nie podawał bliższych szczegółów. Prosił mistrza o przygotowanie mieszkania i wszelkie ułatwienia do czasu, kiedy przystąpią do czynu. Mc. Ginty dodał, że ponieważ w Domu

Związkowym nikt nie mógł się ukryć, będzie bardzo zobowiązany, jeśli Mc Murdo i Scanlan umieszczą obcych przez kilka dni w swoim mieszkaniu.

Tego samego dnia, wieczorem, przybyli dwaj ludzie z walizkami. Sawler był to człowiek straszny, sprytny, milczący i panujący nad sobą, ubrany w stary, czarny frak, który wraz z miękkim kapeluszem i nieuczesaną, siwą brodą nadawał mu wygląd podróżującego kuznodziei. Towarzysz jego, Andrews, był prawie chłopcem, o wesołej, szczerzej twarzy, z miną człowieka, który wyjechał na urlop i chce go wykorzystać pod każdym względem. Obaj nie pili i zachowywali się jak przykładni członkowie społeczeństwa, wyjawszy, że byli mordercami, którzy niejednokrotnie okazali się znakomitem narzędziem w ręku tegoż zreszenia morderców. Sawler miał już na sumieniu czternaście takich zbrodni, a Andrews, trzy.

Mówili, jak stwierdził Mc Murdo, o swoich dawnych czynach chętnie, i z pewną dumą, jak ludzie, którzy spełnili dobry i bezinteresowny uczynek dla dobra ogółu. Ale nie wspominali ani słowkiem o czekającej ich w najbliższej przyszłości pracy.

— Wybrali nas, ponieważ ani ja, ani ten chłopak nie pijemy — wytłomaczył Sawler. — Moga liczyć napewno, że nie powiemy nic nadto, co potrzeba. Nie bierzcie nam tego za złe, gdyż taki jest rozkaz delegata kradzieży, któremu jesteśmy posłuszni.

— Jesteście między swoimi — rzekł — Scanlan, towarzysz Mca Murdo, kiedy siedzieli razem przy kolacji.

— To prawda i dlatego możemy mówić o zabójstwie Karola Williamsa, Szymona Byrda i naszych

dawniejszych wypadkach. Ale o tej robocie nic nie powiemy, dopóki nie będzie skończoną.

— Jest tu przynajmniej z tuzin takich, z którymi mam na pieńku — rzekł Mc Murdo z przekleństwem. — Przypuszczam, że nie chodzi o Jana Knoxa z Iranhillu? Chciałbym, aby kiedyś dostał, na co zasłużył.

— Nie; to nie on.

— A może Herman Strauss?

— Nie; i on nie.

— Trudno, nie możemy was zmuszać, jeśli nie chcecie powiedzieć, ale jestem bardzo ciekaw.

Sawler uśmiechnął się i wstrząsnął głową. Nie dał się wyciągnąć na słówka. Mimo niechęci swoich gości, Scanlan i Mc Murdo powzięli niezłomną decyzję być obecnymi przy, tak nazwanym przez nich, „kawale”. Kiedy zatem pewnego ranka Mc Murdo usłyszał, że schodzą cicho po schodach, obudził Scanlana i obaj ubrali się czempredzej. Wdziawszy ubrania, przekonali się, że goście ich wymknęli się, pozostawiając drzwi otwarte. Było jeszcze ciemno i w świetle lamp ulicznych dostrzegli obu w pewnej odległości. Pospieszyli za nimi, stąpając cicho przez głęboki śnieg.

Dom ich stał prawie na skraju miasta tak, że wkrótce znaleźli się poza jego obrębem. Czekają tu trzech ludzi z którymi Sawler i Andrews odbyli krótką, gorączkową naradę. Potem ruszyli razem. Widocznie była to jakaś poważna robota, która wymagała większej liczby uczestników. Zmiejsca tego rozchodziło się kilka dróg, prowadzących do różnych kopalni.

Obcy skierowali się na drogę do Crow Chil, poważnego przedsięwzięcia, będącego w dobrych

rękach, które dzięki energicznemu i odważnemu kierownikowi z Nowej Anglii, Jozjaszowi H. Dumowi udało utrzymać porządek i dyscyplinę w czasie długiego panowania terroru.

Zaczęło świtać i na czarnej ścieżce ukazał się szereg idących powoli w grupach i pojedynczo robotników.

Mc Murdo i Scanlan przyłączyli się do nich, nie tracąc z oczu mężczyzn, za którymi podążali. Gęsta mgła leżała nad nimi, a z pośród niej doleciał nagły gwizd parowej syreny. Był to sygnał rozbrzmiewający na dziesięć minut przed opuszczeniem w dół klatek i rozpoczęciem dziennej roboty.

Kiedy weszli na otwartą przestrzeń dokoła szybu, było tam już około stu oczekujących górników, którzy tupali nogami i chuchali w palce, gdyż mróz był siarczysty. Obcy stanęli razem w cieniu budynku, gdzie się mieściły maszyny. Scanla i Mc. Murdo weszli na kupę żużli, skąd wszystko widać było, jak na dłoni. Ujrzeni inżyniera górniczego wielkiego, brodatego Szkota, nazwiskiem Merzies, który wyszedłszy z hali maszyn, zagwizdał na swojej świstawce dając znak do opuszczenia klatek. W tej samej chwili podszedł szybkim krokiem do szybu wysoki niezgrabny, młody mężczyzna z wygoloną, surową twarzą. Oczy jego padły na tożącą pod budynkiem milczącą, nieruchomą grupę. Ludzie nacisnęli na oczy kapelusze i podnieśli kołnierze, aby nie pokazywać twarzy. Przez chwilę poczucie śmierci położyło swoją zimną rękę na sercu kierownika. Ale otrząsnął się natychmiast i widział tylko to, co mu nakazywał obowiązek wobec intruzów.

— Kto wy jesteście? — zapytał, podchodząc bliżej. — Poco się tu włóczycie?

Nie było odpowiedzi, ale młody Andrews wystąpił naprzód i strzelił mu w brzuch. Stu oczekujących górników stało bez ruchu i bez sił, sparaliżowani. Kierownik chwycił rękami za ranę i zgiął się w pół. Potem chciał się cofnąć, ale drugi z morderców dał ognia, upadł zatem na bok, na kupę żuzli, kopiąc nogami i drapiąc ziemię paznokciami. Szkot Merzies ryknął z gniewu na ten widok i rzucił się na morderców z żelazną klamrą, ale padł u ich stóp nieżywy, trafiony dwiema kulami, wymierzonymi w twarz. Kilku z górników wystąpiło naprzód, rozległ się nieartykułowany okrzyk gniewu i żalu, ale dwaj obcy zaczęli strzelać z sześciostrzałowych rewolwerów po nad głowy tłumu, który rozproszył się i pierzchnął ku domom w Vermisie. Kiedy kilku odważniejszych ochłonęło i zawróciło do kopalni, banda morderców zniknęła już we mgle porannej tak, że żaden świadek nie mógłby stwierdzić pod przysięgą tożsamości ludzi, którzy wobec stu widzów dokonali tej podwójnej zbrodni.

Scanlan i Mc Murdo zawrócili do domu; Scanlan trochę przybity, gdyż było to pierwsze morderstwo, które widział na własne oczy, a wydawało mu się ono nadspodziewanie mniej zabawne. Straszliwe krzyki żony kierownika ścigały ich, kiedy spieszyli do miasta. Mc Murdo był milczący i zamysłony, ale nie przejmował się słabością swojego towarzysza.

— To tylko wojna — powtarzał. — Wojna między nami i nimi. Bijemy, jak się uda.

Nocy tej, na posiedzeniu Łoży w Domu Związkowym, było bardzo wesoło, nie tylko z powodu zabicia kierownika i inżyniera w kopalni Crow Hill, które postawiło tę organizację na równi z innymi terroryzowanymi i gnębiętymi towarzystwami w okręgu, ale

i z powodu dalekiego triumfu, osiągniętego siłami samej Łoży. Okazało się, że delegat na hrabstwo, posyłając na robotę w Vernissie pięciu pewnych ludzi, zażądał wzamian, aby wybrano w sekcji trzech ludzi z Vernissy i wysłano ich celem zabicia Williama Hales z Stake Royal, jednego z najpopularniejszych i najlepiej znanych właścicieli kopalń w okręgu Gilmeron, człowieka, o którym sądzono, że nie ma na świecie wroga, gdyż był pod każdym względem wzorem pracodawcy. Domagał się on jednak rzetelnej pracy i dlatego oddalił kilku pijaków i leniwych employes, którzy byli członkami wszechmocnego związku. Ostrzeżenia, przybijane do drzwi nie osłabiły jego energii i z tego powodu skazał sam siebie na śmierć, którą znalazł w wolnym, cywilizowanym kraju.

Wyrok wykonano w stosownym czasie. Ted Baldwin, który siedział rozparty na honorowym miejscu obok mistrza, był przywódcą partji. Jego zaczerwieniona twarz i szklane, krwią nabiegłe oczy świadczyły o nieprzespanej nocy i nadużyciu trunków. Noc poprzednią spędził z dwoma swoimi towarzyszami w górach. Byli przemoczeni i nieuczesani. Ale żaden bohater, wracający z niebezpiecznej wyprawy nie spotkałby się z gorętszym przywitaniem ze strony towarzyszy. O przygodach ich mówiono ciągle wśród okrzyków zachwytu i wybuchów śmiechu. Czekali, aż ich ofiara powróci o zmierzchu do domu, urządziwszy na nią zasadzkę na szczycie stromego pagórka, na który koń jej wspinać się musiał bardzo powoli. Hales był tak otulony w futro przed zimnem, że nie mógł nawet chwycić za pistolet. Ściągnęli go z konia i zabili kilkoma wystrzałami.



Nikt z nich nie znał tego człowieka, ale na tem właśnie polega wieczna tragedia zabójstwa, chodziło im zresztą o pokazanie „węglarzom” z Gilmertonu, że można polegać na ludziach z Vernissy. Spotkali się z pewną przeszkodą, gdyż w chwili, kiedy strzelali jeszcze z rewolwerów do milczącego ciała, wyjechał na pagórek jakiś mężczyzna z żoną; byli to jednak ludzie Bogu ducha winni i nie wiedzący nic o strzałach w kopalniach, dlatego kazano im cofnąć się i zachowywać się spokojnie, grożąc, że może ich spotkać coś złego. I tak pozostawiono skrwawioną postać, jako ostrzeżenie dla wszystkich równie bezlitosnych pracodawców, a trzech szlachetnych mścicieli uciekli w góry, gdzie dziewicza Przyroda sąsiaduje bezpośrednio z kominami i kupami żużli.

Był to dla „węglarzy” wielki dzień. Dolinę spowijały coraz to gęstsze ciemności. Równie, jak mądry generał, który podwaja wysiłki w chwili zwycięstwa, aby wrogowie jego nie mieli czasu ochłonąć po klęsce, tak i mistrz Mac Ginty, przeglądając teren operacyjny złośliwymi i ponuremi oczyma, postanowił jednak przypuścić nowy atak na swoich przeciwników. Tej samej nocy, kiedy wólpijana kompanja odeszła do domów, pólzył dłoń na ramieniu Mc'a Murdo i zaprowadził go do bocznego pokoiku, gdzie wznowił swoją pierwszą rozmowę.

— Wiesz, chłopcze — rzekł. — Mam dla ciebie wreszcie odpowiednią robotę. Opracowanie planu składam w twoje ręce.

— Jestem z tego dumny — odpowiedział Mc Murdo.

— Możesz wziąć z sobą dwóch ludzi. — Mandersa i Redy'ego. Uprzedziłem ich już. Nie mieliśmy

ani chwili spokoju w tym okręgu od czasu przybycia Chestera i Wilcoxa i wszystkie Łoże węglowe będą ci wdzięczne, jeśli go zakartupisz.

— Postaram się o to. Cóż to za człowiek i gdzie go znajde?

Mc Ginty wyjął z kąta ust swoje wieczne, wpółwypalone i wpółprzycięte cygaro i zaczął gryzmolić na kartce wyrwanej z notesu.

— Jest on głównym kierownikiem z Iron Duk Company. To dzielny obywatel, dawny sierżant w wojsku, pokryty bliznami i siwizną. Zrobiliśmy na niego dwa zamachy, ale szczęście nam nie dopisało i przy tej sposobności zginął Jur Casnaway. Teraz ty musisz się do niego zabrać. Mieszka w samotnym domku na linii kolejki Iron Duke, jak to widzisz na tym szkicu. W pobliżu nie ma żadnych innych mieszkań. We dnie trudno do niego przystąpić. Chodzi uzbrojony, a strzela celnie i bez ostrzeżenia. Ale w nocy... Mieszka z żoną, trojgiem dzieci i służącą. Nie możesz wybierać. Wszyscy, albo nikt. Jeśli uda ci się podłożyć skrzynię z prochem pod drzwi frontowe, skrzynkę zaopatrzoną w długie lont...

— Co zrobił ten człowiek?

— Wszak mówiłem, że zastrzelił Jura Carnaway'a.

— Dlaczego go zastrzelił?

— Cóż to, u diabła, ma znaczyć? Carnaway kręcił się w nocy koło jego domu, a on go zastrzelił. To dosyć dla mnie i dla ciebie. Masz z nim zrobić porządek.

— A dwie kobiety i dzieci. Czy mam je również wysadzić w powietrze?

— Także, inaczej go nie dostaniemy.

— Ale wszak one nic nie zawiniły?

— Co to za sposób mówienia? Cofasz się?

— Zwolna, panie radco, zwolna. Czyż dałem kiedy powód, abym naraził się na przypuszczenie, że cofnę się przed wykonaniem rozkazu mistrza mojej Łoży? To pańska rzecz decydować, czy to słuszne, czy nie słuszne.

— A zatem zrobisz to.

— Rzecz prosta, że zrobię.

— Kiedy?

— Musisz mi pan dać noc lub dwie, abym sobie dom obejrzał i ułożył plan. Potem...

— Dobrze — rzekł Mc Ginty, ściskając mu rękę. Pozostawiam ci rozpatrzenie szczegółów. Będzie to wielki dzień, kiedy przyniesiesz nam dobrą wiadomość. To ostatnie uderzenie, które ich rzuci pod nasze stopy.

Mc. Murdo myślał długo i głęboko nad sprawą, której wykonanie złożono tak niespodziewanie w jego ręce. Samotny dom, w którym żył Chester Wilcox, znajdował się w odległości pięciu mil w pobliskiej dolinie. Jeszcze tej samej nocy wybrał się sam przygotować wszystko do zamachu. Dopiero o świcie wrócił z rekonesansu. Na drugi dzień odbył krótką naradę z Mandersem i Reilly'em, dwoma młodzieńcami bez skrupułów, którzy byli w tak wesołym usposobieniu, jakby chodziło o polowanie na rogacza. Nazajutrz w nocy spotkali się poza miastem wszyscy trzej uzbrojeni, a jeden z nich niosący worek z prochem, jakiego używano w kamieniołomach. Była już druga w nocy, kiedy przybyli do samotnego domku. Noc była wietrzna, a strzępione chmury przesuwwały się szybko wzdłuż tarczy księżyca w trzeciej kwadrze. Ostrzegano ich przed psami, dlatego posuwali się naprzód ostrożnie, z odwiedzionymi kurkami

pistoletów. Ale nie było słyhać żadnego szmeru, oprócz wycia wichru i żadnego poruszenia za wyjąt-  
kiem poszumu gałęzi przed nimi.

Murdo podkradł się do drzwi samotnego domu, przykładając do nich ucho, ale wewnątrz panowała cisza. Wobec tego podłożył pod nie skrzynkę z prochem, wywiercił w niej nożem dziurę i przymocował lont. Kiedy się ten dobrze zapalił, uciekł z swoimi dwoma towarzyszami i był już dość daleko, w kępie drzew, kiedy głucho, potężny grzmot walącego się budynku powiadomił go, że robota ich została ukończona. Nie było wspanialszej roboty w krwawych rocznikach towarzystwa. Ale dzieło tak dodrze obmyślane i śmiało wykonane poszło jednak na marne!

Ostrzeżony losem rozlicznych ofiar, wiedząc, że grozi mu zaślada, Chester Wilcox uszedł z rodziną jeszcze na dzień przedtem w bezpieczne i mniej znane okolice, gdzie oddał się pod opiekę policji. Proch rozsadzili tylko pusty dom, a srogi, stary sierżant wpajał dalej zasady karności w górników z Iron Duke.

— Zostawcie mi go, — rzekł Mc Murdo. — To mój człowiek i dostanę go napewno, choćbym miał czekać cały rok.

Na pełnem zebraniu Łoży wyrażono mu wdzięczność i zaufanie i na pewien czas sprawa przycichła. Kiedy w kilka tygodni później gazety doniosły, że Wilcoxa zastrzelono z zasadzki, było publiczną tajemnicą, że Mc Murdo dokończył rozpoczętej roboty.

Takimi metodami operowało Stowarzyszenie Wolnomularzy i takie były czyny „węglarzy”, dzięki którym utrwalili oni panowanie terroru w wielkim i bogatym okręgu, nękanym przez tak długi okres czasu ich groźnem istnieniem. Poco plamić te karty

opisywaniem dalszych zbrodni? Czyż nie wykazałem dobitnie, co to byli za ludzie i na czym polegały ich metody? Dzieje zapisały ich czyny, a o szczegółach dowiedzieć się można z odnośnych sprawozdań. Można dowiedzieć się z nich o zastrzeleniu policjantów Hunta i Ewansa, ponieważ ośmielili się zaaresztować dwóch członków stowarzyszenia — podwójnem morderstwie, uplanowaniem w Łoży Vernissy i dokonaniem z zimną krwią na bezbronnych i bezsilnych ludziach. Można tam wyczytać również o zastrzeleniu pani Larbey, która pielęgnowała męża, pobitego śmiertelnie z rozkazu mistrza Mc'a Ginty. Zabójstwo starszego Jenkinsa i wkrótce potem brata jego, okaleczenie Jakóba Murdocha, wysadzenie w powietrze rodziny Staphonsów i morderstwo Stendhalów, wszystko to następowało szybko po sobie tej samej strasznej zimy. Dolina Trwoگی leżała spowita w grubych ciemnościach. Nadeszła wiosna z jej wezbranymi potokami i kwitnącemi drzewami. Cała Przyroda spętana tak długo w żelaznym uścisku, cieszyła się nadzieją, ale dla mężczyzn i kobiet, żyjących w jarzmie terroru, nie było nadziei. Nigdy nie zgromadziły się nad nimi tak gęste i groźne chmury, jak w wczesnem lecie 1875 roku.

## ROZDZIAŁ XIII.

### Niebezpieczeństwo.

Było to u szczytu panowania terroru. Mc Murdo, który został już Dziekanem i miał dobre widoki na mistrza kiedyś po Mc. Ginty, był teraz tak niezbędnym na zgromadzeniach towarzyszy, że nie robiono nic bez jego rady i pomocy. Im popularniejszym się jednak stawał wśród Wolnomularzy, tem groźniejszymi okrzykami witano go na ulicach Vernissy. Mimo terroru, obywatele odważyli się utworzyć związek, celem obrony przed gnębicielami. Do Łoży doszły wieści o tajnych zebraniach w biurze Gońca i o rozdzielaniu broni palnej między uczciwych obywateli. Ale wiadomości te nie zaniepokoiły Mca Ginty i jego ludzi. Mieli za sobą liczbę, byli zdecydowani na wszystko i dobrze uzbrojeni. Ich przeciwnicy byli rozproszeni i bezsilni. Wszystko skończy się, jak dawniej, na jałowej gadaninie i ewentualnych bezowocnych aresztowaniach. Tak mówił Mc Ginty, Mc Murdo i inni śmielszej natury.

Było to w sobotę pewnego majowego wieczoru. W sobotnią noc odbywały się zawsze zebrania Łoży i Mc Murdo miał zamiar wyjść właśnie z domu, aby

tam podążyć, kiedy Morris, słabeusz Zakonu, przyszedł go odwiedzić. Bruzdy na czole jego świadczyły o trosce, a na dobrodusznej twarzy malował się strach.

— Czy mogę mówić z panem otwarcie, Mc Murdo?

— Rzecz prosta.

— Nie zapomniałem, że kiedyś wypowiadałem się przed panem i że zatrzymałeś to przy sobie, chociaż sam mistrz przyszedł wypytywać pana o naszą rozmowę.

— Nie mógłbym nadużyć pańskiego zaufania. Nie zgadzałem się jednak z panem.

— Wiem to dobrze. Ale tylko z panem mogę pomówić szczerze, bez narażenia się. Mam tu pewien sekret — położył rękę na piersiach — który mnie pali. Chciałbym aby dowiedział się o nim ktoś inny, nie ja. Jeśli go wyjawię, przyjdzie do morderstwa, to pewne. Jeśli tego nie uczynię, czeka nas zguba! Boże pomóż mi, gdyż tracę zmysły!

Mc. Murdo spojrzął na niego surowo. Człowiek ten drżał na całym ciele. Nalał nieco whisky do szklanki i podał mu.

— To dobre lekarstwo dla takich, jak pan — rzekł. — A teraz słucham.

Morris wypił, a na bladą jego twarz wystąpił delikatny rumieniec.

— Mogę powiedzieć panu wszystko w jednym zdaniu — rzekł. — Detektyw jest na naszym tropie.

Mc Murdo wpatrzył się w niego zdumiony.

— Człowieku, tyś chyba nieprzytomny! — rzekł. — Czyż nie roi się tu od policjantów i detektywów, a co nam to szkodzi?

— Nie, nie; to nie ktoś z okręgu. Znamy ich, jak pan mówi, wszystkich i wiemy, że nic nam nie mogą uczynić. Ale, czy słyszał pan kiedy o Pinkertonach?

— Czytałem coś o nich.

Otóż, może mi pan wierzyć, że skoro oni są na naszym tropie, nie mamy żadnych widoków. Nie jest to jakieś nie troszczące się o wynik, rządowe przedsiębiorstwo. Jest to bardzo poważna agencja, której chodzi o wyniki i która pracuje tak długo, aż siłą albo sprytem wyniki te uzyska. Jeśli sprawą tą zajął się jeden z ludzi Pinkertona, jesteśmy wszyscy zgubieni.

— Trzeba go zabić.

— To pierwsza myśl pańska. A zatem chcesz ją pan przedstawić Łoży? Czy nie mówiłem, że skończy się to morderstwem?

— I cóż z tego? Czyż morderstwo nie jest tu czemś pospolitem?

— To prawda, ale nie chciałem przeznaczać kogoś na zamordowanie. Nie będę miał już ani chwili spokoju. A jednak chodzi o nasze głowy. Na miłość Boską, co mam czynić?

Wiercił się na krześle niezdecydowany. Ale słowa jego poruszyły Mc'a Murdo do żywego. Było oczywiście, że podziela zdanie drugiego co do niebezpieczeństwa i konieczności opanowania go. Chwycił Morrisa za ramię i wstrząsnął nim.

— Słuchaj, człowieku — zawołał, prawie krzyżąc w podnieceniu — nic nie zyskasz siedząc tu i narzekając, jak baba. Przedstaw mi fakty! Któż to taki? Gdzie jest? W jaki sposób dowiedziałeś się o nim? Dlaczego do mnie przychodzisz?



— Przyszedłem do pana, gdyż pan tylko udzieli mi rady. Mówilem panu, że miałem sklep na Wschodzie, zanim tu przybyłem. Pozostawiłem tam dobrych przyjaciół, z których jeden pracuje w urzędzie telegraficznym. Oto list, który mi przysłał wczoraj. Czytaj pan ten ustęp od góry!

Oto co przeczytał Mc Murdo:

„Co dzieje się z waszymi „węglarzami”. Czytamy o nich wciąż w gazetach. Mówiąc między nami, oczekuję od was wkrótce wiadomości. Pięć wielkich towarzystw i dwa towarzystwa kolejowe zabrało się na serjo do rzeczy. Zabrało się i sądzę, że się im powiedzie. Poczynili daleko sięgające przygotowania. Pinkerton pracuje na ich zlecenie, a jego najlepszy detektyw Birdy Edwards działa. Najwyższy już czas, aby z tem skończyć“.

— A teraz przeczytaj pan postscriptum.

„Rzecz prosta, o tem, co piszę, dowiedziałem się w służbie i proszę o tajemnicę. Z dziwnymi, szyfrowanymi depezsami w tej sprawie ma człowiek co dzień do czynienia, ale się w nich nie rozeznaje“.

Mc Murdo siedział przez pewien czas w milczeniu, trzymając list w drżących rękach. Mgła rozpierchła się na chwilę, odsłaniając przed nim przejaśnienie.

— Czy wie ktoś więcej o tym liście? — zapytał.

— Nie wspominałem o nim nikomu.

— A ten człowiek — pański przyjaciel — czy ma tu jeszcze jakich znajomych, do których by mógł pisać w tej sprawie?

— Tak, sądzę, że zna tu jedną lub dwie osoby.

— Z Łoży?

— Bardzo prawdopodobne.

— Pytam się, gdyż mógłbym podać rysopis tego Birdy Edwarda. Moglibyśmy wówczas wpaść na trop jego.

— Tak, to możliwe. Ale nie sądzę, aby go znał. Pisze mi właśnie, że dowiedział się o tem w służbie. Skąd by mógł znać detektywa z agencji Pinkertona?

Mc Murdo drgnął nagle.

— Mam go! — zawołał. — Jakiż głupiec ze mnie, że dotąd tego nie rozumiałem. Na Boga, mamy szczęście! Unieruchomimy go, zanim coś przedsięwzięmie. Słuchaj, Morris, zostawisz mi ten list.

— Z prawdziwą przyjemnością.

— Zajmę się tą sprawą. Możesz pan pozostać w ukryciu i zdać się na mnie. Nie wymienię nawet pańskiego nazwiska. Biorę wszystko na siebie, jakbym sam list otrzymał. Czy jesteś pan zadowolony?

— O to chciałem właśnie prosić.

— A zatem postanowione. Teraz pójdę do Łoży. Postaramy się niebawem okryć żałobą starego Pinkertona.

— Czybyście chcieli zabić tego człowieka?

— Im mniej będziesz wiedział, bracie Morris, tem spokojniejszy będziesz miał sen i tem wolniejszą głowę. Nie pytaj o nic i pozostaw rzeczy ich losowi. Sprawą zajmę się sam.

Morris wstrząsnął smutno głową przy pożegnaniu.

— Czuję jego krew na rękach — jęknął.

— Samoobrona nie **jest**, w każdym razie, morderstwem — rzekł Mc. Murdo, uśmiechając się ponuro. — Chodzi o niego lub o nas. Jestem przekonany, że człowiek ten zgubiłby nas wszystkich, gdyby został dłużej w dolinie. Bracie Morris, gotowiliśmy wy-

brać cię jeszcze mistrzem, gdyż, zaprawdę uratowa-  
łeś Łożę.

A jednak było widocznem z jego postępowania,  
że zapatrywał się na sprawę poważniej, niżby to mo-  
żna było wnioskować z jego słów. Było to może po-  
czucie winy, może sława, jaką się cieszyła ajencja  
Pinkertona, może też wieść, że potężne, bogate to-  
warzystwa postawiły sobie za cel zniszczenie węglar-  
rzy; bądź co bądź jednak postępowanie jego świad-  
czyło, że przygotowany był na najgorsze. Zanim opu-  
ścił dom, zniszczył wszystkie papiery, któreby go  
mogły skompromitować. Potem odetchnął zadowo-  
lony, gdyż uczuł się bezpieczny; a jednak myśl o nie-  
bezpieczeństwie musiała mu ciążyć, gdyż w drodze  
do Łoży zaglądnął do Shafterów. Wstęp do domu  
miał wzbroniony, ale kiedy zapukał do okna, Ettie  
wyszła na jego spotkanie. Z oczu kochanka jej zni-  
knął wyraz djabelskiego, irlandzkiego hultajstwa.  
Z poważnej jego twarzy wyczytała niebezpieczeń-  
stwo.

— Coś się stało! — zawołała. Oh, Jack, grozi  
ci niebezpieczeństwo!

— Nic wielkiego, moja najsłodsza. A jednak  
może roztropniej będzie, abyśmy się ruszyli, zanim  
nie będzie gorzej.

— Ruszyli?

— Obiecałem ci raz, że wyjadę kiedyś. Sądzę,  
że to stosowna pora. Otrzymałem dziś wieczór wie-  
ści — złe wieści — i czuję zbliżające się niebezpie-  
czeństwo.

— Policja?

— Tak jest, Pinkerton. Ale nie masz, najdroż-  
sza, pojęcia, czem to pachnie i co to oznacza dla  
mnie i podobnych mnie. Jestem zbyt skompromito-

wany i muszę się pospieszyć. Mówiłaś, że wyjedziesz ze mną.

— Oh, Jack, byłby to dla ciebie ratunek.

— Jestem uczciwy pod pewnym względem, Ettie. Nie uszczknąłbym włosa z twojej drogiej główki za żadne skarby świata i nie ściągnąłbym z złocistego tronu ponad chmurami, gdzie cię zawsze widzę. Czy mi zaufasz?

Złożyła dłoń swoją w jego dłoń bez słowa.

— Dobrze, a zatem słuchaj, co ci powiem i zrób, co ci każe, gdyż zaprawdę jest to dla nas jedyne wyjście. W dolinie zajądą dziwne zmiany. Czuję to przez skórę. Wielu będzie musiało szukać dla siebie ratunku. Ja, w każdym razie, jeśli wyjadę, w dzień, czy w nocy, musisz pójść ze mną!

— Przyjadę do ciebie Jack.

— Nie, nie; musisz pójść ze mną razem. Jeśli ta dolina zostanie dla mnie zamkniętą i nie będę mógł do niej powrócić, jakżeż mógłbym cię tu zostawić podczas, gdy ja kryć się będę przed policją, bez nadziei skomunikowania się z tobą? Musisz jechać razem ze mną. Znam w miejscu, skąd przybywam, dobrą kobietę, u której cię zostawię, dopóki się nie pobierzemy. Pojedziesz ze mną?

— Tak, Jack, pojedę.

— Niech cię Bóg błogosławi za wiarę, jaką we mnie pokładasz. Bo bym z piekła nie wyrwał, gdybym jej nadużył. A teraz zapamiętaj sobie, Ettie, jedno, że jeśli napiszę do ciebie chociaż jedno słowo, rzuc wszystko skoro je otrzymasz, przyjdź wprost do poczekalni na dworzec i czekaj tam na mnie.

— Czy w dzień, czy w nocy, dotrzymam słowa, Jack.

Uspokojony cokolwiek pierwszym przygotowaniem do ucieczki, Mc Murdo udał się na posiedzenie Łoży. Zebranie się już zaczęło i tylko dzięki skomplikowanym znakom i odpowiedziom na nie przebyły zewnętrzne i wewnętrzne strażę, które go pilnowały. Szmer zadowolenia i radości przywitał go w wejściu. Wielka sala była przepełniona i w kłębach dymu tytoniowego ujrzał kudłatą, czarną grzywę mistrza, okrutną, nieprzyjemną twarz Baldwina, sępie oblicze sekretarza Harway'a i z tuzin innych przywódców Łoży. Ucieszył się, że wszyscy będą się mogli naradzić nad przyniesionymi przez niego wieściami.

— Cieszy nas, że cię widzimy, bracie! — zawołał przewodniczący. — Mamy do rozpatrzenia sprawę, która wymaga sądu Salomonowego.

— Chodzi o Landera i Egana — wyjaśnił jego sąsiad, kiedy już zajął miejsce. — Domagają się obaj nagrody, wyznaczonej przez Łożę za zabicie starego Wabbe, tam w Stylestownie, ale któż może powiedzieć od czyjej kuli zginął?

Mc Murdo wstał z miejsca i podniósł rękę w górę. Wyraz twarzy jego przykuł uwagę zebranych. Nastąpiła śmiertelna cisza oczekiwania.

— Czcigodny mistrzu, — rzekł głosem uroczystym — chodzi o sprawę niecierpiącą zwłoki.

— Brat Mc Murdo prosi o głos w sprawie niecierpiącej zwłoki — rzekł Mc Ginty. W myśl obowiązujących w Łoży praw ma pierwszeństwo przed innymi. Słuchamy cię, bracie.

Mc Murdo wyjął list z kieszeni.

— Czcigodny mistrzu i wy bracia — rzekł. — Przynoszę dzisiaj złe nowiny, ale lepiej abyście je znali i omówili, niż żeby cios ten spadł bez ostrze-

zenia, co by nas zgubiło. Otrzymałem wiadomość, że najsiłniejsze i najbogatsze towarzystwa w tym stanie porozumiały się ze sobą w sprawie zniszczenia nas i że w tej chwili w dolinie pracuje detektyw Pinkertona, niejaki Birdy Edwards, który zbiera dowody, aby wysłać na stryczek wielu z pomiędzy nas, a każdego z zebranych w tym pokoju zepchnąć do więzienia. Oto sprawa do omówienia i dlatego prosiłem o głos.

W pokoju zaległa śmiertelna cisza. Przerwał ją przewodniczący.

— Oto treść listu, który dostałem w swoje ręce — rzekł Mc. Murdo. Przeczytał głośno odnośny ustęp. — Dałem słowo honoru, że nie podam bliższych szczegółów w sprawie listu, ale zapewniam, że nie ma w nim pozatem nic takiego, co by mogło Łożę zainteresować. Przedstawiam wam ten wypadek tak, jak do mnie doszedł.

— Pozwolę sobie nadmienić, panie przewodniczący — rzekł jeden ze starszych braci — że słyszałem już o Birdy Edwardsie i że cieszy się on opinią najlepszego z ludzi Pinkertona.

— Czy zna go kto z widzenia? — zapytał Mc. Ginty.

— Tak jest — rzekł Mc. Murdo. — Ja go znam.

W sali dał się słyszeć szmer zdumienia.

— Sądzę, że mamy go w rękę — mówił dalej z wesołym uśmiechem na twarzy. — Jeśli będziemy działać szybko i roztropnie, załatwimy się z nim krótką drogą. Jeśli mi zaufacie i pomożecie, nie potrzebujemy się tak bardzo lękać.

— Ale czego się mamy wogóle lękać? Cóż on może o nas wiedzieć?

— Możliwy tak mówić, gdyby wszyscy byli tak pewni, jak pan, panie radco. Ale człowiek ten ma za sobą miliony kapitalistów. Czy sądzisz, że nie znajdzie się we wszystkich naszych Łóżach jeden słabszy brat, który da się kupić? Stanie się panem naszych tajemnic — może się już stał. Na to jest tylko jedno pewne lekarstwo.

— Żeby już nigdy nie opuścił doliny — rzekł Baldwin.

Mc Murdo skinął głową.

— Dobra rada, Bracie Baldwinie — rzekł. — Często zachodziły między nami różnice, ale dzisiejszej nocy masz słuszość.

— Gdzież on jest? Jak się o tem dowiemy?

— Czcigodny mistrzu — rzekł poważnie Mc Murdo. — Chciałem zwrócić twoją uwagę, że jest to dla nas zbyt żywotna sprawa, aby o niej mówić na pełnem zebraniu Łoży. Strzeż Boże, żebym chciał wyrazić nieufność któremu z obecnych tutaj, jeśli jednak tylko słowo dojdzie do uszu tego człowieka, stracimy wszelkie szanse schwytania go. Chciałem prosić Łożę o wybranie ściślejszego komitetu, samego pana przewodniczącego, jeśli mogę proponować, obecnego tu Brata Baldwina i pięciu innych. Wówczas powiem otwarcie, co wiem i co, zdaniem mojem, należy uczynić.

Propozycję przyjęto bez dyskusji i wybrano komitet. Oprócz przewodniczącego i Baldwina wchodzili w skład jego sekretarz Harraway, o sępiej twarzy, tygrys Cormac, brutalny, młodociany morderca, skarbnik Carter i bracia Willaby, odważni i zdeterminowani ludzie, którzy byli gotowi na wszystko.

Zwyczajne zebranie towarzyskie Łoży było krótkie i niewesołe, gdyż na duszy ludzi ciążyła troska

i wielu dopiero po raz pierwszy ujrzało chmurę karzącego Prawa na pogodnym niebie, pod którem żyli tak długo. Męki, jakie zadawali innym stały się czemś tak nieodłącznym w ich życiu, że myśl o zapłacie za nie uleciała daleko, to też przeraziło ich tem więcej jej nagłe zjawienie się. Odeszli wcześniej zostawiwszy przywódców na naradzie.

— Teraz, Mc Murdo — rzekł Mc Ginty, kiedy już byli sami. Siedmiu mężczyzn siedziało w fotelach, jak wmurowani.

— Wspomniałem, że znam Birdy Edwardsa — objaśnił Mc. Murdo. — Nie potrzebuję wam mówić, że nie przebywa tu pod swoim nazwiskiem. To dzielny człowiek, przyznaję, ale nie popełnia szaleństw. Mieszka tu pod nazwiskiem Steve Wilsona w Hobson's Patch.

— Skąd wiesz o tem.

— Ponieważ z nim rozmawiałem. Nie zastanawiałem się wówczas nad tem i nie przyszłoby mi to do głowy, gdyby nie list, ale teraz jestem pewny. Spotkałem się z nim w pociągu we wtorek. Mówił, że jest dziennikarzem. Wierzyłem mu przez chwilę. Pragnął dowiedzieć się możliwie wszystkiego o „węglarzach“ i tak zwanych przez niego „napadach“ dla „New York Press“. Zadawał mi rozmaite pytania, aby coś przesłać do gazety. Możecie być pewni, że nic nie powiedziałem. „Zapłaciłbym i to dobrze“, rzekł, „gdybym dowiedział się czegoś odpowiedniego dla redaktora“. Powiedziałem mu coś, o czem sądziłem, że będzie się mu podobać, a on wręczył mi czek na dwadzieścia dolarów w nagrodę za moje informacje. „Dostanie pan dziesięć razy tyle — rzekł — jeśli postarasz się o to, co pragnę“.

— I cóż mu wtedy powiedziałeś?



— Wszystko, co się tylko dało.

— Skąd wiesz, że to nie był dziennikarz?

— Powiem wam. Wysiadł w Hobson's Patch i ja również. Udałem się przypadkiem do urzędu telegraficznego i ujrzałem że właśnie stamtąd wychodził.

— Powinniśmy za to żądać podwójnej zapłaty — rzekł urzędnik, po jego wyjściu. — Sądzę, że powinniście — powiedziałem. — Wypełnił blankiet czemś, co było dla nas chińszczyzną. Posyła codzień całą taką stronę — rzekł urzędnik. — Tak — powiedziałem. — To specjalne wiadomości dla jego gazety, których przejęcia się lęka. — Tak myślał telegrafista, chociaż ja myślałem już wówczas coś zgoła innego.

— Jestem pewny, że masz słuszność! — rzekł Mc Ginty. — Ale co mamy robić?

— Dlaczegoż go nie unieruchomić odrazu? — poddał ktoś.

— Tak, im wcześniej, tem lepiej.

— Wyruszyłbym natychmiast, gdybym wiedział, gdzie go szukać — rzekł. Mc. Murdo. Jest w Hobson's Patch, ale nie wiem, gdzie mieszka. Mam jednak pewien plan, o ile tylko się na niego zgodzicie.

— A więc?

— Wybiorę się jutro rano do Patch. Odszukam go przez urzędnika w biurze telegraficznym. Przypuszczam, że mi poda jego adres. Potem powiem mu, że jestem sam Wolnomularzem. Obiecuję mu za pewną cenę wydać wszystkie tajemnice Łoży. Możecie być pewni, że się na to złapie. Powiem mu, że mam papiery w domu, ale, że zbyt lękam się o swoje życie, aby pozwolić mu przyjść w czasie, kiedy po domu kręca się ludzie. Przyzna mi słusz-

ność! Powiem, aby przyszedł do mnie o dziesiątej w nocy i że pokażę mu wszystko. Jestem przekonany, że się zgodzi.

— A zatem?

— Resztę obmyślicie sami. Dom wdowy Mac Namara stoi na uboczu. Ona sama jest pewną, jak stal i głucha, jak pień. W domu jest tylko Scanlan i ja. Jeśli mi przyrzeknie przyjść — a o tem was powiadomię — zaproszę was siedmiu do siebie na dziewiątą. Wpuścimy go do środka. Jeśli wyjdzie żywy — no, to może mówić, że Birdy Edwards ma szczęście niebywałe.

— Będzie wkrótce do objęcia posada u Pinkertonów, jeśli się nie mylę — rzekł Mc Ginty. — A zatem postanowione, Mc Murdo. Jutro o dziesiątej będziemy u ciebie. Skoro raz zamkniesz drzwi za nim, resztę możesz nam pozostawić.

## ROZDZIAŁ XII.

### Zasadzka na Birdy Edwardsa.

Mc Murdo miał słuszną. Dom, w którym żył, stał na uboczu i nadawał się wyśmienicie do uplanowanej zbrodni. Stał na skraju miasta, zdala od gościńca. W każdym innym wypadku spiskowcy wywołaliby poprostu swojego człowieka, jak to już nieraz bywało i podziurawiliby mu ciało kulami; ale w tych okolicznościach było koniecznem dowiedzieć się co wie, w jaki sposób zebrał informacje i o czem powiadomił swoich pracodawców. Możliwe, że już było zapóźno i że już dzieła dokonał. W tym wypadku mogli się przynajmniej na nim zemścić. Mieli jednak nadzieję, że detektyw nie dowiedział się jeszcze o niczem, gdyż wówczas, jak sądzili, nie zadawałby sobie trudu wysyłania depešy z tak dziecinnymi informacjami, jak podane mu przez Mca Murdo. Ale o tem mogli się dowiedzieć tylko od niego samego. Gdyby go tylko dostali w swoje ręce zmusiliby go już mówić. Nie pierwszy raz mieli do czynienia z opornym świadkiem.

Mc Murdo udał się do Hobsons Patch, jak to było postanowione. Policja zdawała się być tego ranka szczególnie nim zajęta, a kapitan Marvin —

jego dawny znajomy z Chicago — zaczął go nawet na dworcu, kiedy czekał na pociąg. Mc Murdo odwrócił się i nie chciał z nim mówić. Przyjechał z powrotem po południu i widział się z Mc Gintym w Domu Związku.

— Przyjdzie — rzekł.

— Dobrze — rzekł Mc Ginty. Olbrzym stał z zakasaneimi rękawami, z łańcuszkiem od zegarka i brelokami, które błyszcząły na obszernej kamizelce i lśniąca spinką djamentową, która przegładła przez nieuczesaną jego brodę. Szynek i polityka zrobiły z prezesa człowieka bogatego i potężnego. Tem groźniejsze było dla niego widmo więzienia lub szubienicy, które stało przed nim ubiegłej nocy.

— Czy sądzisz, że wie dużo? — zapytał, zaniepokojony.

Mc Murdo wstrząsnął głową z miną ponurą.

— Był tu czas dłuższy — przynajmniej sześć tygodni. Sądzę, że nie przyjechał dla przyjemności. Jeśli pracował wśród nas przez cały ten czas, rozporządzając pieniędzmi towarzystw kolejowych, należy się spodziewać, że zebrał sporo wiadomości i że je im przesłał.

— Nie ma słabych ludzi w Loży — zawołał Mc Ginty. — Wszyscy są pewni, jak stał. A jednak, na Boga, przychodzi mi na myśl ten tchórz Morris. Co o nim sądzisz? Jedyńie on mógłby nas wydać. Mam ochotę posłać mu kilku chłopców jeszcze przed wieczorem, którzyby kijami wydobyli od niego wszystko, co wie.

— Toby nie zaszkodziło — odpowiedział Mc Murdo. — Nie przeczę, że mam słabość do Morrisa i nie chciałbym, aby go spotkało coś przykrego. Mówił ze mną raz czy dwa razy w sprawach Loży

i chociaż nie zapatrywał się na nie tak, jak ja i pan, nie sądziłbym, aby był donosicielem. Ale to nie moja rzecz stawać między panem i nim.

— Unieruchomię tego starego djabła — rzekł Mc Ginty z przekleństwem. — Mam go na oku już od roku.

— Pan sam wie najlepiej, co czynić — odpowiedział Mc Murdo. — Ale cokolwiek pan uczyni, trzeba to odłożyć na jutro, gdyż musimy unikać rozgłosu, dopóki nie załatwi się sprawy z Pinkertonem. Nie możemy drażnić policji przedewszystkiem dziś.

— Masz słusność — rzekł Mc Ginty. — Dowiemy się od samego Birdy Edwardsa, kto mu udzielił wiadomości, choćbyśmy musieli wydrzeć mu serce z piersi. Czy nie lękał się zasadzki?

Mc Murdo roześmiał się.

— Znalazłem jego słabą stronę — rzekł. — Gotów jest na wszystko, byleby wpaść na trop „węglarzy”. Wziąłem od niego pieniądze, — Mc. Murdo uśmiechnął się szydersko, wyjmując pęk not dolarowych — i otrzymam drugie tyle, kiedy przejrzy wszystkie moje papiery.

— Jakie papiery?

— No, niema żadnych papierów. Ale zabiłem mu głowę organizacją, księgami praw i podziałem na członków rozmaitej kategorii. Spodziewa dowiedzieć się wszystkiego jeszcze dzisiejszej nocy.

— Ma słusność — rzekł Mc Ginty z przekąsem. — Czy nie pytał, dlaczego sam nie przyniosłeś papierów?

— Nie chciałem ich wziąć z sobą jako człowiek podejrzany, tem bardziej, że kapitan Marwin mówił ze mną dziś w poczekalni na stacji.

— Ale, słyszałem o tem, — rzekł Mc. Murdo. — Lękam się że, wyniknie z tego dla ciebie jakiś kłopot. Moglibyśmy wrzucić go do starego szymbu, kiedy się z nim załatwimy, ale cokolwiek zrobimy, będzie wiadomem, że człowiek ten żył w Hobsonis Patek i że tam dzisiaj jeździł.

— Mc Murdo wzruszył ramionami.

— Jeśli wszystko dobrze urządzimy, nie udowodnią nam zabójstwa, — rzekł. — Nikt nie zobaczy w ciemnościach, że wszedł do mojego domu i ręczę, że nikt nie ujrzy go wychodzącego. A teraz posłuchaj mnie, mistrzu. Przedstawię panu plan i proszę, abys o nim powiadomił innych. Przyjdziecie wszyscy w oznaczonym czasie. Bardzo dobrze. On przyjdzie o dziesiątej. Ma zapukać trzy razy, wówczas otworzę mu drzwi. Potem je za nim zamknę. Należy on wtedy do was.

— To jasne i proste.

— Tak, lecz trzeba się zastanowić nad tem, co później nastąpi. To twarda sztuka. Jest dobrze uzbrojony. Zawróciłem mu w głowie porządnie, ale może się mieć na ostrożności. Przypuśćmy, że wprowadzę go do pokoju, w którym zamiast mnie jednego, jak się spodziewał, zastanie siedmiu ludzi. Przyjdzie wówczas do strzelaniny i ktoś może zostać raniony.

— Masz słuszność.

— A hałas zwabi wszystkie przekłete hełmy miedziane z całego miasta...

— Sądzę, że to racja.

— Oto, jakbym wszystko urządził. Wy będziecie w wielkim pokoju — tym samym, w którym pan ze mną rozmawiał. Otworzę mu drzwi, wprowadzę go do poczekalni obok i pozostawię go tam, aby pójść po papierv. W ten sposób będzie miał sposobność po-

wiedzieć wam, jak się sprawa przedstawia. Potem wróć do niego z jakimiś zmyślonemi dokumentami, a kiedy je zacznie czytać, skoczę na niego i chwycę za jego rewolwer. Usłyszycie moje wołanie i wpadniecie do środka. Im szybciej, tem lepiej, gdyż jest to silny człowiek i może sobie nie będę mógł dać z nim rady. Ale przypuszczam, że go utrzymam, dopóki nie nadbiegniecie.

— To dobry plan — rzekł Mc. Ginty. — Łoża będzie ci bardzo zobowiązana. Sądze, że gdy opuścę hotel przewodniczącego, będę mógł wskazać po nazwisku jego następcę.

— Doprawdy, panie radco, jestem jeszcze prawie rekrutem — rzekł Mc Murdo, ale twarz jego świadczyła, co myślał o komplemencie wielkiego męża.

Po powrocie do domu przygotował się sam do wieczornego dramatu, który go oczekiwał. Najpierw wyczyścił, naoliwił i nabił swój rewolwer Smith-Wesson. Potem oglądnał pokój, do którego detektyw miał zostać zwabiony. Był to obszerny apartament z długim stołem na środku i wielkim kominkiem w głębi. Z obu stron znajdowały się okna. Nie było w nich żaluzji — jedynie cienkie zasłony, które można było opuścić. Mc Murdo obejrzał się dokładnie. Bez wątpienia musiało go uderzyć, że mieszkanie to nie nadawało się do załatwienia tak tajemnej roboty. Ale odległość od gościńca zmniejszała niebezpieczeństwo. W końcu omówił sprawę z swoim współlokatorem. Scanlan, chociaż „węglarz“ był to nieszkodliwy mały człowiek, zbyt słaby aby sprzeciwić się towarzyszom, ale w głębi duszy przerażony krwawymi czynami, w których niekiedy musiał brać u-

dział. Mc Murdo opowiedział mu w krótkich słowach o ci się rozchodziło.

Ja na twojem miejscu, Mike Scanlan, skorzystałbym z nocy i umknąłbym stąd. Krew się tu poleje jeszcze dzisiaj.

— Doprawdy, Mac — odpowiedział Scanlan — nie brak mi — ochoty, ale nerwy odmawiają posłuszeństwa. Od chwili, kiedy ujrzałem, jak zastrzelono kierownika Dumsa tam, w kopalni węgla, jestem cały rozbity. Nie nadaję się do tej roboty jak ty i Mc Ginty. Jeśli Loża nie weźmie mi tego za złe, usłucham twojej rady i zostawię was samych wieczorem.

Ludzie przyszli punktualnie w oznaczonym czasie. Zewnętrznie wyglądali jak porządni obywatele, dobrze i czysto ubrani, ale ktoś, umiejący czytać z ich twarzy, znalazłby mało nadziei dla Birdy Edwardsa w tych surowych zaciśniętych ustach i bezlitośnych oczach. Nie było między nimi żadnego, którego ręce nie zbroczyły się krwią już wiele razy. Zabicie człowieka stanowiło dla nich coś tak pospolitego, jak zabicie owcy dla rzeźnika. Na czoło ich wysuwał się, rzecz prosta, wyglądem swoim i przestępstwami straszliwy Mistrz. Sekretarz Haraway był to człowiek chudy, zgorzkniały, z długą, suchą szyją i nerwowymi, zwinnymi członkami — nieposzlakowanej prawości, jeśli chodziło o finanse Zakonu i nie uznający poza nimi ani sprawiedliwości ani uczciwości. Skarbnik, Carter, był to mężczyzna w średnim wieku o niuruchomym, nawet tępym wyrazie twarzy i żółtej, pergaminowej skórze. Był on dobrym organizatorem i opracowanie szczegółów prawie każdego napadu rodziło się w jego zdolnym do wszelkiej intrygi mózgu. Obaj Willaby byli ludźmi czynu, rosłe, młode zuchy z twarzami zdecydowanymi na wszystko, pod-



czas gdy ich towarzysz Tygrys Cormac, ciężki, czar-  
nowłosy młodzieniec budził trwogę nawet w swoich  
kompanach ze względu na dziki charakter.

Tacy to ludzie zebrali się owej nocy pod da-  
chem Mca Murdo, aby zabić wysłanego przez Pinker-  
tona detektywa.

Gospodarz postawił na stole whisky, a oni za-  
częli się raczyć przed czekającą ich robotą. Baldwin  
i Cormac byli już na wpół pijani, a trunek wydobyl na  
wierzch całą ich dzikość. Cormac położył na chwilę  
ręce na kominku — palił się w nim ogień, gdyż noce  
były jeszcze chłodne.

— To się przyda — zauważył z przekleństwem,

— Ach! — dorzucił Baldwin, zrozumiawszy  
go. — Jeśli go się przywiąże do pieca, wyśpiewa  
wszystko...

— Dowiemy się prawdy od niego, niema oba-  
wy — rzekł Mc Murdo. Człowiek ten miał nerwy ze  
stali, zachowanie się jego cechował spokój i pewność  
siebie, aczkolwiek powodzenie całej sprawy zależa-  
ło wyłącznie od niego. Inni zauważyli to z zadowo-  
leniem.

— Jesteś jedynym, który sobie z nim poradzi —  
rzekł Przewodniczący z uznaniem. — Nie będzie nic  
podejrzewał, dopóki go nie chwycisz za gardło. Szko-  
da, że tu niema okiennic.

Mc Murdo zbliżył się najpierw do jednego, po-  
tem do drugiego okna i zasunął dokładnie firanki.

— No, teraz nas nikt nie podpatrzy. Godzina  
się zbliża.

— Może nie przyjdzie? Może zwęszył niebez-  
pieczeństwo? — rzucił sekretarz.

— Przyjdzie, niema obawy, — odpowiedział Mc  
Murdo. — Spiesz mu się tak, jak i wam. Słyszycie?

Siedzieli jak figury z wosku, ze szklankami zatrzymanymi w pół drogi do ust. Do drzwi zapukano głośno trzy razy.

— Sza!

Mc Murdo podniósł dłoń na znak ostrzeżenia. W oczach zebranych wokół stołu pojawił się wyraz zadowolenia, a ręce spoczęły na ukrytej broni.

— Ani pary z ust, jeśli wam życie mile! — szepnął Mc Murdo, wychodząc z pokoju i zamykając drzwi za sobą.

Wszyscy czekali z nastawionemi uszami. Liczyli kroki towarzysza w korytarzu. Potem usłyszeli otwieranie drzwi zewnętrznych, kilka słów przywitania. A potem dały się słyszeć stapania jakiejś nieznannej osoby wewnątrz domu i obcy jakiś głos. W chwilę później zatrzaśnięto drzwi i przekreślono klucz w zamku. Zdobycz wpadła w pułapkę. Tygrys Cormac zaśmiał się straszliwie, ale mistrz, Mc Ginty położył mu na ustach swoją wielką dłoń.

— Cicho, głupcze! — szepnął. — Jeszcze nam wszystko popsujesz.

Z sąsiedniego pokoju dochodził szmer rozmowy. Zdawała się przeciągać w nieskończoność. Potem drzwi się otwarły i ukazał się Mc Murdo, z palcem na ustach.

Zbliżył się do stołu i spojrzął na wszystkich wokoło. Zaszła w nim jakaś nieuchwytna zmiana. Zachowywał się jak człowiek, który ma dokonać wielkiego dzieła. Na jego twarzy malował się granitowy spokój. Oczy świeciły dziko poza okularami. Stał się widocznym panem sytuacji. Spoglądali na niego w najwyższym napięciu, ale on nie rzekł słowa. Tylko tym samym szczególnym wzrokiem wodził kolejno po wszystkich zebranych.

— No i coż? — zawołał włóczęga mistrz Mc Ginty. — Jest tutaj? Czy Birdy Edwards jest tutaj?

— Tak, — odpowiedział z wolna Mc Murdo. — Birdy Edwards jest tutaj. Jam jest Birdy Edwards!

Przez dziesięć sekund po tem krótkim wyznaniu mogło się zdawać, że w pokoju niema nikogo, tak głęboką była cisza. Syczenie gotującego się na kominku kociolka raziło ucho nieprzyjemnie.

Siedem białych twarzy, zwróconych w górę ku stojącemu nad nimi mężczyźnie, znieruchomiało z przerażenia. Potem nagle prysnęły szyby, w oknach pokazały się błyszczące lufy karabinów, a firanki zostały zerwane całkowicie.

Na ten widok mistrz Mc Ginty ryknął jak zraniony niedźwiedź i rzucił się do wpółotwartych drzwi. Spotkał się tu z wymierzonym ku niemu rewolwerem i surowem wejrzeniem niebieskich oczu kapitana Marwina z Węglowej i Żelaznej Policji, błyszczących pod hełmem. Mistrz cofnął się i padł na krzesło.

— Tak lepiej, panie radco — rzekł człowiek, którego znali pod nazwiskiem Mca Murdo. — A ty, Baldwin, jeśli nie puścisz rewolweru, nie będziesz potrzebował czekać na szubienicę. Wyjmij rękę, albo, na Boga... Tak, już dobrze. Dom otoczony jest przez czterdziestu ludzi, musicie zatem przyznać, że nie macie żadnych szans. Odbierz im broń, Marwinie!

Wobec grożących karabinów nie było mowy o oporze. Rozbrojono ich. Stali wokół stołu z tępej baraniem wejrzeniem, zdumieni.

— Chciałbym powiedzieć wam kilka słów, zanim się rozłączymy — rzekł człowiek, który ich schwytał w potrzask, — Przypuszczam, że zobaczy-

my się dopiero w sądzie. Chciałbym jednak, abyście mieli nad czym myśleć do tego czasu. Wiecie teraz, kim jestem. Wreszcie mogę wyłożyć karty na stół. Jestem Birdy Edwards z agencji Pinkertonów. Wybrano mnie, abym rozbił waszą bandę. Czekają na mnie ciężka i niebezpieczna gra. Żadna dusza, dosłownie żadna dusza, nawet najdrożsi ani i najbliżsi nie wiedzieli, że gram, wyjąwszy kapitana Marwina i moich pracodawców. Ale ukończyłem tę grę dzisiejszej nocy, dzięki Bogu i wygrałem!

Siedem bladych, zdrętwiałych twarzy spojrzęło na niego. Wyczytał w nich straszliwą groźbę.

— Sądziecie może, że gra jeszcze nie skończona? Trudno, biorę to na siebie! W każdym razie kilku z was nie będzie już przeszkadzało, a oprócz tego znajdzie się jeszcze dzisiejszej nocy w więzieniu sześćdziesięciu waszych ludzi. Wyznaję otwarcie, że podjąłem się zadania nie wierząc w istnienie takiego związku, jak wasz. Sądziłem, że były to plotki gazetarskie i że uda mi się to udowodnić. Mówiono mi, że sprawa cała ma jakiś związek z Wolnomularzami, dlatego przybyłem do Chicago i zostałem wolnomularzem. Upewniło mnie to w poglądzie, że chodzi o kaczkę dziennikarską, gdyż w stowarzyszeniu tem nie znalazłem nic zdrożnego, a wiele stron dobrych. Ale chciałem wywiązać się z zadania i przybyłem do węglowych dolin. Tu, na miejscu przekonałem się, że jestem w błędzie i zaskoczyło mnie to. Zostałem, aby się rozejrzeć. Nie zabiłem w Chicago żadnego człowieka. Nie sfałszowałem w życiu ani jednego dolara. Te, które wam dałem były równie prawdziwe, jak inne, ale nigdy nie wydałem pieniędzy w szlachetniejszym celu. Wiedziałem w jaki spo-

sób się wam przypodobać i dlatego udało mi się, że prawo mnie ściga. Stało się wszystko, jak myślałem.

Wstąpiłem do waszej djabelskiej loży i brałem udział w waszych naradach. Może powiecie, że byłem równie zły, jak i wy. Mówcie, co chcecie. Jest mi to obojętne teraz, kiedy was trzymam w ręku. Ale, jak się rzecz ma naprawdę? W noc, kiedy się do was przyłączyłem, pobiliście starego Stangera. Nie mogłem go ostrzec dla braku czasu, ale powstrzymałem rękę twoją, Baldwinie, kiedy go chciałeś zabić. Jeśli kiedykolwiek dla zdobycia sobie w waszem kole uznania przedstawiałem jakiś plan, wiedziałem zawsze, że znajdę sposób przeszkodzenia jego wykonaniu. Nie mogłem ocalić Dumsa i Menzies'a, gdyż wiedziałem zbyt mało, ale postaram się, aby powieszono ich morderców. Ostrzegłem Chester Wilcoxa tak, że kiedy wysadziłem w powietrze jego dom, on i rodzina jego byli w bezpiecznym miejscu. Wielu zbrodniom nie udało mi się przeszkodzić, ale jeśli sięgniecie pamięcią w przeszłość i przypomnicie sobie, jak często bliźni wasza wracała do domu inną drogą, była w mieście, kiedy szukaliście jej w domu lub siedziała w domu, kiedy spodziewaliście się, że wyjdzie, zrozumiecie, co było mojem dziełem.

— Przeklęty zdrajco! — syknął Mc. Ginty przez zacisnięte zęby.

— Ah! Możesz nazywać mnie zdrajcą, Johnie Mc. Ginty, jeśli ci to ulży. Ty i podobni tobie byli wrogami Boga i ludzi w tych stronach. Trzeba było aby ktoś stanął między tobą a tymi biednymi mężczyznami i kobietami, których gnębiłeś. Wiodła do tego tylko jedna droga i tę wybrałem. Nazywasz mnie „zdrajcą”, ale jestem pewny, że tysiące ludzi nazwie mnie „zbawicielem”, który zstąpił do piekieł, aby ich

ocalić. Spędziłem w tym piekle trzy miesiące. Nie chciałbym przeżyć trzech takich jednak miesięcy, choćby mi ofiarowano cały skarbiec Waszyngtona. Musiałem zostać tu, aż dowiem się o wszystkim, o każdym człowieku i każdej tajemnicy. Zaczekałbym jeszcze dłużej, gdyby mnie nie powiedziano, że grozi mi wykrycie. Wobec tego musiałem działać i działać szybko. Nie mam wam nic więcej do powiedzenia, wyjąwszy, że kiedy przyjdzie już na mnie czas, myśl o dokonaniem przezemnie w tej dolinie dziele uczyni mi śmierć lżejszą. A teraz, Marwin, nie chcę zatrzymywać cię dłużej. Zabierz ich stąd i odprowadź!

Niewiele już pozostaje do opowiedzenia. Scanlan otrzymał zapieczętowany list z poleceniem wręczenia go Miss Ettie Shafter — misję, której się podjął z domyślnym uśmiechem. Wczesnym rankiem piękna kobieta i dobrze osłonięty mężczyzna wstąpił do specjalnego pociągu, przysłanego przez towarzystwo kolei żelaznych i wyjechali szybko, niezatrzymując się na żadnej stacji, z niebezpiecznego kraju. Ettie i ukochany jej pożegnali na zawsze Dolinę Trwogi. W dziesięć dni później pobrali się w Chicago, a stary Jakób Shafter był świadkiem ich ślubu.

Sąd nad „węglarzami” odbył się daleko od miejsc, gdzie zwolennicy ich steroryzowaliby mogli stróżów prawa. Napróżno walczyli. Napróżno pieniądze — pieniądze wyciśnięte z całej okolicy przez zbrodnie — płynęły jak woda dla ich ocalenia. Zimne, jasne, spokojne sprawozdanie człowieka, który znał każdy szczegół ich życia, ich organizację i ich przestępstwa oparło się wszelkim wysiłkom obrońców. Nareszcie, po tylu latach, zostali złamani i rozbici. Chmury, zebrane nad doliną pierzchnęły na za-

wsze. Mc. Ginty poniósł śmierć na szafocie, wyjąc i lamentując, kiedy przyszła jego ostatnia godzina. Los jego podzieliło ośmiu przywódców. Pięćdziesięciu otrzymało karę więzienia w rozmaitym stopniu. Dzieło Birdy Edwardsa było zupełne.

A jednak, jak przypuszczają, gra jeszcze się nie skończyła. Trzeba było wziąć znów w ręce karty, raz, drugi i trzeci. Ted Baldwin uniknął szafotu, tak samo obaj Willaby, uniknęło go również wielu najdzikszych bandytów. Przez dziesięć lat pozostali zamknięci, ale przyszedł dzień, kiedy ich znów wypuszczono na wolność, a w dniu tym dla Edwardsa, który znał swoich ludzi, skończyło się spokojne życie. Przysięgli na wszystko, co mieli święte, że pomścżą się na nim za śmierć towarzyszy. I nie ociągali się z wypełnieniem ślubu. Wygnali go z Chicago po dwóch zamachach, które tak bliskimi były urzeczywistnienia, że na trzeci nie chciał już czekać. Wyjechał z Chicago pod przybranem nazwiskiem do Kalifornii i tam spotkał go straszny cios, którym była śmierć Ettie Edwards. Potem o mało go nie zabito, a potem znowu pracował, pod nazwiskiem Douglasa, w samotnym kanjonie z współnikiem z Anglii, który zwał się Barker, dorobił się znacznej fortuny. W końcu otrzymał ostrzeżenie, że krwawe psy znowu wpadły na jego ślad i umknął — w sam czas — do Anglii. I tu Jan Douglas, który po raz drugi znalazł sobie dobrą żonę, osiadł i żył przez pięć lat jako obywatel wiejski w Sussex — życiem, którego zakończeniem był znany już nam tajemniczy wypadek.

## EPILOG

Sledztwo skończyło się i sprawa Jana Douglasa przyszła przed sąd. Odbył się sąd przysięgłych, który uwolnił go jako działającego w obronie własnej. — „Niech go pani wywiezie z Anglii za wszelką cenę”, — napisał Sherlock Holmes jego żonie — „Działają tu siły może groźniejsze od tych, którym się wymknął. Małżonek pani w Anglii będzie w ciągłym niebezpieczeństwie”.

Minęły dwa miesiące i sprawa powoli zatarła się w samej pamięci. Potem pewnego ranka przyszedł zagadkowy list. „Niech to djabli wezmą, Mr. Holmes! Niech to djabli wezmą!”, głosiła tajemnicza kartka. Nie było na niej ani podpisu ani nagłówka. Roześmiałem się na tę dziwną wiadomość, ale Holmes przyjął ją niezwykle poważnie.

— Zła wieść! — zauważył i siedział długo z zaciemmurzonym czołem.

Późno w noc Mrs. Hudson, nasza gospodyni, doniosła, że jakiś pan chce się widzieć z Holmesem i że sprawa jest niezwykle ważna. Zaraz za posłem zjawił się Mr. Cecil Barker, przyjaciel nasz z otoczonego fosą Zamku. Twarz miał wzburzoną i zakłopotaną.



— Otrzymałem złą wiadomość, straszliwą wiadomość, Mr. Holmes, — rzekł.

— Dostał pan telegram?

— Dostałem list od kogoś, kto go otrzymał.

— Lękałem się tego, — odrzekł Holmes.

— Chodzi o biednego Douglasa. Mówiono mi, że nazywa się właściwie Edwards, ale będzie dla mnie zawsze Janem Douglasem z Benito canjonu. Mówiłem panu, że wyjechali razem z żoną przed trzema tygodniami do Południowej Afryki na „Palmirze”.

— Właśnie.

— Statek przybył do Cape Town ubiegłej nocy. Dziś rano otrzymałem od pani Douglas taki telegram:

„Jack zginął w morzu w czasie burzy koło Świętej Heleny. Nikt nie wie, kiedy się to stało — Iry Douglas”.

— Ha! A więc tak? — zdefiniował Holmes zamysłony. — No, nie wątpię, że było to dobrze przygotowane.

— Pan sądzi, że to nie był przypadek?

— Rzecz prosta!

— Zamordowano go?

— Napewno.

— I ja tak myślę. Ci przekleci „węglarze”, to djabełskie gniazdo zbrodniarzy...

— Nie, nie, drogi panie — rzekł Holmes — Tu znać rękę mistrza. Nie ma tu ani strzelb z obcięciami lufami, ani ordynarnych sześciostrzałowych rewolwerów. Można poznać starego mistrza po jego robocie. Wiem, że to dzieło Mariartego. Nad wykonaniem zbrodni czuwał Londyn, nie Ameryka.

— Ale z jakiego powodu?

— Ponieważ dokonał jej człowiek, któremu się zawsze wszystko udaje — ktoś, którego stonowisko

zależy od faktu, że nigdy nie chybia. Wielki mózg i potężna organizacja przysięgły się na zgubę jednego człowieka. Było to podobnem do rozbijania orzeszka młotem — ogromna nieostosunkowość sił — ale w rezultacie orzeszek został zmiażdżony.

— Dlaczego ów człowiek zajął się tą sprawą?

— Mogę rzec tylko, że pierwsze słowo w tej kwestji przysłał nam jeden z jego pomocników. Ci Amerykanie mieli dobre wiadomości. Mając wykonać robotę w Anglii, weszli w spółkę, jak zrobiłby każdy przestępca — obcokrajowiec, z tym wielkim doradcą w sprawach zbrodni. Od tej chwili los ich człowieka był przypięczętowany. Zrazu zadowolili się wynalezieniem ofiary. Potem udzielił wskazówek jakby należało działać. Wkońcu, kiedy wyczytał o nieudanym zamachu owego agenta, wkroczył sam. Słyszałeś pan, jak ostrzegałem tego człowieka w Zamku Birstone, że niebezpieczeństwo nadchodzące jest groźniejsze, niż minione. Nie miałem słuszności?

Barker bił się po głowie pięścią w bezsilnym gniewie.

— I pan chcesz, żebyśmy czekali cierpliwie? Czy sądzisz, że nikt nie może zmierzyć się z tym królem zbrodni?

— Nie, tego nie mówię — rzekł Holmes, a oczy jego zdawały się spoglądać daleko w przyszłość. — Nie mówię, aby go nie było można pokonać. Ale musi mi pan dać czas — musi mi pan dać czas.

Siedzieliśmy przez kilka minut w milczeniu, a jego groźne oczy usiłowały wciąż przeniknąć zasłonę przyszłości.

KONIEC



# NAJWIĘKSZA SENSACJA KSIĘGARSKA SEZONU

## LUDZIE JASKINIOWI

Cena 5 zł. 40 gr.

Rzucamy na rynek wybór utworów siedmiu najwybitniejszych pisarzy powojennej Rosji, odzwierciedlających życie tego egzotycznego dla nas kraju i osiągniętych najwyższe szczyty techniki pisarskiej. Odcięta od Zachodu latami rewolucji, obwarowana izolacją, powojenna literatura rosyjska poszła własną samoistną drogą, której etapy zastanawiają nas, nie raz olśniewają, a zawsze interesują. Szczytów wirtuozerii dostąpiła w skupionej, niezwykle precyzyjnej i plastycznej prozie Zamiatina, w dynamicznej rodzajowości Babela, w surowym realizmie utworów Sejfulinej, w wyjątkowo sugestywnych, rewolucyjnych okresach Pilniaka, w ostrych, nieco makabrycznych, lecz rozświetlających humorem mroki rosyjskiej obywatelszczyzny humoreskach Zoszczenki. I jeśli wybranych przez nas utworów siedmiu pisarzy nie godzi się nazwać słońcem na widnokręgu piśmiennictwa, to przynajmniej składają się one na siedmiobarwną tęczę, jak tęcza kolorową i jak tęcza rozciągającą niesamowity urok.

Książkę poprzedza wstęp Juljusza Kaden-Bandrowskiego.

„RÓJ“, s. z o. o. Warszawa, Kredytowa 1.

P. K. O. 9880.

Prenumerata mieszana obu bibliotek na  
kwartał III 1927 r.

4 zł. 95 gr. za 12 książek.

I. BIBLIOTEKA POWIEŚCIOWA.

513. *J. Bandrowski*. „Po tęczowej obreczy“ t. II  
(nowoprzybywającym t. I za dopłatą 95 gr.).  
514. *London*. „Żółwie Tasmana“.  
515. *Awerczenko*. „Podręcznik rodzenia dzieci“ (zbiór  
opow. humor.).  
516. *Duvernots*: „Eunuch“.  
517. *Chesterton*: „Niewinność ojca Browna“.  
518. *Krasnow*. „Amazonka pustyni“.

Zmiana kolejności zastrzeżona.

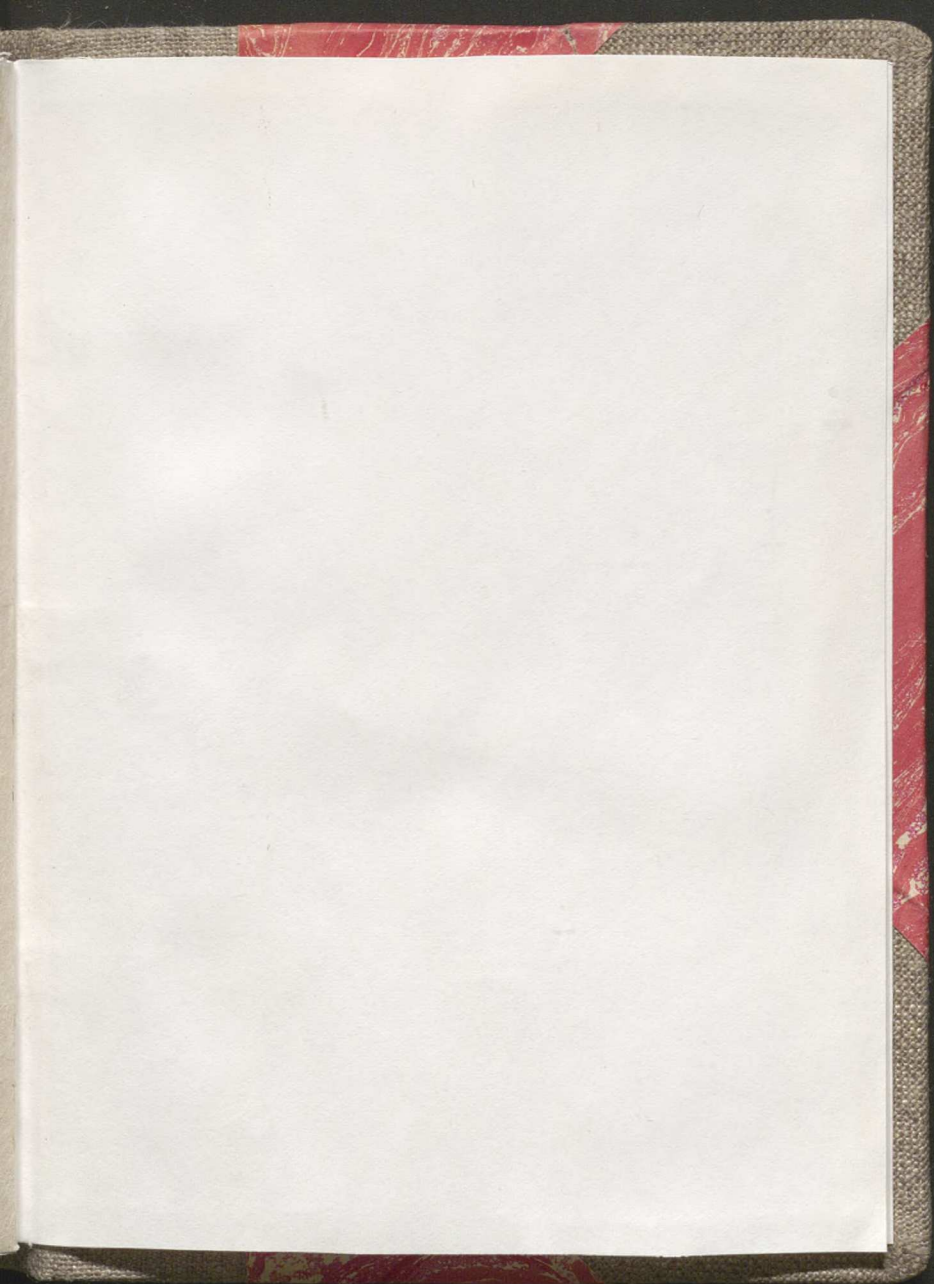
II. BIBLIOTECZKA HISTORYCZNO-GEOGRAFICZNA.

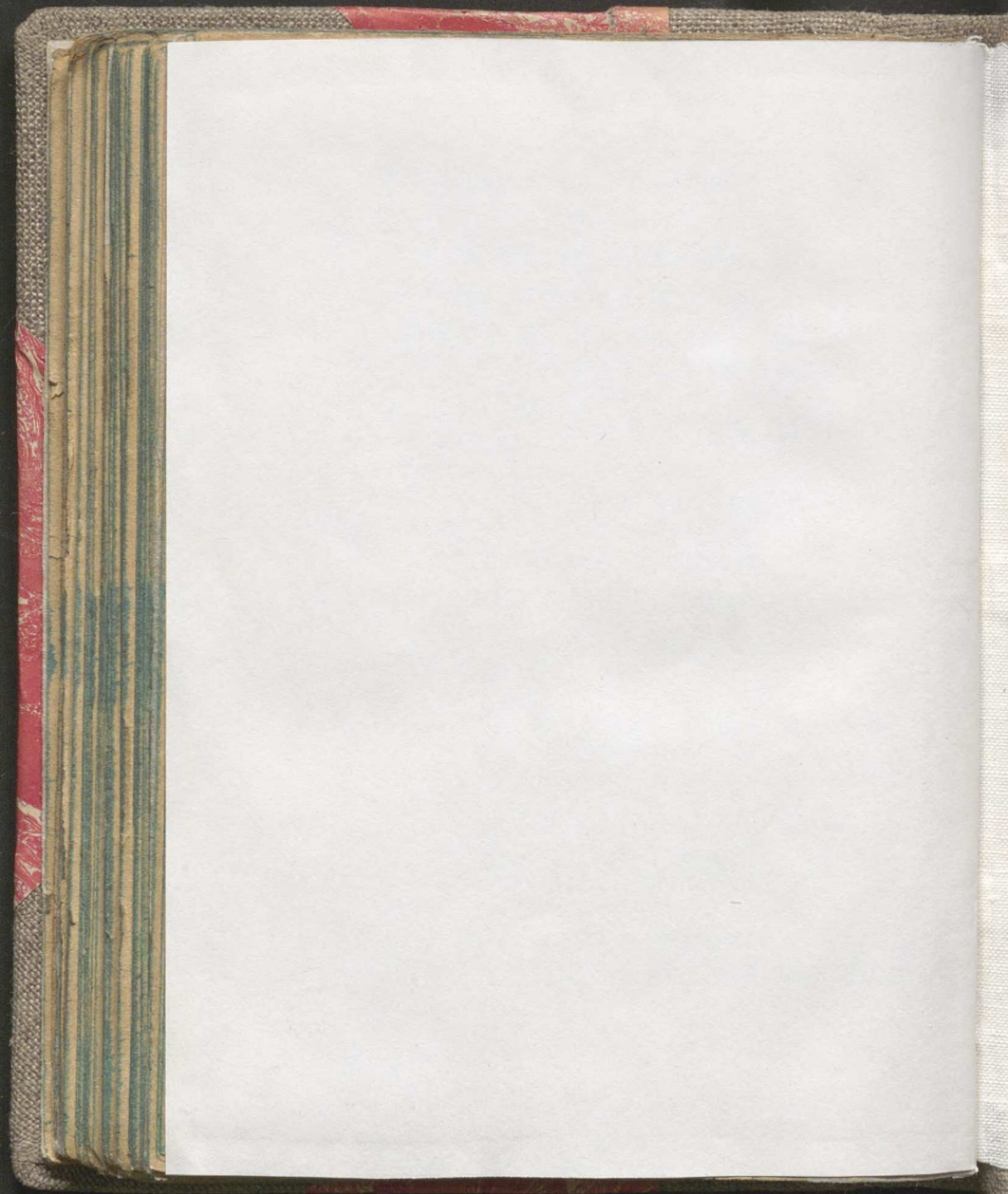
z polskiego cyklu obyczajowego

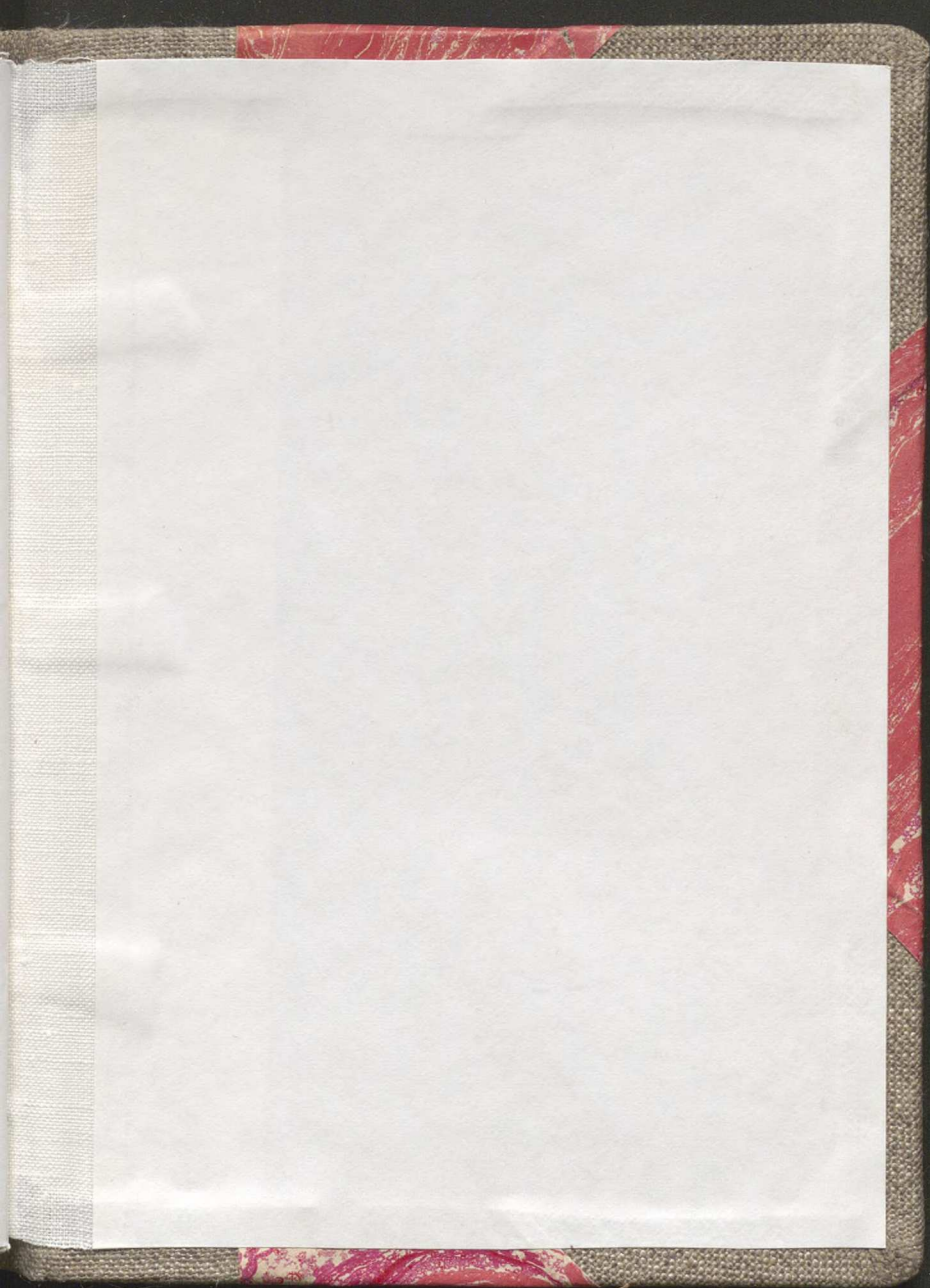
78. *Jan Grabowski*. „Wojna Imci Pana Konopki z miastem Toruniem“.  
79. *Stan. Strumph-Wojtkiewicz*. „Karjera Asa Asów“  
z cyklu „Zaludnione nlebo“.  
80. *Jan Sokolicz-Wroczyński*. Wiktor Grün—ochran-  
nik, (cz. II).  
81. *Dr. J. M. Majewski*. „Czciociele Ś-go Kaktusa“  
z cyklu „Wola i praca“.  
82. *Dr. J. P. Zajączkowski*. „Tajniki szpiegostwa frai-  
cuskiego“  
z cyklu szpiegowskiego.  
83. *Razimierz Bartoszewicz*. „Radziwiłłowie i Radzi-  
wiłłówny“.

ŚWIETLICA

Huty „BOBREK“









217988

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001011572846